Szpont – słowo roku • Ryś w Krakowie • Przyssawki koalicji • Finanse po rozstaniu
Zabójcy drogowi • Chryja z kryptowalutami • Trzy progi starości

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

© STUDIO POLITYKI

TYGODNIK, nr 50 (3544), 10.12–16.12.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Ranking ministrów Tuska:

LIDERZY I MARUDERZY

Trudny rząd w trudnych czasach

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 16.12.2025

ISSN 0032-3500

50>

9 770032 350503

ski team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Nowe kolekcje

Największy wybór odzieży oraz sprzętu narciarskiego i snowboardowego

Topowe marki świata.
Konkurencyjne ceny!

Profesjonalny **serwis zimowy** oraz **bootfitting**

Jesteśmy otwarci w najbliższą niedzielę (14.12.2025) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

Sprawdź na skiteam.pl

eprasa.pl 53e0f75d2b

© SHUTTERSTOCK

28
Mile i promile

Tematy tygodnia

12 Bartek Chaciński **Młodzieżowe Słowo Roku: konkurs, który dużo mówi**
16 Adam Szostkiewicz **Kard. Ryś w Krakowie**

Polityka

20 Joanna Sawicka, Tomasz Sawczuk **Ranking ministrów: kto się sprawdza, kto się wozi**
24 Rafał Kalukin **Co mogą przystawki**

Społeczeństwo

28 Juliusz Ćwieluch **Zabójcy za kółkiem**
32 Martyna Bunda **Finanse po rozstaniu: na co można liczyć, gdy nie miało się ślubu**
35 Katarzyna Kaczorowska **Jaką wybrać choinkę**
38 Paweł Walewski **Kłopoty młodych z pamięcią**

Rynek

42 Marcin Piątek **Oszukani przez dewelopera**
45 Adam Grzeszak **Kryptowaluty: o co naprawdę chodzi w tym sporze**

Świat

48 Rozmowa z **Peterem Pomerantsevem** o dezinformacji i wojnie propagandowej
51 Paulina Wilk **Życie w gigamiastach**
54 Tomasz Zalewski USA **Daniel P. Driscoll: ignorant z szansą na wielką karierę**
56 Agnieszka Zagner BLISKI WSCHÓD **Druzowie, czyli sztuka przetrwania**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Andrzej Hołdys **Globalne ocieplenie: przegrana bitwa, wojnę można jeszcze wygrać**
62 Rozmowa z dr **Mają Olecką** o tym, co dziś wiemy o starości
66 Piotr Panek **Spór o nazwy zwierząt – polemika**

Historia

68 Adam Grzeszak **Polskiego Fiata czar**
72 **Elizabeth B. White** i **Joanna Śliwa** o Żydówce, która w czasie drugiej wojny ratowała Polaków
75 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

80 PASZPORTY POLITYKI: **ogłaszamy kolejne nominacje – książka, kultura cyfrowa, muzyka poważna**
88 Rozmowa z **Agnieszką Grochowską** o graniu doświadczeń granicznych i dialogu z widzem
92 **Jakub Ziołek** o reaktywacji Starej Rzeki i muzyce w dobie AI
95 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Męski makijaż** • **Święta u Trumpów** • **Bajlando** • **Rytuał z Paragwaju** • **Kto pije tokaj**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **76** Afisz • **96** Koziołek
• **97** Chutnik i Plebanek
• **98** Orliński • **99** Hartman
• **100** Mizerski
• **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

UWAGA CZYTELNICY!

Następny – świąteczny i podwójny – numer POLITYKI ukaże się **w środę 17 grudnia**. Z kolei numer noworoczny – także podwójny – będzie w sprzedaży **od wtorku 30 grudnia**.

(Więcej informacji na s. 65).

© ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 53e0f75d2b

Otrumpieni

Jerzy Baczyński

W dwulecie rządu koalicji 15 października, które – jak wiadomo – wypada 13 grudnia, przedstawiamy ranking ministrów. Centrum Analityczne Polityka Insight opracowuje takie oryginalne, jedyne w Polsce, rankingi już od 12 lat. Ministrowie oceniani są w 12-punktowej skali (od A do D, z plusami i minusami), według kryteriów obejmujących jakość rządzenia, siłę polityczną, zdolności komunikacyjne. To porządna, zobiektywizowana metodologia, za pomocą której analitycy PI próbują opisać trudno uchwytne różnice wagi, stylu, energii między szefami bardzo przecież różnych resortów. Warto porównać wyniki rankingu z własnymi intuicjami. Kto by przypuszczał, że numerem jeden będzie Maciej Berek, a sam Donald Tusk zajmie pozycję dziewiątą? (Szczegóły na s. 20). Ważne, że od poprzedniego rankingu ogólna ocena rządu nieznacznie wzrosła (o pół punktu) i osiągnęła przyzwoity poziom B, czyli siódmy szczebel na 12. Co prawda nadal w sondażach negatywne oceny rządu przeważają nad pozytywnymi (średnio 45:35), ale od kilku tygodni akceptacja dla rządu rośnie (według badań OGB skokowo, aż o 10 pkt proc.).

Kilka czynników tu się zbiegło. Możliwe, że na tzw. najgłębszym poziomie o nastrojach społecznych decyduje stan gospodarki, a tu jest naprawdę nieźle (powiedzmy, poziom A-). Mamy najszybszy roczny wzrost PKB w Unii, właśnie przyjmują nas do G20, czyli grupy największych (ponadbilionowych w dolarach) gospodarek świata; w grudniu średnia płaca w Polsce przekroczy 9 tys. zł i będzie aż o 7 proc. wyższa niż przed rokiem, przy rekordowo niskiej od lat inflacji – 2,4 proc. Szalejemy więc ze świątecznymi zakupami. Oczywiście, to tylko statystyka i te wzrosty rozkładają się nierównomiernie, a ekonomiści alarmują, że gospodarkę i konsumpcję napędzają głównie wielkie wydatki publiczne – z deficytem budżetu sięgającym 280 mld zł i rosnącym zadłużeniem. Ale, cóż tam: premier Tusk właśnie zapewnił, że mimo ogromnej luki w kasie NFZ nie jest rozważana podwyżka składki na ubezpieczenia zdrowotne. I to jest (być może trwały) dorobek ośmiu lat rządów PiS: ekonomia musi się chować przed polityką. Żadnych tzw. bolesnych reform czy cięć wydatków; niech się ludzie cieszą.

Polityka też akurat zaczęła sprzyjać rządowi i podobnie jak w gospodarce, bez jakichś szczególnych strategii. Po prostu zmienia się koniunktura. Wewnętrzna i zewnętrzna. Wygrana Trumpa nadała impet całej europejskiej i globalnej prawicy (to ta fala wyniosła też Karola Nawrockiego). Ale ten pierwszy entuzjazm zaczyna przechodzić w zakłopotanie. Po obu stronach Atlantyku. Opublikowana właśnie strategia bezpieczeństwa narodowego USA (s. 10) nie pozostawia wątpliwości, na czym polega hasło „America First". Zapowiedź „paktu stabilizacyjnego" z Rosją, traktowanie Unii Europejskiej jako niemal wroga Ameryki; lekceważący, imperialny stosunek do małych sojuszników. Nawet Nawrocki i Przydacz zamilkli. A tu jeszcze Viktor Orbán, ideowy patron PiS, protektor uciekinierów, wzorcowy trumpista, składa hołdowniczą wizytę w Moskwie, po czym od razu wetuje unijny plan pomocy dla Ukrainy. I Karol Nawrocki, w obawie o swój wizerunek, musi odwołać planowane spotkanie z Orbánem. Słowem: dyskomfort i konfuzja.

A i w kraju jest inaczej, niż to wyglądało w czerwcu. Już widać, jak trudno Nawrockiemu utrzymać pozycję zwornika przyszłej wielkiej prawicowej koalicji. Rozkrok staje się coraz szerszy. Z jednej strony zgoda na podatek bankowy (mimo obietnic składanych Mentzenowi, że żadnych nowych podatków prezydent nie podpisze), z drugiej – weto dla planów opodatkowania fundacji rodzinnych i uregulowania czarnego rynku kryptowalut (więcej na s. 45). To ukłon w stronę „antypodatkowej" Konfederacji, ale wizerunkowo kosztowny, zwłaszcza odkąd Tusk tajnie i publicznie oskarżył lobbystów kryptoaktywów o powiązania z Rosją i międzynarodową przestępczością. I dalej: mamy podpis pod ustawą zakazującą za osiem lat hodowli zwierząt na futra (ukłon w stronę prezesa) i weto dla tzw. ustawy łańcuchowej (gest w stronę części wiejskich wyborców). Mamy weto dla Parku Narodowego Dolnej Odry (przeciw lewackim ekologom) i podpis pod „lewacką" inicjatywą zaostrzenia prawa ruchu drogowego, „ograniczającego wolność" nieużywania kasków czy organizowania wyścigów samochodowych w miastach i na drogach.

A takich ćwiczeń będzie jeszcze więcej. Role się odwróciły; po samoeliminacji Hołowni (o przyszłości tzw. koalicyjnych przyssawek piszemy na s. 24) duet Tusk–Czarzasty ma oczywisty plan wbijania legislacyjnych klinów w szczeliny między prawicowymi formacjami. A są tu wolnościowcy Mentzena na kontrze wobec socjalistów i etatystów od Kaczyńskiego; suwereniści i ich dotychczasowy lider Zbigniew Ziobro zwalczani (także na stadionach) przez narodowców od Bosaka; są braunowcy, czyli konglomerat różnych, często jawnie „szurniętych" person i środowisk; a jeszcze mamy ostre wojny frakcyjne w samym, słabnącym sondażowo, PiS. Dzieje się i dzieli się.

Te ruchy tektoniczne na prawicy są niewątpliwie echem wygranej Trumpa, lokalnymi próbami skopiowania sukcesu i formuły MAGA. Tu Kaczyński i jego idea Zjednoczonej Prawicy przegrali z Trumpem. Ale dla kraju takiego jak Polska prezydent USA jest postacią niebezpieczną, a powtarzane jak za panią matką jego antyunijne, antyzachodnie narracje brzmią u nas jak geopolityczny „szpont" (to jedno z młodzieżowych słów roku, o których pisze Bartek Chaciński, s. 12) – czyli wygłup. Parę punktów sondażowych i punktów w naszym rankingu rząd dostał wprost od Trumpa i (takiego słowa nie ma, ale mogłoby być) „otrumpionej" polskiej prawicy.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Albatros travel

Chile i Argentyna – na kraniec świata przez Patagonię i Ziemię Ognistą

Fantastyczna wycieczka do Patagonii i Ziemi Ognistej połączona ze zwiedzaniem Santiago de Chile i Buenos Aires.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Santiago de Chile. **Dz. 3** Wycieczka do Valparaíso i Viña del Mar z wizytą w winnicy w Dolinie Casablanca. **Dz. 4** Santiago de Chile – Natales w Patagonii. **Dz. 5** Park Narodowy Torres del Paine – rejs łodzią do lodowca Grey. **Dz. 6** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka do lodowców Balmaceda i Serrano. **Dz. 7** Przejazd do El Calafate w Argentynie. **Dz. 8** Całodniowa wycieczka do lodowca Perito Moreno. **Dz. 9** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka po jeziorze Argentino. **Dz. 10** Przelot El Calafate – Ushuaia, zakwaterowanie, zwiedzanie miasta. **Dz. 11** Park Narodowy Tierra del Fuego i rejs po Kanale Beagle'a. **Dz. 12** Lot z Ushuaia do Buenos Aires. **Dz. 13** Buenos Aires. Czas wolny lub opcjonalna wycieczka Fiesta Gaucha (pampa, gauchos i obiad na ranczo). **Dz. 14** Przylot do Polski.

NOWOŚĆ

8 dni
Wyloty z Warszawy
09/11 2026, 10/02 2027

od **26.998,-**

2 posiłki dziennie

„Dolce vita" w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Włoski targ i muzeum Etrusków. **Dz. 3** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem do Via Francigena. **Dz. 4** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 5** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 6** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 7** Degustacja win i urocze popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 9** Wylot z Rzymu do Warszawy.

9-10 dni | Wyloty z Warszawy 14/04, 28/04 2026 | od **5.498,-**

NOWOŚĆ

Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy 26/03, 28/05, 07/09, 18/09, 29/09, 11/10 2026 | od **4.298,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL45**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 53e0f75d2b

Łańcuchy Nawrockiego

Prezydent Nawrocki podjął salomonową decyzję w sprawie dwóch ustaw dotyczących ochrony zwierząt. Podpisał tę zakazującą hodowli zwierząt na futra, ale zawetował tzw. ustawę łańcuchową, zakazującą trzymania psów na uwięzi, co nadal jest powszechnym zwyczajem na polskiej wsi. Jarosław Kaczyński oczekiwał, że Nawrocki podpisze obie ustawy. Za to Konfederacja apelowała o podwójne weto. Więc Nawrocki nie zadowolił nikogo. „Szkoda że Prezydent nie obronił polskiej wsi przed Kaczyńskim, lewicą i pseudoekologami" – komentował na portalu X Sławomir Mentzen, odnosząc się do zakazu hodowli zwierząt futerkowych.

Zawetowanie „ustawy łańcuchowej" wywołało z kolei burzę wśród obrońców zwierząt. Wcześniej pojawiały się głosy krytykujące projekt, wedle których to bubel prawny, z nieprecyzyjnymi regulacjami (np. że pies ma mieć zapewniony ruch adekwatnie do wieku, potrzeb i stanu zdrowia), który doprowadzi do tego, że dożywocie na łańcuchu zamienimy na dożywocie w kojcu. Według mec. Karoliny Kuszlewicz i prof. dr. hab. Andrzeja Elżanowskiego, od lat zaangażowanych w walkę o prawa zwierząt, w ustawie zabrakło odpowiedniej regulacji: przepisy dotyczyły tylko powierzchni kojców, nie zapisano tzw. procenta ażurowości ścian ani rodzaju materiału, z jakiego mają być zrobione.

Prezydent tymczasem uważa, że przewidziane ustawą kojce byłyby za duże, „wielkości kawalerki w miastach" (20 m kw. dla psa ważącego 30 kg). Złożył własny projekt ustawy, w którym nie ma ani definicji kojca, ani jego wymiarów. *– Oznacza to realne ryzyko, że psy mogą być zamykane na całe życie w kojcach zbyt małych, by zapewnić im komfort czy możliwość swobodnego ruchu. W wielu przypadkach może się okazać, że psy trzymane dotąd na łańcuchach miały większą przestrzeń od tej w źle zaprojektowanych kojcach* – mówi Anna Zielińska wiceprezeska Fundacji Viva! Kojcem będzie mogło być wszystko, także klatka zbita z desek, wielkości metr na dwa, w której całe swoje życie będzie spędzać pies wielkości owczarka.

Głosowanie w sprawie odrzucenia prezydenckiego weta zaplanowano na 17 grudnia. Klub PiS ma wstrzymać się od głosu, co oznacza poparcie dla Nawrockiego i utrzymanie jego weta. Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty zaprosił obrońców zwierząt do protestów przed gmachem parlamentu: „Przyjdźcie! Odrzućmy łańcuchy!" – apelował.

W sieci 64 proc. komentarzy to krytyka weta prezydenta. Tylko 29 proc. popiera Nawrockiego – podaje Res Futura Data House. (AS)

Darmowe zdrowie

Zbigniew Bogucki z Kancelarii Prezydenta ogłosił, że jego szef uratował służbę zdrowia, podpisał bowiem ustawę, która umożliwia przekazanie do NFZ jeszcze w tym roku 3,6 mld zł z Funduszu Medycznego. FM pochodzi ze środków budżetowych. PiS powołał go, gdy Andrzej Duda zamiast na onkologię przekazał 2 mld zł TVP Jacka Kurskiego. Prezydent oddał zatem nasze pieniądze. Ale gdzie tu ratunek?

Ubiegłotygodniowe szczyty zdrowia – rządowy i prezydencki – nie przyniosły nadziei, że ochrona zdrowia zacznie funkcjonować sprawniej. Politycy nie są zdolni, aby ponad podziałami dogadać się w kwestii tego, co naprawdę uzdrowi publiczne lecznictwo, i przyznać, że to musi kosztować. Zamiast tego udają, że dają.

Zjednoczona Prawica zniosła limity m.in. na tomografię i rezonans magnetyczny, zapewniając pacjentów, że kolejki się skrócą. Na badanie dostać się łatwiej, ale na jego opis trzeba czekać tygodniami, bo brakuje specjalistów. Prawica zrobiła ogromny prezent lekarzom i pielęgniarkom, uchwalając przy pomocy ówczesnej opozycji ustawę o płacy minimalnej dla zawodów medycznyc gwarantującą jej szybki wzrost każdego roku. Politycy nie pomyśleli jednak o finansowaniu. Skutek jest taki, że coraz wyższe płace medyków zjadają finanse szpitali i na leczenie pacjentów brakuje pieniędzy. Stąd wstrzymywanie przyjęć i nawet planowych operacji pod koniec roku.

Następny rok będzie jeszcze gorszy. Mimo że nieszczęsny Polski Ład wprowadził nowy podatek, czyli 9-procentową składkę na zdrowie, na koniec swoich rządów PiS zrobił nam kolejny prezent: darmowe leki dla seniorów oraz dzieci. Wszystkie te upominki miał sfinansować z naszych składek NFZ. Fatalny stan finansów Funduszu spadł na nową władzę.

Ale koalicja 15 października też robiła pacjentom prezenty. Przywrócono finansowanie procedury in vitro, znieczulenie przy porodzie, badania prenatalne. Tylko pieniędzy nie przybyło. PiS zagwarantował też rolnikom, że nie będą płacić ani podatku PIT, ani składki na zdrowie – bo wieś odwdzięcza się głosami. Obecnie rządzący też chcą robić prezenty. Partia Hołowni obiecała przedsiębiorcom, że zmniejszy im składkę na zdrowie. Lewica poleciała na skargę do prezydenta, ale sama też szuka takiego sposobu uzdrowienia publicznego lecznictwa, żeby nie zapłacili za to pacjenci. Ale czy podatnicy, którzy płacą podatki, nie są pacjentami?

Politycy przekonują, że zapewnią nam leczenie na najwyższym możliwym poziomie, nie wspominając przy tym, że to kosztuje coraz więcej, więc wszyscy musimy za to zapłacić. Bo wyborcom podoba się tylko pierwsza połowa zdania.

JOANNA SOLSKA

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC/FORUM, ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl 53e0f75d2b

Zmiany w języku

Wraz z nowym rokiem czeka nas sporo zmian, w tym także tych związanych z zasadami pisowni. To skutek decyzji Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN z 2024 r., która przynajmniej w teorii ma ułatwić nam życie i zmniejszyć liczbę popełnianych błędów.
Jak zatem będziemy pisać od stycznia 2026 r.?

✔ **Wielką literą** nazwy mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi (np. Gdynianka, Zalipianin)

✔ **Wielką literą** nie tylko nazwy firm, marek i modeli, ale również pojedynczych wyrobów (np. żółte Lamborghini)

✔ **Rozdzielnie** cząstki: „-bym", „-byś", „-by", „-byśmy", „-byście" ze spójnikami (np. Zapytałam, czy by nie mógł tego zrobić)

✔ „Nie-" z imiesłowami odmiennymi **łącznie** (np. nieopisany); podobnie z przymiotnikami (nienajlepszy) i przysłówkami odprzymiotnikowymi we wszystkich stopniach (niemiło)

✔ **Małą literą** wszystkie przymiotniki tworzone od nazw osobowych (np. koncert chopinowski)

✔ Człon „pół-" **łącznie** (np. półżartem). Ale w przypadku osób **z łącznikiem** (np. pół-Polka)

✔ Pary wyrazów równorzędnych **dowolnie**: z przecinkiem (np. tuż, tuż), łącznikiem (tuż-tuż) albo rozdzielnie (tuż tuż)

✔ **Wielką literą** wszystkie człony oprócz przyimków i spójników w nazwach: komet (np. Kometa Halleya), orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych (Honorowy Obywatel Miasta Krakowa), a także lokali usługowych i gastronomicznych (Bar pod Szalonym Psem)

✔ W przypadku nazw obiektów przestrzeni publicznej **wielką literą** także wyraz stojący na początku – typu: aleja, most, plac, park, kościół, pomnik, pałac, willa, molo czy kopiec (np. Cmentarz Rakowicki). Uwaga, wyjątek: **małą literą** nadal zapisujemy wyraz „ulica" (ulica Orłowska)

✔ Przedrostki **łącznie** z wyrazami pisanymi małą literą (np. superkomputer). Ale uwaga: **z łącznikiem**, jeśli wyraz zaczyna się od wielkiej litery (super-Europejczyk). Co więcej: **dopuszczalna jest rozdzielna pisownia** z wyrazami zapisywanymi małą literą cząstek takich jak: „super-", „ekstra-", „eko-", „wege-", „mini-", „maksi-", „midi-", „mega-", „makro-", które mogą występować również jako samodzielne wyrazy (np. miniwieża lub mini wieża)

✔ Cząstki „niby-" i „quasi-" **łącznie** z wyrazami zapisywanymi małą literą (np. quasinauka, nibynóżki). Ale: **z łącznikiem** przed wyrazami wielką literą (niby-Polak)

✔ Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk) zakończone na „-owy", „-in(-yn)", „-ów" **małą lub wielką literą** (np. poezja miłoszowa lub poezja Miłoszowa)

✔ Alternatywnie **małą lub wielką literą** nieoficjalnych nazw etnicznych (np. angol lub Angol). (MLV)

A o tym, jak ewoluuje nasz język, czytaj też na s. 12

Kerski żegna się z ECS

Wraz z końcem roku po 14 latach kierowania Europejskim Centrum Solidarności Basil Kerski „kończy swą misję". Przechodzi z Gdańska do Düsseldorfu na stanowisko pierwszego prezydenta „Domu Historii" Nadrenii-Północnej Westfalii. Niby zwykła kolej rzeczy, jednak w tym wypadku znacząca, bo idzie w parze z „zakończeniem misji" Kerskiego jako redaktora naczelnego polsko-niemieckiego magazynu „Dialog". We wprowadzanej dziś przez prawicę atmosferze „Kulturkampfu" otwartość Kerskiego była solą w oku wrzaskliwych narodowców. Drażnił swoją trojaką tożsamością. Urodzony w Gdańsku, syn Polki i irackiego lekarza, dorastający i wykształcony w Niemczech, politolog-poliglota, przez lata, jeszcze za życia Giedroycia, związany ze środowiskiem paryskiej „Kultury". Był znakomitym przykładem Polski otwartej na Europę i świat.

Dla ECS był strzałem w dziesiątkę. Centrum programowo dokumentuje wybuch i dorobek polskiej Solidarności w kontekście europejskich ruchów wolnościowych XX i XXI w. W ten sposób współgra z pierwotną koncepcją gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, skoncentrowaną nie tyle na ilustracji wysiłku militarnego krajów objętych wojną, ile warunków życia i martyrologii ludności cywilnej.

W listopadzie 2007 r. miasto Gdańsk, marszałek woj. pomorskiego, Ministerstwo Kultury oraz NSZZ Solidarność powołali ECS. W 2009 r. Basil Kerski został członkiem Rady ECS; w 2011 r. – dyrektorem Centrum (gmach otworzono trzy lata później). Był nie tylko gospodarzem i moderatorem międzynarodowych dyskusji, ale i znakomitym cicerone. Stał się też instytucją w polsko-niemieckim dialogu.

Kerski zarzeka się, że nie wyprowadzi się z rodzinnego Trójmiasta. „Mieszkam w Gdyni, chcę tu nadal być, współpracować z ECS przy projektach międzynarodowych, zabierać głos w ważnych dla nas, Polaków, debatach. Dla mnie Gdańsk to nie punkt w życiorysie, tylko miejsce, które kształtuje sposób myślenia o świecie" – tłumaczy. (AKRZEM)

eprasa.pl 53e0f75d2b

TYDZIEŃ W POLITYCE

Nowe Centrum

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.

Ostatnie tygodnie obfitowały w sondaże: od tych tradycyjnych, wskazujących na poparcie dla istniejących już partii politycznych, po te bardziej prognostyczne, sugerujące, jakiego krajobrazu powyborczego w 2027 r. pragną Polacy. Ich lektura prowadzi do kilku istotnych wniosków, z których dwa są najważniejsze. Po pierwsze, w naszym kraju pojawiło się miejsce na nową partię centrową lub centroprawicową, która zagospodaruje przestrzeń zwolnioną przez upadający projekt Polska 2050 Szymona Hołowni. Po drugie, nawet jedna trzecia Polaków liczy na pojawienie się zupełnie nowego tworu politycznego (SW Research dla Onet), co najlepiej pokazuje stopień zmęczenia wyborców starymi graczami politycznymi z Jarosławem Kaczyńskim i Donaldem Tuskiem na czele.

Dwa główne ugrupowania polityczne: KO i PiS od lat stopniowo, ale sukcesywnie się polaryzują, przyjmując coraz bardziej skrajne stanowiska. Zjawisku temu towarzyszy silny afekt, który już jakiś czas temu wymknął się spod kontroli i z rytualnej wzajemnej niechęci przekształcił w jawną wrogość. Jako że polaryzacja działa mobilizująco na wyborców, politycy bez skrupułów napędzają to zjawisko, podkreślając ideologiczne różnice i demonizując przeciwników politycznych.

O ile wyborca liberalno-lewicowy ma jednak pewien wybór, mogąc wybierać między KO, Lewicą, Razem, a przy odrobinie uporu – także PSL, o tyle wyborcom o bardziej konserwatywnych poglądach wybór skurczył się w zasadzie do: Konfederacji Nowa Nadzieja, Konfederacji Korony Polskiej i udającego Konfederację PiS. Jarosław Kaczyński, wychodząc z założenia, że na prawo od niego jest już tylko ściana, podejmuje samobójcze próby ścigania się na radykalizm z Grzegorzem Braunem, co faktycznie odnosi skutek, jednak przeciwny do zamierzonego. Konfederacja rośnie w siłę, natomiast bardziej umiarkowani wyborcy coraz częściej czują się osamotnieni.

Wyborcy konserwatywni nie stanowią jednolitej grupy i wielu spośród nich nie utożsamia się np. z antyunijnymi czy wręcz antyeuropejskimi poglądami zdecydowanej większości polskiej prawicy. Taki hipotetyczny wyborca partii centroprawicowej ma zapewne krytyczny stosunek do progresywnych nurtów polityki unijnej i jest zaniepokojony ostatnim wyrokiem TSUE w sprawie związków jednopłciowych, uznaje jednak członkostwo Polski w UE za wartość bezsprzeczną i niepokoi się wizją polexitu snutą przez skrajną prawicę. Jest przywiązany do Kościoła, lecz krytyczny wobec jego nadmiernej ingerencji w politykę i nieufny w stosunku do jego hierarchów, alergicznie reagujący na całowanie rąk księdza Tadeusza Rydzyka przez polityków PiS. Jest raczej przeciwny migracji, ale też brzydzi się ksenofobicznymi hasłami. Proukraiński, ale wymagający od polityków stawiania interesów Polski na pierwszym miejscu. Jednym słowem – umiarkowany.

Powstanie partii mogącej wchodzić w koalicję zarówno z KO, jak i z PiS mogłoby zmienić polską scenę polityczną, odbierając znaczenie Konfederacji, która obecnie jest języczkiem u wagi. Zostały dwa lata, żeby taki projekt powstał. Moi studenci zaproponowali już nawet nazwę: Nowe Centrum. I hasło wyborcze: „Bo odpowiedzialność to siła". Na dobry początek wystarczy.

Gdzie rodzić

Już 1 stycznia ma wejść w życie rozporządzenie ministry zdrowia – nowy pomysł na zamykane w całym kraju oddziały położnicze. Tam, gdzie brakuje porodówki, na szpitalnym oddziale ratunkowym lub w izbie przyjęć będzie dyżurowała położna, która odbierze poród lub zdecyduje o przewiezieniu pacjentki do specjalistycznego oddziału w innej placówce. Zmiana ma objąć te szpitale, które chcą likwidować oddziały położnicze, a odległość do następnej placówki z oddziałem położniczo-ginekologicznym wynosi ponad 25 km. Generalnie zasada powinna być taka, żeby pacjentki do miejsca porodu mogły dojechać w ciągu maks. 30 min – zapowiadała jeszcze poprzednia ministra zdrowia Izabela Leszczyna.

Jak zbadał „Rynek Zdrowia", od stycznia 2024 do lipca 2025 r. zamknięto w Polsce 19 porodówek (jest ich dziś w całym kraju 328); zawieszono kolejnych 18. Najwięcej zamknięto na Śląsku, w Małopolsce, na Warmii i Mazurach oraz w woj. kujawsko-pomorskim. Najczęstszy powód: nierentowność z powodu spadku liczby urodzeń. Ale chodzi też o coś innego – o bezpieczeństwo porodów, którego brakuje, jeśli dzieci rodzi się coraz mniej. Wyliczono bowiem, że 400 porodów rocznie to minimum dla utrzymania finansowej stabilności oddziałów położniczo-ginekologicznych. Przy 200–300 porodach porodówka generuje 5–6 mln zł strat rocznie. Tak było m.in. z głośną sprawą ostatniej porodówki w Bieszczadach – walczyli o nią mieszkańcy, ostatecznie została zamknięta w połowie tego roku.

– Mapa porodówek musi się zmienić, bo demografia się zmienia, to oczywiste, że musimy o tym porozmawiać. Martwi mnie jednak, że dyskusja rozwija się medialnie, a nie w gronie ekspertów w MZ. Wysyłamy swoje uwagi do resortu w ramach konsultacji publicznych, prosimy o spotkanie, ale jest cisza – mówi Joanna Pietrusiewicz z Fundacji Rodzić po Ludzku. Przeciwna rozporządzeniu jest także Federa Fundacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny: „»Pokój narodzin« w budynku bez zaplecza położniczego może wyglądać jak rozwiązanie, ale nie zastąpi oddziału, który ma salę operacyjną, anestezjologię i personel obecny na miejscu, a nie »w razie potrzeby«. Krwotok nie poczeka, aż operator dojedzie do szpitala".

Resort zdrowia podkreślał, że w trakcie konsultacji społecznych wpłynęło dużo uwag – także od zaniepokojonych pacjentek. Problem będzie tylko narastał, a porodówki bez centralnego planu i pomysłu na ich generalną reformę będą zamykane – jak dotąd – chaotycznie. I to w sytuacji, w której tak bardzo podkreśla się potrzebę przeciwdziałania spadkowi urodzeń. (AGSZCZ)

© MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl 53e0f75d2b

* Zasięg samochodu został określony zgodnie z wytycznymi światowej zharmonizowanej procedury badania pojazdów lekkich (WLTP). Rzeczywisty zasięg może różnić się w zależności od wyposażenia i czynników indywidualnych. Faktyczny zasięg osiągnięty w realnych warunkach różni się w zależności od stylu jazdy, prędkości, korzystania z udogodnień (np. ogrzewanie foteli, klimatyzacja), wyposażenia dodatkowego, temperatury zewnętrznej, liczby pasażerów/obciążenia, topografii terenu oraz wieku i zużycia akumulatora.
W zależności od wersji samochod u średnie zużycie energii oraz emisja CO_2 (na podstawie WLTP) dla Mazdy 6e wynoszą odpowiednio: 16,6 kWh/100 km oraz 0 g/km. Samochody Mazda są wyposażone w układ klimatyzacji zawierający fluorowany gaz cieplarniany o współczynniku ocieplenia globalnego powyżej 150. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji znajdują się na mazda.pl

MAZDA

eprasa.pl 53e0f75d2b

Strategia separacji

Donald Trump czarno na białym napisał i opatrzył charakterystycznym autografem to, co od miesięcy mówił o świecie, Europie, Rosji, sojusznikach i rywalach. Długo oczekiwana **Narodowa Strategia Bezpieczeństwa** nie przyniosła wiele nowego dla „świata według Trumpa", choć czytelników pierwszy raz stykających się ze specyficznym językiem ruchu MAGA może szokować.

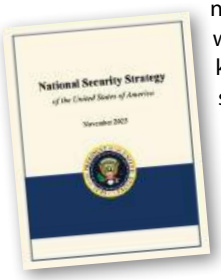

Zawiera odrzucenie wszystkiego, co definiowało Stany Zjednoczone przez ostatnie kilkadziesiąt lat jako lidera ukształtowanej po drugiej wojnie światowej wspólnoty wolnego Zachodu, by wprost przywołać pochodzącą sprzed lat dwustu (!) „doktrynę Monroego" z trumpowską poprawką. Chodzi o arbitralne uznanie przez USA swojej niepodzielnej dominacji na zachodniej półkuli globu, z prawem do ekonomicznej, politycznej i zbrojnej interwencji w politykę państw obu Ameryk oraz do swobodnej kontroli ich strategicznych obszarów i zasobów naturalnych. Nikt nie ma prawa w tym przeszkadzać, bo Trump uznaje tę część świata za swoją.

Resztą globu jest w stanie się podzielić na zasadzie „strategicznej stabilności". Rosyjskie zagrożenie dla Europy traktuje jako wymysł mniejszościowych i niedemokratycznych rządów na kontynencie, którego „większość chce pokoju". Za cel stawia więc szybkie zakończenie wojny Rosji z Ukrainą i układ między Rosją a Europą, którą skądinąd pogardza i przepowiada jej upadek. Chyba że „zdrowe" kraje ze wschodniej, środkowej i południowej Europy odwrócą „obecną trajektorię" przy wsparciu Ameryki. Waszyngton zapowiada aktywny opór wobec europejskiej integracji, imigracji, polityki klimatycznej i „dominacji ponadnarodowych instytucji".

To jeszcze nie rozwód, ale na pewno separacja. Ameryka pozostaje partnerem Europy i formalnie jest też sojusznikiem, choć na dystans. Dużo mniej zaczepna jest strategia wobec Chin, do tej pory uznawanych za strategicznego rywala. Ameryka ma się przeciwstawiać chińskiej dominacji, ale głównie środkami ekonomicznymi, unikając konfrontacji zbrojnej. Odstraszać i bronić Indopacyfiku może, ale po przerzuceniu znacznej odpowiedzialności na azjatyckich sojuszników.

Dla partnerów wybór jest brutalnie prosty: albo są Ameryce przydatni i realizują jej interesy, albo zostaną przymuszeni lub zignorowani. Bo Trump chce pokoju i spokoju wyłącznie na własnych warunkach i tylko po uznaniu swojego prymatu. Europa dostała z USA kolejną gorzką pigułkę, ale musi ją przełknąć, by jak najszybciej odbudować siłę niezbędną do negocjowania na bardziej równych warunkach.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

FIFA rozdaje radość

Sternicy światowego futbolu mają zasłużoną renomę ludzi oderwanych od rzeczywistości, a jednocześnie łaszących się do populistów, ale podczas ceremonii losowania grup przyszłorocznego mundialu w USA, Meksyku i Kanadzie poprzeczka pompatyczności i wazeliniarstwa została zawieszona rekordowo wysoko. Widmo trzeciej wojny światowej, kryzys klimatyczny, migracje z biednego i gorącego Południa oraz inne problemy spędzające sen z powiek? Na szczęście w tych ciężkich czasach jest FIFA – jak stwierdził jej prezydent **Gianni Infantino**, „oficjalny dostarczyciel radości dla ludzkości".

Ma w tej niełatwej misji dzielnego sekundanta w osobie prezydenta USA **Donalda Trumpa**, który jest tak pochłonięty zaprowadzaniem pokoju na świecie, że gubi się w liczbie konfliktów zbrojnych, które za jego pośrednictwem udało się zakończyć. Raz naliczył ich sześć, innym razem aż osiem. FIFA nie bawiła się w takie szczegóły jak weryfikowanie prawdziwości przechwałek amerykańskiego prezydenta i podczas losowania Infantino uhonorował Trumpa specjalną nagrodą pokojową ustanowioną z myślą o tych, którzy dzięki „niezachwianemu zaangażowaniu oraz działaniom specjalnym na rzecz pokoju łączą ludzi".

Kilka godzin wcześniej w Waszyngtonie podpisano traktat pokojowy między Demokratyczną Republiką Konga a Rwandą (Trump uważa się za jego patrona), ale walki tam trwają, wojsko izraelskie kontynuuje „punktowe uderzenia" w Strefie Gazy i okupację jej ruin, na wojnie w Ukrainie ciągle daleko do pokoju, a konflikty między Etiopią i Egiptem oraz Serbią i Kosowem (Trump wlicza je w poczet przez siebie zażegnanych) nie zdążyły nawet wybuchnąć.

Laureat odebrał honor z wyraźną satysfakcją; nie dał po sobie poznać, że jest to zaledwie marna imitacja pokojowego Nobla, na którego punkcie ma obsesję; stwierdził, że spotkał go jeden z największych zaszczytów w życiu; i paradował po scenie z okolicznościowym medalem. Obiecywał również, w duecie z Infantino, mundial wyjątkowy i przykrywający rozmachem wszystkie poprzednie, a może i kolejne.

Jedno jest pewne: będzie to turniej rekordowy pod względem liczby uczestników (48 zespołów), bo Infantino spełnił wyborczą obietnicę, dzięki której wciąż rządzi. Na mistrzostwach zobaczymy m.in. Haiti, Wyspy Zielonego Przylądka, Uzbekistan i Curaçao. Polska musi o awans walczyć w barażach (w grupie czekają ewentualnie Tunezja, Japonia i Holandia), a mając w pamięci dokonania polskiej reprezentacji na ostatnich turniejach, lepiej się wstrzymać z epatowaniem wyższością wobec egzotycznych debiutantów.

© KYODO NEWS/GETTY IMAGES, MP, SHUTTERSTOCK, NIKOLAY DOYCHINOV/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 53e0f75d2b

Poligon Australia

Facebook, Instagram i Threads jako pierwsze zaczęły usuwać konta Australijczykom, którzy nie ukończyli 16 lat. Dla pozostałych z dziesiątki największych platform, m.in. TikToka, Snapchata, X i YouTube, takie obostrzenie (pierwsze tego rodzaju na świecie) wchodzi w życie 10 grudnia. Obejmuje zakaz zakładania kont i likwidację istniejących, ale będzie można je zarchiwizować albo zamrozić do 16. urodzin. Na przygotowania był rok i rzecz jasna padało pytanie, czy to się da wyegzekwować. Ustawodawca nie narzuca metody weryfikacji wieku, wymaga jedynie, żeby nie była jednoetapowa (np. tylko na podstawie dokumentu tożsamości) i zapewniała skuteczność. Według rządowego raportu żadna w pojedynkę taka nie jest (np. ustalanie wieku na podstawie obrazu twarzy miewa dokładność plus minus dwa lata). Ale jeśli liderzy nowych technologii potraktują rzecz poważnie, powinni dać sobie radę.

Kolejne życiowe pytanie: jak obejść zakaz? A sprawa dotyczy aż 96 proc. młodych Australijczyków w wieku 10–15 lat, którzy korzystają z mediów społecznościowych. I często jest to dla nich podstawowa forma aktywności; są na „dopaminowej kroplówce". Można skorzystać z podobnych platform spoza zabronionej dziesiątki, a bardzo je teraz promują wynajęci influencerzy. Ale do czasu; Julie Inman Grant, komisarz ds. e-bezpieczeństwa, zastrzega, że obecnie przechodzimy „okres ząbkowania", ale po analizie lista zakazów może zostać poszerzona.

Niewykluczone, że zmieni się to w zabawę w kotka i myszkę, a młodzi na głodzie wylądują w czarnych zakamarkach internetu, gdzie kontroli nie ma żadnej. Prościej jest iść na współpracę z rodzicami – co trzeci w niedawnym sondażu zadeklarował, że pomoże dziecku pokonać zakazy. Ani dzieci, ani rodziców nie spotka kara, która dotyczy tylko firm internetowych. Dwie trzecie ankietowanych popiera zakaz, wielu wyraża wdzięczność, że „ban na socjale" wziął na siebie rząd, uwalniając ich od drastycznych decyzji dotyczących własnych dzieci. W sprawę, także jako ojciec, zaangażował się premier Anthony Albanese, który mówił z emfazą o ustawie, że „przywraca młodość". Wydaje się też bardzo dumny z pionierskiej roli Australii w tej kwestii. I faktycznie – to może wywołać lawinę.

Zetki po bułgarsku

Bułgaria protestuje. Wielotysięczne demonstracje zebrały się w stołecznej **Sofii** i największych miastach. Doszło do starć z policją, zamaskowani demonstranci atakowali siedziby partii, aresztowano ponad 70 osób. Uczestnicy domagali się ustąpienia rządzącej mniejszościowej koalicji, złożonej z centroprawicowych i prawicowych populistów, sprzymierzonych z prorosyjskimi socjalistami, a popieranej przez nacjonalistów, za którymi stoi szemrany oligarcha Delan Peewski.

Bezpośrednim pretekstem był projekt budżetu zapowiadający podwyżki podatków, składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. Chodziło też o całokształt życia publicznego, na czele z bujną korupcją, nepotyzmem i brakiem niezależnego sądownictwa. Manifestanci twierdzą, że propozycja budżetowa, już wycofana, a przygotowana pod kątem wejścia 1 stycznia do strefy euro, została zaprojektowana tak, by umożliwić ludziom władzy niekontrolowane uwłaszczenie na państwowych pieniądzach. A także zapewnić koalicji poparcie wśród pracowników budżetówki, którym obiecano wzrost płac.

W najbiedniejszym państwie Unii Europejskiej – podobnie jak wcześniej w Nepalu, na Madagaskarze i w sąsiedniej Serbii – zaktywizowały się zetki, czyli przedstawiciele pokolenia urodzonego na przełomie tysiącleci. Mają dość braku atrakcyjnych perspektyw i dominacji poprzednich generacji, których personifikacją w bułgarskim przypadku od ponad dekady pozostaje oligarcha Peewski, rocznik raptem 1980. Jego kariera stała pod znakiem zręcznej „synergii" między wielkim prywatnym majątkiem, wypracowanym wspólnie z matką, byłą szefową loterii państwowej, a zmonopolizowanym przez jego firmy krajobrazem medialnym, w którym

zaznaczył swoje polityczne wpływy. Obecnie jest deputowanym do Zgromadzenia Narodowego i stoi na czele partii niezbędnej gabinetowi do rządzenia, ale w przeszłości zdążył być szefem odpowiednika polskiej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Za Peewskim ciągnie się długa lista zarzutów, których rezultatem jest m.in. wpis na amerykańską listę sankcyjną i zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii. Także w poprzednich bułgarskich protestach – z lat 2013–14 i 2020–21 – szło o nieprzejrzystą rolę Peewskiego. Drugim antybohaterem demonstrantów pozostaje Bojko Borisow, były karateka, były policjant, były burmistrz Sofii, były premier przez trzy kadencje, a obecnie szeregowy poseł, który nie piastuje żadnego stanowiska ministerialnego, choć faktycznie zawiaduje największą partią tworzącą rząd. Prezydent Rumen Radew (były generał sił powietrznych) wzywa do przedterminowych wyborów. Byłoby to jednak czwarte głosowanie od kwietnia 2021 r. Przewlekła niestabilność to także cecha bułgarskiej polityki. I tego też mają dość protestujący.

eprasa.pl 53e0f75d2b

TEMAT TYGODNIA

Co się szponci w języku

Trójka zwycięzców Młodzieżowego Słowa Roku wydaje się dziwna: szpont/szponcić, 6–7, OKPA. Ale kryją się za nią zjawiska poważne, ciekawe i niebezpieczne. Od niektórych – uwaga! – podobno gnije mózg.

BARTEK CHACIŃSKI

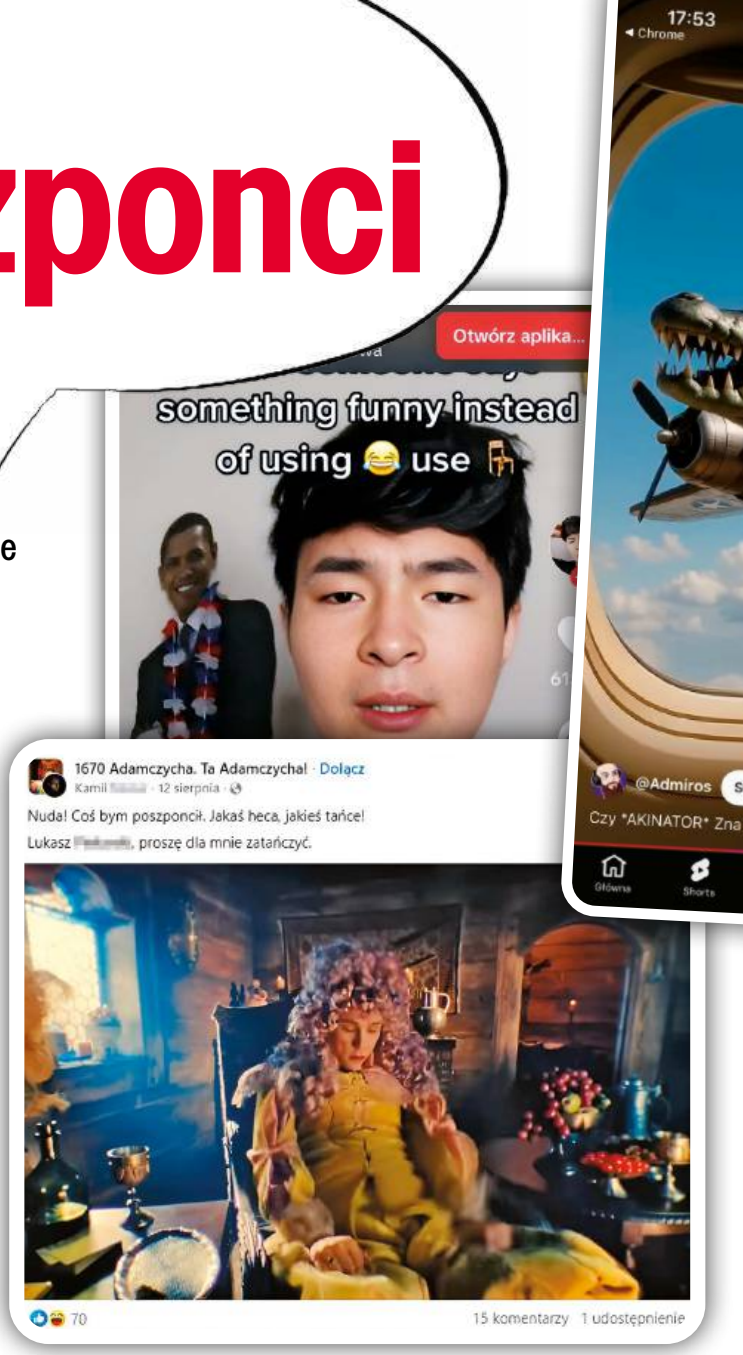

Jak się rodzą nowe słowa? Szybko. Weźmy historię sprzed czterech lat: 8 września 2021 r. tiktokowy gwiazdor Anthony Mai (obecnie 1,1 mln obserwujących) zaproponował swoim odbiorcom zabawę: wszędzie, gdzie komentują coś śmiesznego, mają zamiast symbolu roześmianej buźki używać symbolu... krzesła. Sześć dni później nagrał kolejny filmik: „zaczęli o naszym wewnętrznym żarcie pisać artykuły". Po kolejnych kilku pytanie „Co oznacza emoji z krzesłem" było już na szczycie wyszukiwań Google'a – wyżej niż „Jakie działanie wywołuje szczepionka na covid". Oficjalny profil TikToka nawoływał: „Hej, bracie, musisz przestać" – po czym pojawiały się cztery ikonki krzeseł. A w polskim słowniku miejski.pl zdążyło się pojawić nowe wyrażenie: „odjeb...ć krzesło" – z definicją: „Zrobić coś tak niezręcznego, że twoim znajomym wstyd, że cię znają".

Słowa czy brainroty?

Przez kilka tygodni najbardziej wpływowe medium kreujące dziś zmiany językowe krzesło definiowało jako głośny śmiech. Tyle że za parę tygodni wszystko wróciło do normy, a emoji z siedziskami „niemal zniknęły z sieci" – zauważa Adam Aleksic, autor językoznawczej książki „Algospeak" (w podtytule: Jak social media zmieniają przyszłość języka). Dlaczego tak się stało? Amerykański lingwista tłumaczy to tym, że – jak przy wszystkich rozchodzących się wirusowo zabawach – zadziałały prawa socjologii: innowatorzy podchwycili nowinkę błyskawicznie i zapewnili jej światowe zasięgi, ale gdy wynalazek trafił do maruderów zmian, był ciągle dość enigmatyczny. A tu – zauważa Aleksic – włączyła się kolejna zasada: kiedy nowe słowo trafia do maruderów, innowatorzy podejmują decyzję: uznać, że straciło wdzięk, albo przyjąć na stałe. W tym wypadku rzecz miała być „wewnętrznym żartem". Kiedy więc świat dowiedział się o jego znaczeniu, porzucili je, a słowo straciło atrakcyjność.

To tylko pojedynczy przykład, ale doskonale tłumaczy zasady rozchodzenia się neologizmów w epoce mediów społecznościowych. Przyda się też przy przewidywaniu dalszych losów tegorocznej czołówki Młodzieżowego Słowa Roku.

Najpierw wyjaśnijmy hasło „brainrot". Jeśli ktoś przegapił plebiscyt sprzed roku, powinien wiedzieć, że już tam się pojawiło i już wtedy oznaczało treści, które szczególnego znaczenia nie mają. Czasem w ogóle nie da się ich zdefiniować – jak „skibidi", które niesie tylko ogromne emocje, opisuje coś bardzo, bardzo... nie wiadomo tylko jakiego. Fajnego, głupiego, atrakcyjnego – to już drugorzędne. Ważne jest to, że generacja Alfa (ludzie urodzeni po 2010 r.) takie nonsensowne słowa lubi, a starsze od nich zetki zaczęły to krytykować, zarzucając, że dzieciakom gniją mózgi od ciągłego kontaktu z internetem. I owo „gnicie mózgu" opisuje brainrot. Jest to więc kolejna odsłona pouczania młodszych przez starszych, tyle że w tym odcinku obie grupy są dość młode. Starsza młodzież, jeszcze niedawno wytwarzająca memy i neologizmy, okazuje wyższość najmłodszym, którzy w świecie memów już dorastali. Pozostali niewiele z tego rozumieją.

eprasa.pl 53e0f75d2b

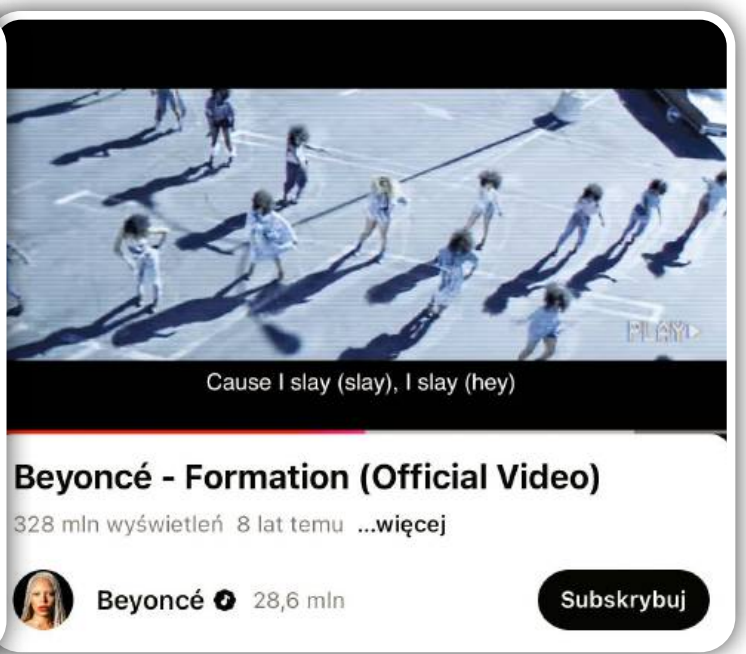

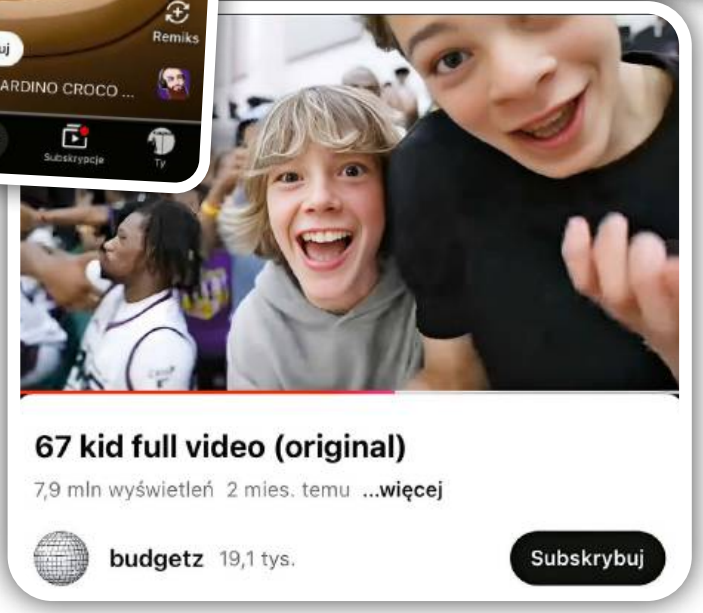

I tak fenomenu 6–7 nie zgłębił dotąd nikt. Owszem, wiemy, że użył tej zbitki raper Skrilla w utworze „Doot Doot (6 7)", który odnosił się do jego adresu w Filadelfii (67. Ulica) oraz do kodu policyjnego 67, oznaczającego w USA zgłoszenie o śmierci. Ale za popularność dwóch cyfr odpowiada nastolatek, którego sfilmował przypadkowo amerykański youtuber na amatorskim meczu koszykówki. Chłopak zaczął przed kamerą krzyczeć „six – seven", wymachując rękami. Internet podchwycił tę prostą choreografię, filmik z nastolatkiem zaczął żyć własnym życiem, a bohater doczekał się przydomku 67 Kid. Dziś bywa gościem specjalnym na koncertach Skrilli, sam stał się influencerem i prowadzi (zapewne z pomocą rodziców) własny sklepik z koszulkami z cyframi 6 i 7 – póki da się na tym zarobić.

Bo na razie zbitka jest wciąż popularna. Anglojęzyczny serwis dictionary.com przyznał jej swój tytuł słowa roku, a kiedy w październiku Belgowie protestowali przeciwko podniesieniu progu emerytalnego do 67. roku życia, zdjęcia z demonstracji obiegły świat, bo kojarzyły się z hasłem „6–7". Pewien student ekonomii zaproponował w serwisie X, by i u nas rząd podwyższył wiek emerytalny do 67 lat na fali popularności tej zbitki, jeśli wygra Młodzieżowe Słowo Roku. Problem w tym, że w grupie przedemerytalnej hasło rozpoznawcze nastoletnich alf może mieć niską rozpoznawalność.

Nowy język bywa stary

Tych starszych ucieszy za to, jak wiele słów z tegorocznego plebiscytu już wcześniej znali. Z XIX-wiecznego słownika Samuela Lindego można się było dowiedzieć, że szpunt lub szpónt to otwór w beczce wina lub piwa, ewentualnie coś, czym się ten otwór zatyka. A szpacić – oszpecać, plugawić, szkaradzić. Jeśli ktoś studiował słowniki gwary więziennej, wie, że szpącić to tyle, co grypsować. A słowo szpont oznaczało u Klemensa Stępniaka (który podsłuchiwał i notował tajemną gwarę w samych więzieniach) oszustwo, kradzież lub konflikt.

Dziś zwycięskie szponcić (pisane raczej przez „on") to raczej kombinowanie, cwaniactwo albo wygłupy i szalone akcje. Tak jak to utrwalili w języku raperzy (o „osiedlowych szpontach" opowiadał Kaz Bałagane) i jak w dialogu Jakub Rużyłło, scenarzysta serialu „1670", włożył w usta XVII-wiecznemu synowi magnata Henrykowi Lubopolskiemu. Ten, znudzony wizytą u drobnego szlachcica, rzecze: „Coś bym poszponcił... jakaś heca, jakieś tańce".

Ale to jeszcze nie koniec: do absurdu doprowadził opowieść o szpontach i szponceniu youtuber Makaljer. W swoich filmach twierdził, że poznał tajniki AI, odgrywał zwolennika najdzikszych teorii spiskowych – o tym na przykład, że sprzęt komputerowy „żywi się biopolem energetycznym człowieka" i ma bezpośredni wpływ na naszą psychikę, „odpalając energię kundalini". „To kures...wo pier...one, garbate, jeb...ne, wypierd...la mi chałupy czym prędzej – i to nie jest żaden szpont" – wskazywał na swój komputer. Jedni w tę kreację z pogranicza patostreamingu uwierzyli, inni jednak uznali za ściemę, czyli szpont. Za to Faza, nowa grupa influencerów powstała pod skrzydłami opisywanego u nas (POLITYKA 32/21) Friza i jego Ekipy, postanowiła czym prędzej na zjawisku zarobić, nagrywając piosenkę „Szpont X" z tekstem „Odpalam skuter, zaraz skończymy w basenie. Jesteście cali? Z nami szpont zawsze masz w cenie". ▶

© TIKTOK/@ANTHONY MAI, FACEBOOK.COM/1670 ADAMCZYCHA, TA ADAMCZYCHA!, YOUTUBE.COM/@ADMIROS, FACEBOOK.COM/SENORITAINFLUENCER, YOUTUBE.COM/@OGSOURCES, YOUTUBE.COM/@BEYONCE

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ Starsi mogą też odetchnąć z ulgą przy takich słowach jak „klasa" i „szacun", finalistach Młodzieżowego Słowa Roku. To pierwsze w znaczeniu „pierwszorzędny" notował już słownik Doroszewskiego ponad pół wieku temu. To drugie neologizmem było w latach 90., gdy młodzież nagminnie obcinała końcówki różnych słownikowych wyrazów, a na łamach POLITYKI pojawiało się już 20 lat temu.

Globalne fenomeny

W innych językach też dochodzi do takiego recyklingu słów. Weźmy kolejnego finalistę: slay. To prastary czasownik, który w języku angielskim pamięta czasy średniowiecza i legendy o świętym Jerzym, który zabił smoka. Pierwotnie slay – w staroangielskim *slēan* – odnosiło się do zadania ciosu w walce i niszczenia, zabijania. W nowym znaczeniu – „porażać wyglądem, wymiatać" – trafiło do tajnego języka kształtującej się przez cały XX wiek „sceny balowej", skupiającej mniejszości LGBT na imprezach z popisami drag queens. W latach 90. odtajnił nieco ten język dokument „Paryż płonie", a w XXI w. – telewizyjny reality show „RuPaul's Drag Race" oraz Beyoncé w piosence „Formation": „I slay, I slay, I slay all day" – „porażam przez cały dzień". To od nich trafiło na Instagram i TikToka.

W ten sposób wydarzyło się coś takiego jak z gwarą więzienną wyprowadzoną poza mury zakładów karnych przez Klemensa Stępniaka: slangowe znaczenie zostało zupełnie odarte z tajemnicy i odebrane pierwotnym użytkownikom. Zdaniem Adama Aleksica fakt, że dziś słowa „slay" używają w pierwszej kolejności kobiety, świadczy zdaniem językoznawcy o mniejszym dystansie między heteroseksualnymi dziewczynami a społecznością LGBT niż w przypadku heteroseksualnych chłopców.

Identycznie jest z synonimem „slay", czyli słowem „ate" – dosłownie: zjadłaś/zjadłeś to. To kolejne hasło ze slangu amerykańskich drag queens – choć korzeniami tkwiące co najmniej w XVII w. – też służy jako powszechny komplement czyjegoś wyglądu lub ubioru: „zjadłaś ten outfit" albo „you ate z tym outfitem". I jest zarazem jednym z wielu dziś globalnych fenomenów: słów, które błyskawicznie zyskują popularność na całym świecie. Wśród finalistów Młodzieżowego Słowa Roku należą do nich 6–7, skibidi oraz freaky – to ostatnie oznacza kogoś dziwacznego, osobliwego, przekraczającego społeczne normy.

Hakowanie algorytmów

Uniwersalne stają się też nowe wyrażenia obraźliwe i inwektywy. Tych Młodzieżowe Słowo Roku regulaminowo nie odnotowuje, ale wiemy, że są zgłaszane, i to masowo. Nowością w tej dziedzinie jest SYBAU – angielski skrót od „shut your bitch ass up", czyli „zamknij się" w bardziej rozwiniętej i wulgarnej formie, którą słownik miejski.pl tłumaczy brutalnie jako „zamknij dupę, suko".

To akronim popularny w mediach społecznościowych, podobnie jak THOT („that hoe over there" – „ten szon"). Oba pozwalają w zręczny sposób omijać algorytmy, bo skrzętnie ukrywają wulgaryzmy, należą więc do tzw. algospeaku opisywanego szerzej na naszych łamach latem (POLITYKA 35). Bo młody język, który zawsze był tworzony w opozycji do języka poprzednich pokoleń, próbuje się dziś zmagać z czym innym: egzekwowanymi automatycznie zasadami dotyczącymi prezentacji postów w sieci. Większość serwisów ogranicza widoczność wpisów, które wykorzystują obraźliwe słowa. Trzeba się więc uciec do wybiegów, żeby wyrażać się w sposób kontrowersyjny, wywołujący emocje, a przy tym dalej zbierać lajki na popularnych platformach.

W polskich warunkach takimi wybiegami są właśnie słowa w rodzaju popularnego „szona". To wulgarny synonim prostytutki, tyle że z uciętym pierwszym, najbrzydszym skądinąd członem, stworzony przez analogię do angielskiego „hoe". Ten z kolei jest eufemizmem wulgarnego angielskiego słowa „whore". Brzmi na tyle podobnie, że łatwo odczytać intencje piszącego. A można go zakodować jeszcze głębiej – pisząc „304", co jest odwróconym „hOE". Przechodzi też przez sito algorytmów zawołanie „japidi" (zamiast „ja p...lę"), okrzyk zdziwienia lub jęk zawodu – jak ten po przegranym gemie Igi Świątek: „Japidi, 30–0 było".

Jeszcze jeden polski neologizm zbudowany na tej samej zasadzie co szon to urwisko. „Urwisko się stacza" – pisano w serwisie X o znanym dziennikarzu. A o znanej polityczce po jej antyukraińskiej uwadze: „Jakie to jest urwisko, to aż brak mi słów". W letnim sezonie ogórkowym polskie media rozpisywały się o „szon patrolach", czyli młodych chłopcach przechadzających się w galeriach handlowych w poszukiwaniu zbyt wyzywająco ubranych kobiet, żeby im robić zdjęcia i piętnować w sieci. Więcej niż to zjawisko realnie znaczyło – bo całość była, podobnie jak wiele nowych słów,

Słowa i frazy popularne w 2025 r.

6–7 – liczbowa zbitka pozbawiona precyzyjnego znaczenia, za to rozpoznawalna i wykorzystywana w tiktokach na całym świecie

AI slop – synonim słowa „spam" opisujący zalew internetu treściami marnej jakości, generowanymi przy użyciu AI

broligarchia (broligarchy) – system polityczny dający pełen dostęp do władzy i kontrolę najbogatszym *tech bros* (czyli ludziom z sektora nowych technologii), określenie ukute w początkach drugiej kadencji Donalda Trumpa

freaky – dziwny, osobliwy, przekraczający normy – często w odniesieniu do upodobań seksualnych

lowkey – trochę, po cichu, bez afiszowania się

OKPA – połączenie „OK" i „pa" zamykające konwersację, często tę dłużącą się („dobrze, ale już kończmy")

sybau – zamknij się (w wulgarnej formule, ang. shut your bitch ass up)

szpont/szponcić – wygłup, szaleństwo, kombinowanie, intryga, a nawet oszustwo (i czasownik o analogicznym znaczeniu), Młodzieżowe Słowo Roku 2025

tuff – trudny (ang. tough), ale też atrakcyjny, fajny, w spolszczonej formie: tuffiasty

wina Tuska – ironicznie o zrządzeniu losu, za którym może się kryć czyjaś manipulacja

eprasa.pl 53e0f75d2b

kopią angielskiego mema z „thot patrolami". Należące do kultury inceli „szon patrole" trudno było więc uznać za wyraz szczególnych polskich problemów – i one pokazywały zjawisko globalne.

Wina TikToka

Lokalny pozostał za to styl, w jakim z nowym językiem splatała się polityka. Tu bohaterem roku był Szymon Hołownia, który po niesławnym nocnym spotkaniu z Adamem Bielanem tłumaczył się z pory: „to był mój jedyny tego dnia »slot« na spotkanie i rozmowę". Slot, czyli przedział czasowy, przestrzeń – jak na gwiazdę w programie letniego festiwalu. Nie na darmo Michał Danielewski pisał w POLITYCE, że trzecie siły są jak popowe hity wakacji – „nucimy je i za chwilę zapominamy".

Hołownia błysnął też rzuconą na finał Konkursu Chopinowskiego uwagą o tym, że „nawet sejm udało się w tym roku zaszopenić". Prezydent Karol Nawrocki, chcąc skomplementować jurorów, rzucił tego samego wieczoru inny neologizm: „intelektualna kaloria". Dwa miesiące wcześniej pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska nazwała „giertychówkami" – od nazwiska Romana Giertycha – skargi wyborcze masowo składane przez obywateli i dotyczące nieprawidłowości w przebiegu wyborów. Pojawiały się też uwagi o „skręconych wyborach" – tu używano neologizmu zaproponowanego sześć lat temu przez Grzegorza Brauna, który uznał wtedy za skręcone wybory na prezydenta Gdańska (bo przegrał je z Aleksandrą Dulkiewicz).

Nic jednak nie zdobyło w 2025 r. takiej popularności jak powtarzana przez ostatni rok fraza „wina Tuska", wszechobecna na TikToku, który podchwycił narrację PiS o Donaldzie Tusku jako wielkim manipulatorze i ośmieszył ją, doprowadzając do absurdu i używając tego hasła do ilustracji drobnych potknięć i codziennych problemów. „To nie ma żadnego kontekstu politycznego" – tłumaczyła na antenie TVP tiktokowa influencerka Natalia Sisik – „tylko jeśli dzieje się coś, czego nie możemy wyjaśnić, np. ugryzł nas komar, a okno w pokoju było zamknięte, to mówimy: wina Tuska". Hasztag #winatuska został więc przejęty przez dość neutralnie do samego polityka nastawioną młodzież albo wręcz zwolenników premiera. Google najwięcej wyszukiwań tej frazy notuje na Mazowszu, na Dolnym Śląsku i w Wielkopolsce, czyli rejonach raczej sprzyjających KO.

Jedno z głównych haseł twardej partyjnej polityki żyje więc na TikToku oderwane od pierwotnego kontekstu. W dodatku trafiło do grona popularnych brainrotów. Niczym absurdalne i nic nieznaczące „i do pieca" z popularnego filmiku kulinarnego o wypieku cynamonek. Albo Tralalero Tralala czy Bombardiro Crocodilo, czyli tzw. włoskie brainroty – piosenki lub filmiki z postaciami wykreowanymi przez AI, które wyznaczają najważniejszą w tym roku tendencję w social mediach: zalewanie ich przez wytwory sztucznej inteligencji.

AI slop – czyli „breja AI", określenie tego potężnego zalewu – było hasłem wracającym przez cały rok. A my znaleźliśmy się pomiędzy młotem a kowadłem: z jednej strony podsuwane nam przez algorytmy treści, które nakręcają atmosferę wzajemnej nienawiści, opisywane aktualnym słowem roku Oxford Dictionary (rage bait), z drugiej – serwowane przez AI niewinne głupoty, które mają poprawić nam humor, a przy okazji promują nowe formy językowe. Na ten dylemat aż brak słów. Przynajmniej takich, które coś konkretnego znaczą.

BARTEK CHACIŃSKI

Autor uczestniczy w pracach jury Młodzieżowego Słowa Roku

REKLAMA

SZEROKIE TORY BIURO PODRÓŻY
REZERWACJE
+48 696 989 985
szerokietory.pl
SPRAWDŹ

eprasa.pl 53e0f75d2b

Biskupie, otwórz okno

Nowo mianowany metropolita krakowski, kardynał Grzegorz Ryś, nie będzie miał lekko.

Kraków, 2017. Bp Grzegorz Ryś i metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski podczas pożegnalnej mszy. Bp Ryś przeniósł się wtedy do Łodzi.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Żal w kościele w Łodzi, radość w Krakowie. Kardynał Grzegorz Ryś wraca z metropolii łódzkiej do metropolii krakowskiej. W Łodzi zastąpił abp. Marka Jędraszewskiego, gdy papież Franciszek mianował go osiem lat temu metropolitą krakowskim. Teraz decyzją papieża Leona XIV znów go zastąpi: Ryś obejmie po Jędraszewskim biskupią władzę pod Wawelem.

W Krakowie urodzony (w 1964 r.) i wychowany, tu wyświęcony na biskupa przez kard. Stanisława Dziwisza, mianowany kardynałem w 2023 r. przez papieża Franciszka, kawał życia spędził w murach tutejszych kościelnych instytucji. Zna Kraków na pamięć, a pamięć ma dobrą, jak to historyk.

Minutnik

Ta dość niezwykła roszada figur na kościelnej szachownicy przyszła późno, może za późno, bo półtora roku od podania się do dymisji abp. Jędraszewskiego.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Prawo kościelne nakazuje duchownym oddać się do dyspozycji papieża po ukończeniu 75. roku życia. Franciszek przyjął dymisję i polecił Jędraszewskiemu pełnić obowiązki metropolity, dopóki Watykan nie ogłosi jego następcy.

Nie była to dobra decyzja. By lepiej zrozumieć, jak wielkie wyzwanie czeka kard. Rysia w jego rodzinnym Krakowie, wystarczy poczytać wpisy w „internetach" po jego nominacji. Niecytowalne. Zwłaszcza pod prośbą Rysia skierowaną do krakowskiego duchowieństwa, aby wzięło udział we wspólnych z nim rekolekcjach jeszcze przed jego ingresem do katedry wawelskiej planowanym na 20 grudnia. Niektórzy nienawistnicy wyrażali wręcz nadzieję, że do ingresu nie dojdzie.

Bo nie jest tak, że cały katolicki i kościelny Kraków się cieszy z powrotu Rysia. Owszem, tutejsi księża założyli w internecie minutnik odliczający dni do ustąpienia Jędraszewskiego z urzędu, wrzucali drwiące memy i rolki, ale to niekoniecznie oznacza, że się nie odnajdywali w jego „antylewackich" kazaniach. I w jego antyliberalnej linii. Wielu z nich, szczególnie w młodszym pokoleniu, z takim przekazem sympatyzuje. Odliczali i wyzłośliwiali się z powodu frustracji, że Jędraszewski traktuje ich jak powietrze. Ci księża zostaną w Krakowie, gdy odejdzie Jędraszewski.

Katolicki publicysta Tomasz Terlikowski nazwał go w swej książce „idealnym produktem systemu". Napisał ją („Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski"), odbywszy wielogodzinne rozmowy z jej bohaterem. Dostrzega plusy i minusy w działalności hierarchy, który nie doczekał się tytułu kardynalskiego, choć dostali go jego poprzednicy: Dziwisz, Macharski, Wojtyła, Sapieha. Być metropolitą krakowskim i czekać bez skutku na tytuł, „księcia Kościoła" z prawem do wyboru papieża, musiało boleć narcystycznego arcybiskupa.

Kim więc jest Jędraszewski, twarz polskiego arcykatolicyzmu AD 2025? Odpowiedź nie jest prosta, konkluduje Terlikowski. Z jednej strony były metropolita potrafi być uroczy i sympatyczny, z drugiej – bezlitośnie wyrzuca poza krąg znajomości każdego, kto reprezentuje niezgodne z jego przekonaniami opinie. Erudyta i znawca filozofii dialogu, a jednocześnie człowiek, który rozdziela wąskie ideologiczne etykiety. „Świetny wykładowca i człowiek, który od samego początku tworzy wokół siebie kolejne dwory".

Słowem, ktoś pełen sprzeczności, jak Dr Jekyll i Mr Hyde. Pragnący służyć obronie Kościoła i Polski przed herezjami z Zachodu. Ukształtowany przez doktrynę wiary katolickiej i mity polskiego katolicyzmu. Ale też „złamany" milczeniem swojego przyjaciela o skandalicznej sprawie abp. Paetza, dobierającego się do kleryków w Poznaniu, gdy poznaniak Jędraszewski był tam jego biskupem pomocniczym.

Destrukcyjna zwłoka

Skąd ta watykańska zwłoka z mianowaniem następcy Jędraszewskiego? Mogła być wynikiem jakichś wewnętrznych gier personalnych albo przekonania w kręgu papieża Franciszka, że się Jędraszewskiemu ta wysoka godność po prostu należy. Bo rzeczywiście przez osiem lat swych rządów arcybiskup zbudował wokół siebie „środowisko wielbicieli i pochlebców".

Ale też Jędraszewski ostro wszedł w debatę publiczną po linii pisowskiej. A taka ostra walka uniemożliwia głoszenie wiary, najważniejszego zadania ludzi Kościoła od góry do dołu. Tymczasem tylko część katolików oczekuje dziś po swych kościelnych liderach ostrego zaangażowania politycznego i wspierania od ołtarza konkretnej partii. Tak jak zrobił to abp Jędraszewski, gdy podczas mszy na Wawelu z okazji kolejnej rocznicy katastrofy smoleńskiej ogłosił w kazaniu, że naszym obowiązkiem jest dziękować Bogu za braci Kaczyńskich, „za dar ich życia dla Polski".

Powstaje pytanie, w czyim właściwie imieniu Jędraszewski wypowiedział te słowa w kraju tak głęboko podzielonym przez Jarosława Kaczyńskiego. Można dodać, że zażarta walka arcybiskupa i jego otoczenia (należy do niego m.in. była krakowska kurator oświaty Barbara Nowak) z liberalizmem uniemożliwia też prawdziwą, a nie lizusowską debatę w Kościele o jego kondycji.

Przykładem bulwersującym mniej konserwatywnych katolików w archidiecezji krakowskiej było utajnienie – z polecenia Jędraszewskiego – pełnej treści krytycznego raportu o stanie, zadaniach i potrzebach tutejszego Kościoła, przygotowanego w ramach lokalnego synodu świeckich i duchownych.

Nie chodziło tylko o zamiecenie dokumentu pod dywan, ale też o to, jak potraktował on owoc pracy swoich braci w wierze. A przecież idea synodalna – nic o Kościele bez wiernych Kościoła – była bliska papieżowi Franciszkowi, który mianował Jędraszewskiego metropolitą krakowskim, i jest bliska następcy Franciszka na tronie papieskim, papieżowi Leonowi.

Cóż, chór pochlebców nigdy i nigdzie nie jest dobrym doradcą, również w Kościele. W przypadku Jędraszewskiego, pisze Terlikowski, ten chór przekonywał arcybiskupa, „że jego kazania budzą śpiących, że jest on prorokiem na miarę Wyszyńskiego i że tylko dzięki niemu wiara w Polsce może przetrwać". To wszystko razem przez lata stworzyło w Kościele krakowskim atmosferę napięcia, podejrzeń i rozgrywek personalnych – duszną i szkodliwą dla jego funkcjonowania.

I to do takiego Kościoła wraca kard. Ryś. Czy zdoła go ogarnąć po Jędraszewskim? Ten Kościół nie jest samotną wyspą na mapie obecnego polskiego katolicyzmu. To, co się w nim dzieje, ma wpływ na rzesze wiernych i na episkopat. Dotąd Grzegorz Ryś „siał słowo" lokalnie, teraz ma większą szansę zmieniać oblicze Kościoła, tego Kościoła.

Selekcjoner biskupów

Inny czołowy publicysta katolicki, redaktor naczelny warszawskiego czasopisma „Więź", Zbigniew Nosowski przypomina, że Ryś był marginalizowany wśród braci biskupów, choć nie wchodził z nimi, w tym z Jędraszewskim, w publiczne spory. Niekiedy to jego milczenie było aż za głośne. Bo wyglądało, jakby Ryś nie miał uwag co do linii episkopatu i postanowił trzymać się z boku i robić swoje. „Przez lata abp Ryś był aż do bólu lojalny wobec decyzji episkopatu".

Wolał pisać książki i felietony dotyczące historii i doktryny Kościoła. Zna się na tym, bo zrobił studia historyczne i był asystentem wybitnego historyka Kościoła, ks. prof. Jana Kracika. Jeszcze bardziej pochłaniało Rysia rozkręcanie „nowej ewangelizacji" adresowanej do młodych. Projekt kościelny w nowoczesnej i nowatorskiej oprawie. A mimo to i tak był nazywany przez prawicowych krytyków „patronem liberalnej Polski".

Teraz, po nominacji na metropolitę krakowskiego, siłą rzeczy jego pozycja staje się mocniejsza. Nie da się, nawet w polskim episkopacie, marginalizować Rysia. Nie jest on tylko panem na kościelnych włościach krakowskich, ale też członkiem watykańskiego „ministerstwa" (dykasterii) ▶

© PAP/JACEK BEDNARCZYK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Papieskie okno zakryte w 2018 r. kamienną mozaiką. Zdecydował o tym metropolita Jędraszewski.

▶ do spraw biskupów. To kluczowy organ Watykanu czuwający nad doborem właściwych ludzi na tę kluczową funkcję, tacy „selekcjonerzy" drużyny biskupów.

Biskupi tworzą kościec Kościoła. Kandydaci na nich są zgłaszani papieżowi do akceptacji po dokładnym prześwietleniu i pozytywnym zaopiniowaniu. Udział w tym procesie mają nuncjusze, którzy przekazują kandydatury do watykańskiej dykasterii. Póki nie ma w niej konsensu, kandydatura trafia do poczekalni. W te tryby wpadnie kandydat na następcę kard. Rysia w Łodzi.

To ważne dla Kościoła, kto z nich się wyłoni: ktoś bezbarwny i mierny czy kontynuator i opiekun dorobku metropolity Rysia? Jemu udało się rozruszać tamtejszych katolików. Mimo że Łódź uchodzi za najtrudniejszą, bo mniejszościową, diecezję, Ryś jako jej zwierzchnik czuł się tam dobrze i zdziałał sporo na kościelnej niwie.

Strzały w dziesiątkę

Głośno zrobiło się o dwóch sprawach: o powołaniu przez niego lokalnej, niezależnej od władzy kościelnej, komisji do spraw nadużyć i przestępstw seksualnych w latach 1945–2025. I o liście pasterskim Rysia dotyczącym m.in. migrantów, pogardliwie nazywanych na prawicy nachodźcami.

Komisję abp Ryś powołał po faktycznym zamrożeniu przez episkopat działania takiej komisji na szczeblu krajowym i odsunięciu na bok prowadzącego ją prymasa Wojciecha Polaka. Krytycy Rysia zobaczyli w tym odwet na episkopacie za rozwalenie komisji prymasa Polaka. Nie dostrzegli, że to próba ratowania wiarygodności Kościoła.

Drugi ruch Rysia jako metropolity łódzkiego to jego głośny list z lipca. W momencie, gdy spór na temat migrantów rozpalał do czerwoności debatę publiczną, metropolita apelował, by „strach przed obcym" nie przeważył „racji ludzkich i ewangelicznych". „Każdy człowiek ma prawo wybrać sobie miejsce do życia i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze. Chrześcijaństwo nie jest religią plemienną", przypominał duchowny.

Ten list pokazuje, że Ryś zmienia swoją linię duszpasterską. Nie będzie milczał, gdy trzeba mówić. Nie zapisze się do dzisiejszego prawicowego mainstreamu. Większość z nas nawet sobie nie wyobraża, co się dzieje na kanałach katolickich influencerów. Boga się tam nie boją. Jednak Ryś po nominacji kardynalskiej będzie mocniejszy.

Ale nawet przed nią potrafił mówić innym, soborowym językiem. W homilii wygłoszonej podczas mszy u grobu Jana Pawła II w Bazylice św. Piotra w marcu 2024 r. powiedział: „My sami w Kościele potrafimy nazywać Boże dzieła szatańskimi albo brać je bardzo mocno pod znak zapytania. Sobór Watykański II – to wszelkie zło się z tego wzięło w Kościele. Trwający synod – zwołany przez papieża Franciszka – oj, to jest bardzo niebezpieczne. Ekumenizm – rozmywa tożsamość. Dialog z judaizmem – uważajcie!".

A przecież, ciągnął Ryś nad grobem papieża z Polski, „Bóg gromadzi ludzi, a szatan ich rozgania, rozprasza, mnoży podziały. Jezus mówi: uważajcie, nie nazywajcie Bożego działania szatańskim. Działaniem Bożym zawsze jest wolność, nigdy zniewolenie".

Cokolwiek powiemy o deklaracji hierarchy, że chrześcijaństwo jest religią wolności – bo Kościół u nas dziś raczej pod nią nie podpada – różnicę ideową między nim a polskim episkopatem widać dziś wyraźnie. Zarazem jednak ta różnica czyni go w dzisiejszym Kościele w Polsce trochę osamotnionym i z tą samotnością będzie się mierzył jako metropolita krakowski.

Opcje kardynała

A przecież teoretycznie mógł odmówić, pozostać w Łodzi albo przenieść się na stałe do Watykanu i kontynuować pracę „selekcjonera" drużyny biskupów. Już po nominacji na metropolitę krakowskiego, kończącej przeciągający się stan tymczasowości na tym ważnym urzędzie kościelnym, pojawiły się w sieci komentarze, że w istocie jest ona poniżej ambicji i watykańskiego potencjału Rysia. Rodzajem nagrody pocieszenia za obarczenie go harówką sprzątania po Jędraszewskim.

– *Grzegorz jest jedynym polskim hierarchą, którego głos liczy się w Rzymie* – mówi POLITYCE ks. Kazimierz Sowa, kiedyś dyrektor najlepszej telewizji religijnej w Polsce, dobrze zorientowany w kulisach Kościoła. – *Między innymi ze względu na bliską znajomość z obecnym papieżem, z którym współpracował w dykasterii do spraw biskupów. Uczy się szybko (włoskiego w rok), umie nawiązywać relacje z różnymi środowiskami kościelnymi. Cenią go biskupi spoza Europy zaangażowani w dialog międzyreligijny, ale też konserwatywni biskupi amerykańscy. Ma szansę na karierę w Watykanie, ale musi wrócić do Krakowa, bo tu sytuacja jest dramatycznie trudna.*

Dlaczego? Bo przeciągająca się zwłoka Watykanu z wyborem nowego metropolity dała czas Jędraszewskiemu i jego kamaryli okopać się w strukturach tutejszego Kościoła. Jest kościelną tajemnicą poliszynela, że ambasador Stolicy Apostolskiej w Warszawie, abp Antonio Filipazzi, zaprzyjaźniony z abp. Jędraszewskim

eprasa.pl 53e0f75d2b

i uchodzący za sympatyka prawicy, blokował niepasujące im kandydatury na następcę „pogromcy Strajku Kobiet i tęczowej zarazy”.

Lecz – twierdzi ks. Sowa – kandydatury kardynała już się nie da zablokować. I tak nominacja Rysia podpisana przez papieża Leona, który darzy go zaufaniem, przerwała chocholi taniec w Kościele krakowskim.

Zamiast bliskości dystans

Co dalej? Z pewnością nie będzie lekko. Ks. Sowa i red. Nosowski przewidują, że Ryś jako metropolita będzie rozbierał „okopy św. Trójcy” usypane przez ludzi Jędraszewskiego, ale powoli, czyli w perspektywie lat. Nie metodami agresywnymi, lecz systematycznymi zmianami personalnymi i strukturalnymi. Bez angażowania się w otwartą walkę.

– *Dużo zależy od samych księży* – zaznacza ks. Sowa. – *Jeśli zostawią Jędraszewskiego samemu sobie, będzie to dla niego trudne psychicznie i może przyczynić się do jego przenosin gdzieś poza Kraków*. Na razie jednak eksmisja z luksusowego apartamentu przy parafii św. Floriana mu raczej nie grozi. A Jędraszewski będzie ostrożny: nie wywoła rabanu, może po cichu sabotować działalność Rysia. Do tego jednak potrzebuje poparcia kleru, a ten może zacząć puszczać oko do nowego metropolity i wtedy pozycja Jędraszewskiego radykalnie osłabnie.

Wśród katolików w Krakowie życzliwych Rysiowi – są to między innymi ludzie ze środowisk „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” – słyszy się często, że byłyby dwa ważne testy sygnalizujące, jaki obierze kierunek swego władztwa: czy powoła w Krakowie komisję na wzór tej w Łodzi i czy odemknie tzw. okno papieskie.

Chodzi o centralnie usytuowane okno na fasadzie pałacu biskupów krakowskich przy ul. Franciszkańskiej. To w nim pojawiał się Jan Paweł II, aby prowadzić czasem żartobliwy, czasem poważny dialog z młodymi, tłumnie gromadzącymi się na placyku przed kurią krakowską. Było to w dawnych czasach, kiedy na wizerunku papieża z Polski nie widać było jeszcze żadnych rys.

Niemniej jednak dla wielu osób, nie tylko mieszkańców Krakowa, okno pozostaje symbolem Kościoła życzliwego światu, gotowego do rozmowy na temat wiary, jej miejsca i kształtu w życiu jednostek i narodu.

I to właśnie okno decyzją metropolity Jędraszewskiego zamurowano mozaiką z podobizną papieża Wojtyły w 2018 r. W ceremonii odsłonięcia mozaiki wziął udział prezydent Duda z małżonką i ówczesny nuncjusz apostolski Salvatore Pennacchio. Nie wszyscy byli zachwyceni. Zbigniew Nosowski uznał decyzję Jędraszewskiego za symboliczną, ale w kontrze do wcześniejszej symboliki okna.

Przed mozaiką było znakiem, że Kościół chce być bliski ludziom, dostępny, otwarty na świat. Zasłonięte kamienną mozaiką oznacza zamknięcie, odwrócenie się od ludzi szukających sensu świata i własnego życia. To, co było otwarte, zostało zapieczętowane: „już nie szukamy młodych, nie próbujemy ich zachęcić, nie chcemy ich przyciągać, tylko będziemy im głosić *ex cathedra*. Zamiast bliskości dystans. To wy macie szukać Kościoła i słuchać Kościoła”. No właśnie, czy metropolita Ryś odemknie okno papieskie?

ADAM SZOSTKIEWICZ

© JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

REKLAMA

Złożone korzyści prostego języka

Odpowiedni dobór słów to oznaka szacunku do rozmówcy. A gdy lekarze mówią do pacjentów w zrozumiały sposób, mogą nawet uratować im życie

Siódma już edycja konferencji o prostym języku, zorganizowana przez ING pod koniec listopada w Katowicach, udowodniła, że przestajemy traktować upraszczanie jako nowość czy ciekawostkę. – *Prosty język stał się standardem. W ING zmieniamy podejście. Klarowność nadal jest podstawą naszej komunikacji, ale teraz patrzymy szerzej. Badamy ton głosu banku również pod kątem emocji, empatii czy partnerskiego podejścia. Choć pomaga nam w tym AI, to nie zapominamy o najważniejszym – perspektywie odbiorcy, człowieka. Narzędzia mają nam w tym pomagać, a nie nas wyręczać* – mówi Paweł Szczepaniec, szef zespołu Po prostu ING Banku Śląskiego i jeden z prelegentów.

Chociaż w wielu branżach prosty język poczynił duże postępy, to w służbie zdrowia przed nim wciąż jeszcze długa droga. Tymczasem prosty język to nie moda, a podstawowe prawo pacjenta. – *Dlaczego pacjenci nie rozumieją lekarzy? Czy to ignorancja, lenistwo, brak wykształcenia? Nie, to biologia. W sytuacji stresu wpadamy w kocioł. Cała energia naszego mózgu skupia się na ucieczce. Nasze umiejętności poznawcze drastycznie maleją, gdy słyszymy niekorzystną diagnozę* – tłumaczy Alicja Sekret z Fundacji Ludzie i Medycyna.

Gdy pacjenci słyszą od lekarzy trudne słowa, nie rozumieją, na czym polega leczenie, jakie mogą być efekty uboczne i co powinni zrobić. Nie pytamy, bo się wstydzimy. Szukamy informacji w internecie – brak prostego języka to luka, którą wypełnia strach. On pcha nas do sieci, a tam już czekają na nas szarlatani. Co zatem powinna robić służba zdrowia w starciu z takimi oszustami? Trzeba mówić do pacjentów tak, by ci mogli łatwo zrozumieć. Zamiast trudnych sformułowań lepiej używać prostszych synonimów. Jedna myśl to jedno zdanie. Warto pamiętać o sekwencji: fakt, znaczenie, działanie. Czyli wyjaśniamy: co się dzieje, co to znaczy, co z tym robimy. Prosty język nie leczy choroby, ale leczy strach. I dlatego może nawet uratować życie.

Gwiazdy, średniacy i pechowcy

JOANNA SAWICKA, TOMASZ SAWCZUK, POLITYKA INSIGHT

Jak sobie radzi rząd Donalda Tuska, którzy ministrowie się sprawdzili, a którzy są obciążeniem dla obozu władzy w trudnym powyborczym czasie?

W tym roku po raz 12. opublikowaliśmy rating rządu Polityki Insight, czyli całościową ocenę pracy ministrów w drugim roku rządzenia. Noty wystawialiśmy w 12-stopniowej skali od A++ (ocena wzorcowa) do D (ocena najgorsza). Każdemu członkowi gabinetu przyznaliśmy ocenę ogólną i oceny szczegółowe – rating ogólny był wynikiem ocen w trzech kategoriach: jakość rządzenia (70 proc. wagi), komunikacja publiczna (20 proc.) i siła polityczna (10 proc.). W najważniejszej kategorii – jakość rządzenia – braliśmy pod uwagę prowadzone przez resort polityki publiczne (60 proc. wagi), administrację (30 proc.) i zarządzanie kryzysowe (10 proc.). Wynik B – (6/12) traktowaliśmy jako przeciętny, czyli dotyczący ministra, który nie miał przeważających sukcesów ani porażek. Żeby ocena była wyższa albo niższa, musiał być jakiś powód.

Jak wypadł rząd w drugim roku u władzy? Od czasu poprzedniego ratingu w grudniu 2024 r. sporo się zmieniło. Wtedy na bieżący obraz gabinetu znacząco wpływała reakcja na powódź, która kilka tygodni wcześniej dotknęła południowo-zachodnią Polskę i z którą rządzący poradzili sobie całkiem nieźle. W tym roku głównym punktem politycznego kalendarza były wybory prezydenckie, zakończone porażką obozu rządowego. Wynik wyborów podkopał nastroje w koalicji, co mogło mieć konsekwencje dla stabilności rządu premiera Donalda Tuska.

W tych warunkach w drugiej połowie lipca doszło do zapowiadanej od miesięcy rekonstrukcji gabinetu. Ministra sprawiedliwości Adama Bodnara zastąpił Waldemar Żurek, za ministra aktywów Jakuba Jaworowskiego wszedł Wojciech Balczun, a Tomasza Siemoniaka w MSW zastąpił Marcin Kierwiński. Radosław Sikorski awansował na wicepremiera, a Andrzej Domański oprócz Ministerstwa Finansów dostał resort rozwoju. Dodatkowo ministrę kultury Hannę Wróblewską zastąpiła Marta Cienkowska, w resorcie nauki za Dariusza Wieczorka pojawił się Marcin Kulasek, a w Ministerstwie Sportu Sławomira Nitrasa zmienił Jakub Rutnicki. Ministerstwo Przemysłu zamieniono na resort energii o poszerzonych kompetencjach, gdzie Marzenę Czarnecką zastąpił Miłosz Motyka. Nową ministrą zdrowia została ekspertka od zarządzania szpitalnictwem Jolanta Sobierańska-Grenda, a w rolnictwie za Czesława Siekierskiego przyszedł Stefan Krajewski. Zakres obowiązków poszerzył minister Maciej Berek, odpowiedzialny za nadzór nad wdrażaniem polityki rządu.

Według oryginalnych zapowiedzi premiera zmiany w rządzie miały być duże – przede wszystkim ministrów i wiceministrów miało być wyraźnie mniej. Ale do rewolucji ostatecznie nie doszło. Redukcja liczebności gabinetu okazała się nieznaczna, a rekonstrukcja była bardziej personalna niż strukturalna. Z perspektywy czasu wydaje się jednak zmianą korzystną. W sierpniu do Pałacu Prezydenckiego zawitał Karol Nawrocki, który w roli prezydenta dąży do konfrontacji z rządem, idąc na rekord w liczbie zawetowanych ustaw (dotąd było ich 17).

Nowy gabinet, lepiej przygotowany do walki politycznej, uczy się radzić sobie z tym wyzwaniem i nie traci na konfrontacji, a od września wręcz zwyżkuje w sondażach. Rekonstrukcja oznaczała jednocześnie, że nowi ministrowie działają w rządzie zaledwie od kilku miesięcy, co utrudnia ich pełną ocenę. Ostatecznie jednak w porównaniu z poprzednim rokiem rating rządu nieznacznie poprawił się we wszystkich badanych przez nas obszarach – łącznie o 0,5 pkt. w 12-stopniowej skali, co dało ocenę ogólną B.

Na gwiazdę ratingu wyrósł minister **Maciej Berek**. W obszarze jakości rządzenia otrzymał ocenę A, w pozycji politycznej oraz komunikacji A-. Jako jedyny w całym rządzie uzyskał ocenę ogólną A. Należący do grona najbardziej zaufanych doradców premiera Berek odpowiadał w rządzie przede wszystkim za legislację. I w tej roli chwalą go wszyscy, którym zdarza się z nim współpracować. Dobrze orientuje się w przepisach,

eprasa.pl 53e0f75d2b

potrafi wypracowywać kompromisowe rozwiązania i skutecznie popycha ważne politycznie projekty do przodu. Po lipcowej rekonstrukcji został nadzorcą prac ministrów. Jeszcze w wakacje wezwał ich do przedstawienia swoich priorytetów, które następnie uporządkował i przedstawił opinii publicznej – teraz ma pilnować ich realizacji, chociaż nie jest w pełni jasne, czy ma do tego wystarczające narzędzia. Pewne jest, że ministrowie partii koalicyjnych zaczęli narzekać, że zdarza mu się porzucać dotychczasową urzędniczą naturę i wchodzić w rolę politycznego oficera Tuska.

Drugą gwiazdą rządu jest obecnie minister sprawiedliwości **Waldemar Żurek** (jakość rządzenia A-, ocena ogólna A-). Z Berkiem łączy go fakt, że jest bezpartyjny, choć wskazany przez KO. Poza tym to zupełnie inny typ polityka. W obszarze legislacji jego sukcesy są raczej niewielkie, bo gruntowne zmiany w sądownictwie są hamowane przez potencjalne weta prezydenta. Żurek przedstawił jednak kilka projektów, które mają skrócić czas postępowań sądowych i zapobiec zwiększaniu się liczby sędziowskich wakatów. Znacząco przyspieszył prace nad ustawą regulującą status sędziów, którzy przeszli procedurę nominacyjną przed wadliwie ukształtowaną KRS. Podjął też zdecydowane działania w sądach, usuwając kilkudziesięciu prezesów i wiceprezesów, a także wprowadzając ograniczenie działania systemu losowego przydziału spraw sędziom. Jego działania ostro krytykuje opozycja, ale impet podoba się w koalicji.

Ministrem wyróżniającym się ze względu na jakość rządzenia jest **Marcin Kierwiński** (otrzymał w tym obszarze ocenę A-, a ogólny rating na poziomie B+). Jego resort latem skutecznie przywrócił względny porządek na granicy z Niemcami. Przygotował też szybką odpowiedź na weto prezydenta Karola Nawrockiego, który w sierpniu zablokował specustawę przedłużającą ochronę obywateli Ukrainy mieszkających w Polsce. Kierwiński wdraża ustawę o ochronie ludności i obronie cywilnej, skutecznie poprawia też sytuację w policji. Ostatnio z MSW odszedł wiceminister Maciej Duszczyk – w efekcie kierownictwo ministerstwa to w większości zaufani ludzie Kierwińskiego. Minister ma silną pozycję polityczną i częsty dostęp do premiera. Jego słabszą stroną jest komunikacja, choć ostatnio i tu stara się nadrabiać.

Blisko największych rządowych gwiazd uplasował się wicepremier, minister spraw zagranicznych **Radosław Sikorski**. Szef dyplomacji wyróżnił się w obszarze komunikacji (ocena A+), gdzie wypadł najlepiej z rządu. Jego wystąpienia bywają błyskotliwe retorycznie, minister często chodzi do mediów i jest aktywny w mediach społecznościowych. W stosunku do poprzedniego roku Sikorski wzmocnił też pozycję polityczną (otrzymał ocenę A-) – został wicepremierem. Stał się symbolem silnego, lekko konserwatywnego polityka, który potrafiłby rządzić w ciężkich czasach. W listopadzie 2024 r. przegrał rywalizację z Trzaskowskim o nominację KO na kandydata na prezydenta, ale ze swoich ambicji zdaje się nie rezygnować. Mniej korzystnie ▶

© REPORTER, PAP (2)

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ wypadła jego ocena w obszarze jakości rządzenia. Wejście Trumpa do Białego Domu utrudnia mu relacje z Amerykanami, po chwilowej zwyżce w okresie polskiej prezydencji osłabła pozycja Polski w Europie, gdzie znaczenie zyskuje format E3: Niemcy, Francja i Wielka Brytania. W obszarze jakości rządzenia jego rating spadł z B+ do B.

Wśród wyróżniających się ministrów, którzy dostali wysokie oceny w kluczowej kategorii – jakość rządzenia jest ministra pracy, rodziny i polityki społecznej **Agnieszka Dziemianowicz-Bąk** (jakość rządzenia A-, ocena ogólna B+). Polityczka Lewicy prowadzi aktywną politykę społeczną i wprowadza liczne reformy rynku pracy. Próbuje wzmocnić Państwową Inspekcję Pracy, jednak proponowane przez nią zmiany napotykają nieraz opory w koalicji. Jest przy tym słaba politycznie i nawet we własnej partii nie zdołała zbudować silnego zaplecza.

W ratingu nieźle wypadła ministra funduszy i polityki regionalnej **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz** (jakość rządzenia B+, ocena ogólna B+). Dobrze koordynuje wykorzystanie funduszy z Unii, choć w sierpniu w mediach pojawiły się informacje o budzących wątpliwości projektach sfinansowanych z KPO, co obciążyło ją wizerunkowo. Ministra mocno angażuje się w politykę mieszkaniową, która podlega głównie resortowi rozwoju, co budzi napięcia w rządzie. Słabo dogaduje się z premierem. W związku z niepewną przyszłością Polski 2050, której jest pierwszą wiceprzewodniczącą, nie jest jasne, czy uda jej się zdobyć stanowisko wicepremierki, o które zabiega.

Resortami sprawnie zarządza dwóch oryginalnych wicepremierów, do których dołączył Sikorski. Minister obrony **Władysław Kosiniak-Kamysz** (jakość rządzenia B, ocena ogólna B+) dysponuje rosnącym budżetem na zbrojenia, zainicjował też program powszechnych dobrowolnych szkoleń obronnych z zakresu odporności cywilnej i przygotowania na sytuacje kryzysowe „wGotowości". Poradził sobie z kryzysem związanym z wtargnięciem rosyjskich dronów w nocy z 9 na 10 września. Minister cyfryzacji **Krzysztof Gawkowski** (jakość rządzenia B+, ocena ogólna B+) intensywnie pracuje na rzecz cyfryzacji administracji oraz wzmacniania cyberbezpieczeństwa. Trudniejszym wyzwaniem jest wdrażanie cyfrowych regulacji unijnych i związanych z nimi ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną (Sejm przyjął ją pod koniec listopada) oraz nowelizacji ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa (sejmowe prace nad nią mogą się zakończyć w grudniu).

Pozytywnie wypadło też dwóch przedstawicieli PSL – urzędujący w resorcie od końca 2023 r. minister infrastruktury **Dariusz Klimczak** (jakość rządzenia B+, ocena ogólna B+) i minister energii **Miłosz Motyka**, który awansował na to stanowisko w lipcu 2025 r. (jakość rządzenia B, ocena ogólna B+). Klimczak skutecznie inwestuje w kolej oraz infrastrukturę drogową. Ważnym obszarem działalności resortu jest program „Polskie morze", obejmujący m.in. rozbudowę infrastruktury i budowę promów. Minister zmaga się też z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego, który staje się jednym z kluczowych projektów rządu. Motyka przeszedł do Ministerstwa Energii z resortu klimatu i środowiska, od którego przejął część kompetencji. Nie udało mu się jednak przejąć ważnego dla skutecznego zarządzania energetyką departamentu OZE. Motyka pracuje nad ważnymi dokumentami strategicznymi, z których jeden – „Krajowy plan na rzecz energii i klimatu" – ma się ukazać w tym roku. Prace nad pozostałymi się przeciągają. Zadaniem ministra są też trudne rozmowy z górnikami i prace nad restrukturyzacją sektora.

Andrzej Domański kieruje dwoma resortami, ale określiliśmy go w ratingu mianem ministra raczej od finansów niż rozwoju. Widać, że na finanse (jakość rządzenia B+, ocena ogólna B+) ma więcej czasu niż na gospodarkę (jakość rządzenia B-, ocena ogólna B-). Ministerstwo Finansów odgrywało zasadniczą rolę w procesie deregulacji, co spowodowało jednak spowolnienie innych prac. Wprowadza rozwiązania pomagające w uszczelnieniu podatków, ale ma kłopot z zapanowaniem nad deficytem budżetowym, a według najnowszej strategii zarządzania długiem w sektorze publicznym ma on przekroczyć 55 proc. PKB. w 2028 r. W resorcie rozwoju również zajmował się deregulacją, przygotowuje też grunt pod zwiększenie konkurencyjności polskich firm w zamówieniach publicznych, jednak unia personalna między ministerstwami jest eksperymentem trudnym do realizacji bez większych zmian w strukturze rządu.

W okolicach średniej mieści się ministra edukacji narodowej **Barbara Nowacka**, która uzyskała ocenę B we wszystkich kategoriach. W tym roku było o niej głośno głównie z powodu fiaska edukacji zdrowotnej, która padła ofiarą kampanii wyborczej i z przedmiotu obowiązkowego stała się dobrowolna. Jest mniej widoczna od czasu wyborów prezydenckich – w ich następstwie jej Inicjatywa Polska ostatecznie rozpłynęła się w Koalicji Obywatelskiej. Jednak w tle szykuje wartościową, przygotowywaną pod okiem ekspertów reformę edukacji. Ocenę średnią (jakość rządzenia B-, ocena ogólna B-) uzyskała nowa ministra zdrowia **Jolanta Sobierańska-Grenda**, która podkreśla podejście apolityczne do zarządzania zdrowiem. Od lipca nie mogła jeszcze wiele zdziałać, odziedziczyła jednak ogromne problemy finansowe w NFZ, a jej nikła pozycja polityczna utrudnia forsowanie skutecznych rozwiązań. Ministra wyróżnia się tym, że otwarcie i odważnie mówi o problemach ochrony zdrowia, co zresztą może skrócić jej żywot w rządzie.

Podobne oceny uzyskało kilkoro kolejnych ministrów. Zadaniem nowego ministra aktywów państwowych **Wojciecha Balczuna** (jakość rządzenia B, ocena ogólna B) jest bardziej aktywny od poprzednika nadzór nad spółkami państwowymi, w tym wzmocnienie procesu rozliczeń po rządach PiS. Pracuje nad stworzeniem wiążącej definicji tzw. komponentu lokalnego, dotyczącej udziału krajowych dostawców w zamówieniach publicznych (*local content*), co wpisuje się w popularne ostatnio hasło repolonizacji gospodarki.

Szef kancelarii premiera **Jan Grabiec** zyskuje w ratingu na silnej pozycji politycznej (A-). Chociaż formalnie jest rzecznikiem prasowym KO, ostatnio trzyma się raczej w cieniu i trudno stwierdzić, żeby odcisnął znaczące piętno na polityce rządu. Nowy minister rolnictwa **Stefan Krajewski** (jakość rządzenia B-, ocena ogólna B-) wcześniej był w resorcie sekretarzem stanu – nie pokazał jeszcze szerzej swojej wizji politycznej. Najważniejszym projektem, nad którym pracuje, jest zmiana definicji „aktywnego rolnika" uprawnionego m.in. do otrzymywania dopłat z UE.

Minister koordynator służb specjalnych **Tomasz Siemoniak** (jakość rządzenia B-, ocena ogólna B-) w czasie rekonstrukcji przestał być ministrem spraw wewnętrznych – dla rządu było kłopotem, że dopuścił do kryzysu politycznego na granicy polsko-niemieckiej. W obecnej roli jest jedną z twarzy gabinetu w walce z dywersją ze wschodu, dba o wzrost budżetu podległych mu

eprasa.pl 53e0f75d2b

Ministerstwo	Minister/ Ministra	Jakość rządzenia	Komunikacja i odbiór publiczny	Pozycja polityczna	Ocena łączna
Kancelaria Premiera	Maciej Berek	A	A-	A-	A
Ministerstwo Sprawiedliwości	Waldemar Żurek	A-	A	B	A-
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych	Marcin Kierwiński	A-	B-	A	B+
Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej	Agnieszka Dziemianowicz-Bąk	A-	B	B+	B+
Ministerstwo Cyfryzacji	Krzysztof Gawkowski	B+	B+	A	B+
Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej	Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz	B+	B	B	B+
Ministerstwo Finansów i Gospodarki – Finanse	Andrzej Domański	B+	A-	A-	B+
Ministerstwo Infrastruktury	Dariusz Klimczak	B+	B+	B+	B+
Kancelaria Premiera	Donald Tusk	B	A-	A+	B+
Ministerstwo Obrony Narodowej	Władysław Kosiniak-Kamysz	B	A	A	B+
Ministerstwo Spraw Zagranicznych	Radosław Sikorski	B	A+	A-	B+
Ministerstwo Energii	Miłosz Motyka	B	A-	B+	B+
Ministerstwo Aktywów Państwowych	Wojciech Balczun	B	B+	B+	B
Ministerstwo Edukacji Narodowej	Barbara Nowacka	B	B+	B+	B
Kancelaria Premiera	Jan Grabiec	B-	B-	A-	B

© LECH MAZURCZYK

W tabeli uwzględniliśmy 15 ministrów z najlepszymi wynikami. Przy takich samych ocenach łącznych decydowała kolejność w kategorii: „jakość rządzenia". Pozostali ministrowie (w większości z najnowszego zaciągu) wraz z ocenami przedstawieni są w tekście.

służb. Ma na pieńku z Karolem Nawrockim – służby nie dopuszczają szefa BBN Sławomira Cenckiewicza do informacji niejawnych, a prezydent nie podpisał wniosków o nominacje młodych funkcjonariuszy na pierwszy stopień oficerski.

Minister sportu **Jakub Rutnicki** (jakość rządzenia B-, ocena ogólna B-) jest niewątpliwie mniej wyrazisty od poprzednika Sławomira Nitrasa. Promuje aktywność fizyczną, w tym wykazuje własną sprawność – nie odnotował większych sukcesów ani wpadek. Podobnie jest z kolejną dwójką ministrów od „nadbudowy": **Martą Cienkowską** z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz **Marcinem Kulaskiem** z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (w przedziale notowań: B-, C). Cienkowska objęła stanowisko w lipcu (wcześniej była wiceministrą), a jej nominacja była niespodziewana, bo Polska 2050 chciała wskazać na tę funkcję bardziej wpływową Aleksandrę Leo, która w ostatniej chwili się wycofała. Należy do najmłodszych ministrów i ma potencjał, ale jej ocenę obniża przede wszystkim bardzo niska pozycja polityczna (ministra jest słaba w bardzo słabej partii) i słabości komunikacyjne. Marcin Kulasek boryka się z niedofinansowaniem nauki, nie udało mu się wynegocjować z ministrem finansów polepszenia sytuacji. Prace legislacyjne w resorcie toczą się w spokojnym tempie. Resort nie sfinalizował w ostatnim roku zbyt wielu inicjatyw, chociaż przedstawił ostatnio projekt strategii rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2035 r.

Paulina Hennig-Kloska z Ministerstwa Klimatu i Środowiska to z kolei najsłabsza komunikacyjnie przedstawicielka rządu, która również nie ma silnej pozycji politycznej. W resorcie stara się sprawnie dysponować środkami z KPO i wdrażać regulacje śmieciowe. Nie udało jej się jednak z ustawą wiatrakową (zawetował ją prezydent), a nadzorowany przez nią program Czyste Powietrze znalazł się w kryzysie.

A co z premierem **Donaldem Tuskiem**? Podobnie jak rok temu otrzymał ocenę ogólną B+, przy czym uzyskał wysokie oceny komunikacji (A-) i – rzecz jasna – pozycji politycznej (A+) i niższą ocenę w kategorii jakość rządzenia (B). Zwraca uwagę, że premier w dalszym ciągu nie jest miłośnikiem rządowych strategii. Szykowana w Ministerstwie Funduszy strategia rozwoju Polski do 2035 r., którą rząd może przyjąć na początku przyszłego roku, nie zapowiada się na dokument ważny politycznie, inaczej niż jej poprzedniczka znana jako plan Morawieckiego – nie pomaga jej pewnie, że powstaje pod kierunkiem będącej w chłodnych relacjach z Tuskiem ministry Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz.

W wypowiedziach premiera w ostatnim roku regularnie pojawiały się wątki deregulacji, a potem repolonizacji gospodarki, które przedstawiał jako kluczowe przedsięwzięcia rządu. Nie był jednak obecny na konferencji prasowej, na której minister Berek przedstawiał priorytety rządu, a których jest zresztą 58. Dołączają one do 100 konkretów na 100 dni i innych obietnic wyborczych. Prawdziwa liczba priorytetów rządu jest zatem trudna do zliczenia. Tusk przełamał się jednak i mimo początkowej niechęci powołał w czerwcu rzecznika rządu. Został nim Adam Szłapka, który w toku rekonstrukcji przestał być ministrem ds. europejskich. W nowej roli radzi sobie przyzwoicie, a powołanie rzecznika ogółem wyszło władzy na korzyść, chociaż nie można mówić w tym obszarze o rewolucji. Rząd otrząsnął się jednak po porażce Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich – jesienią zyskał więcej energii i nadzieję, że kolejne wybory można jeszcze wygrać.

JOANNA SAWICKA, TOMASZ SAWCZUK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Przyssawki

Z jesiennego chaosu wyłoniła się koalicja dwóch prędkości. Z premierem i nowym marszałkiem Sejmu w roli suwerennych partnerów przy stoliku zastawionym przystawkami. Czy taki układ wystarczy do kolejnej wygranej?

RAFAŁ KALUKIN

W szeregach rządzącej koalicji znów zapanował optymizm, chociaż jego dystrybucja nie jest równomierna. Zniknął jednak niedawny jeszcze defetyzm, zmienił się obraz gry. Od jakiegoś czasu toczy się ona głównie pod prawicową bramką, momentami przypominając wręcz oblężenie. Jak w ostatnim tygodniu, kiedy ciągle jeszcze przyciągał uwagę serial o Ziobrze, prezydent wywrócił się na własnych wetach, a na koniec premier uderzył w opozycję mroczną opowieścią o kryptowaluciarzach.

Znajduje to odbicie w sondażach. Koalicja Obywatelska konsekwentnie umacnia się na pozycji lidera, nawet notowania rządu nieco odbiły, chociaż jego przeciwnicy nadal przeważają. Trendy są zatem sprzyjające, chociaż ich dalsza dynamika pozostaje niewiadomą. Pewne jest tylko, że koalicja 15 października musi kontynuować obecną passę, jeżeli myśli o utrzymaniu władzy. Bo chociaż dzisiaj po stronie przeciwnika głównie obserwujemy odbieranie sobie piłki, mimo wszystko to prawica wciąż utrzymuje łącznie niewielkie prowadzenie. Wszelkie prognozy podziału sejmowych mandatów faworyzują bowiem blok Kaczyński – Mentzen – Braun.

A wszystko dlatego, że ostatni przypływ nie podniósł równomiernie wszystkich koalicyjnych łódek. Zyskuje KO, a Lewica przestała tracić. Gorzej z nieboszczką Trzecią Drogą, której dawni udziałowcy całkiem już osiedli na mieliźnie i nie widać siły zdolnej ich stamtąd wyprowadzić. Przed wyborami 2023 r. racją stanu obozu demokratycznego było ich ratowanie. Ale czy ta sama logika będzie obowiązywać w roku 2027?

Nosorożec z koniczynką

„Maluchom" siłą rzeczy trudniej zabiegać o widoczność, a do tego w ostatnim okresie skupione były przede wszystkim na wewnętrznych sprawach. Tak się bowiem ułożyły ich kalendarze wyborcze, że mniej więcej w tym samym czasie przyszło im wybierać kierownicze gremia.

Jako pierwszy jeszcze w listopadzie zorganizował swój kongres PSL. Bez niespodzianek: Władysław Kosiniak-Kamysz potwierdził swoje bezdyskusyjne przywództwo, dodatkowo marginalizując tradycyjnego oponenta Waldemara Pawlaka, którego na stanowisku szefa rady naczelnej zastąpił lepiej dogadujący się z liderem Piotr Zgorzelski.

Ogólnie ludowcy cieszą się urokami swojej małej stabilizacji, odsuwając zmartwienia na później. Jako akcjonariusz rządzącego układu, który pobrał niewspółmiernie wysoką dywidendę w stosunku do wniesionych udziałów, mogli się naprawdę wygodnie urządzić. Nie tylko w ministerialnych gabinetach, ale przede wszystkim na dużo liczniejszych stanowiskach w państwowych urzędach, agencjach, funduszach i spółkach, od szczebla centralnego po regionalny. Co, jak wiadomo, jest zasadniczym sensem istnienia tej specyficznej formacji, która w pierwszej kolejności dba o własny układ pokarmowy. Od tego zależy spokój w jej szeregach i dyscyplina w głosowaniu.

Dawna partia klasowa jest już dzisiaj jedynie partią aparatu, którą popiera czerpiący zyski aktyw, rodziny działaczy, symbiotycznie usadowione środowiska (np. strażacy, myśliwi). Takiego

ILUSTRACJE MAX SKORWIDER

eprasa.pl 53e0f75d2b

klasycznego elektoratu, o który zabiega się ideologiczną opowieścią, od dawna już nie ma. I najpewniej nie będzie, niezależnie od tego, z jaką sympatią będzie przyjmowany przez opinię publiczną prezes Stronnictwa i jak wysokie stanowiska będzie w przyszłości piastował.

Był czas, kiedy poszukiwał poszerzającej formuły, orientując się na umiarkowaną chadecję. Wyszło jak w bajce Leszka Kołakowskiego o nosorożcu, który chciał fruwać. Stary aktyw miał bowiem swoje, utrwalone od pokoleń, nawyki i potrzeby, czego sztucznie doklejone konserwatywne skrzydełka nie były w stanie zrównoważyć. Ambicje więc wygaszono i odtąd Stronnictwo skupia się już wyłącznie na dobieraniu wyborczych podpórek.

Na kongresie Kosiniak-Kamysz zarzekał się, że PSL pójdzie do wyborów samodzielnie. Tego wymagała poetyka partyjnego zgromadzenia, a w praktyce nie widać źródeł odbicia. Ludowcy chcieliby uniknąć dogadywania się z KO w sprawie wspólnych list, gdyż w asymetrycznym układzie dostaną ledwie ochłapy. Przez najbliższe miesiące będą więc z uwagą śledzić ruch na scenie. Mając nadzieję, że być może wyłoni się jakiś nowy byt, z którym dałoby się wejść w sojusz. Mityczny projekt samorządowców? A może od prawicy odpadną jacyś w miarę umiarkowani modernizatorzy? Dziś jest jeszcze czas na snucie takich fantazji, ale mniej więcej za rok trzeba już będzie realnie pomyśleć o przyszłości.

Co z partią Szymona bez Szymona?

Polska 2050 (nie) cieszy się poparciem zbliżonym do ludowców, ale widoki na przyszłość ma dalece marniejsze. Trudniej przetrwać bez stuletniej tradycji, struktur i przywództwa. O deficycie tego ostatniego najlepiej świadczy długa kolejka chętnych do sukcesji po Szymonie Hołowni. Jak dotąd oficjalnie zapowiedzieli już start na styczniowym kongresie Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, Ryszard Petru, Joanna Mucha, Michał Kobosko oraz Paulina Hennig-Kloska. Problem w tym, że żadna z tych kandydatur nie ma papierów na „nowego Hołownię". A to właśnie autorytet odchodzącego lidera był jedynym mianownikiem dosyć przypadkowej politycznej zbiorowości.

Pretendenci próbują więc odwoływać się do wrażliwości cząstkowych ledwie fragmentów niespójnej mozaiki. Skutki bywają paradoksalne, jak obecnie przy okazji tarć o ustawę poszerzającą uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy, którą ostro kontestują organizacje przedsiębiorców. Klub PL2050 nie jest w stanie zająć stanowiska, gdyż jedni chcą bronić wolności gospodarczej, inni zaś praw pracowniczych. Nie chodzi więc tylko o konkretną regulację, gdyż konflikt jest zasadniczy. I ktokolwiek z kandydującej piątki ostatecznie wygra, pociągnie za sobą jedynie część środowiska. Tylko ktoś z charyzmatem na miarę dawnego Hołowni byłby w stanie zapanować nad licznymi szpagatami, a takiego nie ma.

Za faworytkę początkowo uchodziła Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, która budzi jednak szczególnie silne kontrowersje. A jeszcze lansowana przez nią koncepcja konfrontowania się z Tuskiem w ramach koalicji wydaje się absolutnie już nierealistyczna w świetle katastrofalnych notowań. Bo skąd czerpać siłę do bycia suwerennym? Demokratyczny mandat Polski 2050 jest już tylko formalny, w praktyce posłowie tej partii reprezentują wyłącznie samych siebie. I chociaż mają zdolność blokowania koalicyjnej większości, nie bardzo wiadomo, kogo mieliby przekonać grą tak ryzykowną dla całego układu.

Metoda Pełczyńskiej-Nałęcz to zatem prosta droga do dalszej wizerunkowej degradacji PL2050 jako grupki awanturników i szantażystów. Byłoby dziwne, gdyby przyklasnęli temu jej koledzy i koleżanki z klubu poselskiego, a przynajmniej ci, którzy mają apetyt na kolejną kadencję. Dla nich jedynym zapewne sposobem na przetrwanie będzie budowanie dobrych relacji z silniejszymi partnerami pod kątem wyborczego sojuszu albo bezpośredniego transferu. Podobno zresztą parę nieoficjalnych aplikacji już trafiło do biur KO i Lewicy, tyle że na razie obowiązuje nieformalne porozumienie o niepodbieraniu sobie posłów.

Nie wzmacnia też Pełczyńskiej-Nałęcz ociąganie się Tuska z awansowaniem jej na stanowisko wicepremierki, przed czym szef rządu wyraźnie się wzdraga. Tyle że kontrkandydaci tak samo nie budzą entuzjazmu, z rozmaitych zresztą względów. Polska 2050 to nadal partia Hołowni, tyle że już zaraz bez Hołowni. Tylko komu potrzebny taki oksymoron? Chyba że twórca projektu jeszcze da się ubłagać i pozostanie w krajowej polityce, co wydaje się możliwe i w sumie racjonalne. Ale tylko jako najlepsza ze złych opcji, gdyż ogólnie rzecz biorąc, PL2050 to formacja wyraźnie schyłkowa, której nawet koalicyjni partnerzy już nie uwzględniają w swoich scenariuszach na przyszłość.

Nowa Lewica po staremu

Spośród koalicjantów Tuska już tylko Lewica wydaje się w miarę pewna swojej pozycji. Chociaż to stabilność na skromnym poziomie 6,6 proc., bo taka jest średnia sondażowa tego ugrupowania z ostatniego miesiąca (według serwisu ewybory.eu). Z nastrojami w partii przed weekendowym kongresem nie jest jednak najgorzej, a w bliskim otoczeniu Włodzimierza Czarzastego bywają wręcz szampańskie.

Stary lider długo zwlekał z deklaracją startu w partyjnych wyborach, dając się wyszumieć rywalom. Głównie zajęty był zresztą przygotowaniami do objęcia stanowiska marszałka Sejmu. Ale partii bynajmniej nie zaniedbywał, po cichu ustawiając pod siebie przebieg regionalnych zjazdów. Kiedy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, dwa z nich jeszcze trwały. Można się było jednak spodziewać, że skończą się dokładnie tak samo, jak czternaście poprzednich. Czyli że wygrają faworyci Czarzastego, najpewniej niemłodzi już mężczyźni z eseldowskim rodowodem.

Po co więc było zmieniać szyld i udawać „nową lewicę"? Pytanie uzasadnione, które na zapleczu prowokuje do ironicznych uwag. A do tego jeszcze lider dopiero co zawrócił z politycznej emerytury 70-letniego Marka Siwca, żeby postawić go na czele Kancelarii Sejmu. Partyjne młode pokolenie jest więc sfrustrowane geriatryczną korektą, niektórzy wręcz czują się wykiwani. Bo Czarzasty przez parę lat zwodził swoje środowisko udawaniem weterana, który swoje już w polityce zrobił i pozostało mu tylko sprawnie zarządzić pokoleniową sukcesją. Frustracja młodych nie rodzi jednak nastrojów buntowniczych, raczej wydają się pogodzeni z losem.

Noszący własną buławę w tornistrze Krzysztof Gawkowski musi więc jeszcze parę lat poczekać na swoją kolej. Miał już zresztą wynegocjować z Czarzastym wycofanie swojej kandydatury w zamian za dodatkowe wpływy w kierownictwie. Zapowiadający również start Tomasz Trela od początku był kandydatem niszowym. Pozostaje w rywalizacji Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, w której otoczeniu też zresztą nie brakuje wątpliwości, czy warto porywać się z motyką na słońce.

Nie ulega więc wątpliwości, że Czarzasty wyjdzie ze zjazdu dodatkowo wzmocniony, nic sobie nie robiąc z kąśliwych uwag ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ w lewicowych bańkach społecznościowych. Lider prowadzi swoją grę w sposób świadomy, dopasowując ją do ogólnej strategii. W drugiej części kadencji Lewica nie zamierza jakoś specjalnie zabiegać o młodych wyborców, praktycznie za darmo oddając ich Razem. W relacjach z partią Zandberga zmienił jednak ton. Schował marchewkę i pogroził kijem, usuwając niedawnego sojusznika z konwentu seniorów, żeby zaznał wątpliwych uroków życia na sejmowym marginesie i nieco skruszał. Chociaż głównym celem Lewicy pozostaje mimo wszystko w pierwszej kolejności odbicie starszego elektoratu, który w ostatnich dwóch latach odpłynął do KO.

To grupa w miarę precyzyjnie zdiagnozowana: radykalnie antypisowska, ale zarazem antyklerykalna i potencjalnie mało odporna na flirty Tuska z prawicowym populizmem. Powinna im więc przypaść do gustu kreacja Czarzastego jako twardego marszałka Sejmu, który wchodzi w ostre konfrontacje z prezydentem Nawrockim, ale przy okazji forsuje lewicowe projekty. Podobno zresztą taka ekspozycja przynajmniej domyślnie została uzgodniona z premierem, który ma świadomość, że jego kolejne konserwatywne zwroty mogą być zniechęcające dla części zwolenników. Ich przesuwanie się na lewo byłoby więc przepływem w sumie kontrolowanym, bez naruszania granic wspólnego dominium.

Co potwierdzałoby szczególny status Czarzastego, który – w odróżnieniu od Kosiniaka-Kamysza i jeszcze bardziej Hołowni – jest w oczach premiera partnerem. Oczywiście dużo słabszym, ale mimo wszystko podmiotowym dzięki względnie stabilnej bazie wyborców. Tyle że porozumienia z Tuskiem zawsze były ryzykowne, gdyż lider KO w zakulisowych rozmowach lubi posługiwać się niedopowiedzeniami, żeby nie ograniczać sobie przyszłego pola manewru. W przypadku zmiany planów zawsze może później powiedzieć, że został źle zrozumiany.

Dzisiaj Czarzasty skupiony jest jednak przede wszystkim na marszałkowaniu. Wyciągając wnioski z doświadczenia Hołowni, który zbudował na tym fotelu jedynie krótkotrwałą osobistą popularność, bez korzyści dla swojego projektu politycznego. Następca nie ma ambicji podobania się wszystkim. Właśnie zalegalizował wątpliwe ustrojowo narzędzie „marszałkowskiego weta", powołując w swojej kancelarii nowe ciało, które ma oceniać finansowy realizm wpływających projektów ustaw. Oczywiście głównie prezydenckich, czemu towarzyszyła zachęta Czarzastego pod adresem Karola Nawrockiego, że jeśli zależy mu na poważnym potraktowaniu swoich pomysłów, powinien na bieżąco je konsultować. Bo jak nie, to będzie „weto".

Ich dwóch wystarczy

Wielobarwna po 15 października koalicja robi się zatem coraz bardziej monochromatyczna. Zanika kolor żółty, zieleń też coraz bledsza. Co w takim razie z dawnymi wyborcami Trzeciej Drogi? Rozpłynęli się po całej scenie. Z szacunków analityka Daniela Persa (podanych przez Politykę Insight) wynika, że mniej więcej co trzeci jest dzisiaj zdemobilizowany, tylu samo przerzuciło poparcie na KO, z kolei co czwarty uciekł do Konfederacji albo partii Grzegorza Brauna, a resztą podzieliły się lewice Czarzastego i Zandberga.

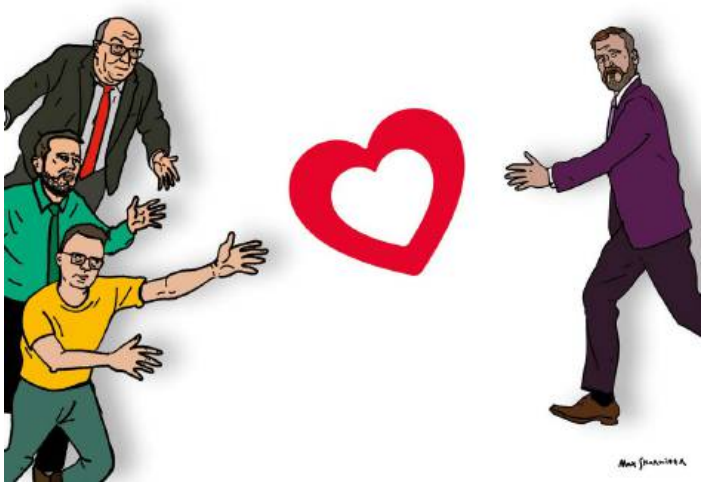

W ogólnym bilansie najwięcej ważą jednak ci z prawej strony. To grupa półmilionowa, a więc istotna w niewykluczonej kolejnej rywalizacji „na żyletki". Czy da się tych wyborców kiedykolwiek odzyskać? A może wystarczy zneutralizować? Prędzej to ostatnie, w czym mogą dopomóc – na co liczy obóz rządzący – dalsze waśnie na prawicy, zmęczenie coraz ostrzej szarżującym Braunem, ujawnianie jego rosyjskich afiliacji, a być może też ujawnienie jakichś powiązań Konfederacji z branżą kryptowalutową. Chociaż oczywiście w kalejdoskopie zmieniających się z dnia na dzień społecznych emocji trudno cokolwiek przewidzieć.

Na niedawnym wyjazdowym posiedzeniu klubu KO Tusk miał jednak rysować scenariusz dalszych zwyżek, wskazując jako wyborczy cel dla swojego ugrupowania 38 proc. Co biorąc pod uwagę obecną średnią tego ugrupowania (33 proc.) oraz resztek po Trzeciej Drodze (4 proc.), wydaje się kalkulacją w miarę realistyczną. I jeżeli do tego doliczyć 10 proc. wspólnej lewicowej listy – chociaż dzisiaj wydaje się ona mało prawdopodobna – niewielka większość w Sejmie jest w zasięgu. Do pewności brakuje już tylko głębszego wypłaszczenia słupków PiS, Konfederacji i Brauna.

Na co koalicja też może wpływać. I być może po to właśnie liderzy KO zaczęli ostatnio mówić o konieczności zdelegalizowania partii Brauna. Czego oczywiście w krótkim czasie nie da się zrealizować, za to sama pogróżka może dodatkowo pomóc Braunowi mobilizować obrońców. Ale być może o to właśnie chodzi, żeby Korona dalej rosła, gdyż to osłabia głównie PiS. Świadoma gra na wzmacnianie ultraradykała byłaby oczywiście moralnie dwuznaczna i politycznie ryzykowna, niemniej racjonalna, jeśli chodzi o wyborczą pragmatykę.

Warto wszakże pamiętać, że do wyborów zostały dwa lata, co we współczesnej polityce jest jak epoka. Dzisiaj rządzący są w impecie, ale gra toczy się na cienkiej tafli lodu. Koalicji niewątpliwie sprzyjają prognozy makroekonomiczne oraz niezła sytuacja na rynku pracy, tyle że drugą stroną tej monety jest ogromny deficyt budżetowy, rosnący dług i niepewne ratingi. Ewentualne tąpnięcie w gospodarce najpewniej zniweczyłoby ofensywny dzisiaj plan, gdyż Tusk zamiast rozliczać dalej poprzedników, znów musiałby odpowiadać na trudne pytania o własne osiągnięcia. W czym nigdy nie był specjalnie przekonujący. A to przecież tylko jedno z zagrożeń licznie czyhających w naszym niebezpiecznym świecie, wcale zresztą nie największe. Dzisiejszy optymizm jest zatem uzasadniony, chociaż łaska pańska jeździ dzisiaj na wyjątkowo pstrym koniu.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 53e0f75d2b

Polska nauka z napędem AI

Sztuczna inteligencja jako najważniejszy trend technologiczny ostatnich lat jest podstawą (r)ewolucji w strategicznych projektach rozwoju infrastruktur badawczych.

Są to duże infrastruktury cyfrowe, które opierają się na przetwarzaniu danych. Ich budowę naukowcy rozpoczęli w poprzedniej dekadzie i już wtedy zawierały one elementy sztucznej inteligencji (AI). Obecny dynamiczny rozwój AI spowodował jednak skok jakościowy i ilościowy, który skierował badania i rozwój na nowe ścieżki.

Skala tych infrastruktur badawczych wartych po kilkadziesiąt lub kilkaset milionów złotych wymagała dofinansowania unijnego. Otrzymały one dotacje w poprzednich perspektywach finansowych Unii Europejskiej oraz w obecnej, na lata 2021–2027.

Cyfrowe bliźniaki

Europejskie Centrum Bioinformatyki i Genomiki (ECBiG) w Poznaniu, które zajmuje się rozwojem technologii wspierających m.in. diagnostykę i terapię medyczną, kładzie obecnie nacisk na wykorzystanie mocy obliczeniowej sztucznej inteligencji do badań z użyciem spersonalizowanych modeli biologicznych. Modele te pozwalają na testowanie np. leków na komórkach wyhodowanych z próbek pobranych od konkretnego pacjenta. Gdy wkracza AI, możliwe staje się tworzenie cyfrowych bliźniaków (ang. *digital twins*), czyli wirtualnych modeli tkanek, narządów (na zdjęciu), a nawet całych organizmów, które odwzorowują funkcje i reakcje układów żywych w czasie rzeczywistym. Dzięki temu naukowcy mogą testować wiele próbek i scenariuszy jednocześnie, przewidywać reakcje komórek na leki, symulować rozwój chorób i oceniać skuteczność terapii. W tradycyjnych badaniach laboratoryjnych osiągnięcie takiej skali byłoby czasochłonne i bardzo kosztowne. Cyfrowe bliźniaki będą więc pomostem między biologią eksperymentalną a medycyną spersonalizowaną. Projekt ECBiG – MOSAIC 3D realizuje zespół Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk oraz afiliowanego przy nim Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego (PCSS).

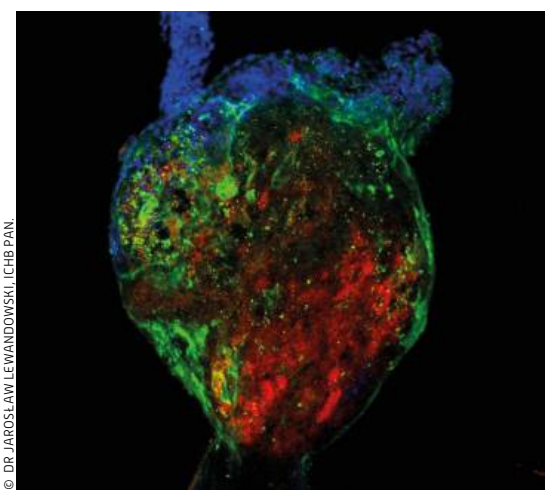

© DR JAROSŁAW LEWANDOWSKI, ICHB PAN.

Obraz mikroskopowy organoidu sercowego.

Trenowanie modeli AI

PCSS wraz z 11 innymi instytucjami badawczymi z całej Polski firmuje też wieloletni projekt informatyczny o nazwie Krajowy Magazyn Danych. Obejmuje on budowę infrastruktury danych oraz udostępnianie jej naukowcom i przedsiębiorcom wraz z usługami i aplikacjami do składowania i przetwarzania danych. W obecnej edycji projektu o nazwie KMD4EOSC infrastruktura ma być udostępniona głównie dla obliczeń w modelach AI, zasilania modeli AI oraz wsparcia ich procesów uczenia się. Intuicyjna platforma dostępowa pozwoli użytkownikom na przechowywanie swoich danych oraz wykorzystanie centrów obliczeniowych, by rozwijać własne modele AI lub korzystać z narzędzi i modeli dostępnych w katalogu. Największy akcent kładzie się na rozwiązania generatywne, w tym na duże modele językowe (LLM-y). Klienci będą mogli zastosować te modele do dogłębnej analizy i zaawansowanego pozyskiwania wiedzy ze zbiorów danych badawczych - zarówno publicznych jak i prywatnych.

Analiza języka i emocji

Duże modele językowe – w tym modele rozwijane dla polszczyzny – są też bazą dla usług, które wkrótce pojawią się na rynku dzięki kolejnej edycji projektu CLARIN-PL. CLARIN-PL to ogólnopolska infrastruktura do przetwarzania języka naturalnego. Nowa warstwa usług będzie szybciej wydobywać wiedzę z tekstów, personalizować treści i ułatwiać komunikację człowieka z maszyną. LLM-y pełnią rolę "katalizatora" dla całego systemu: podnoszą jakość analiz językowych, spinają istniejące komponenty w spójne potoki i udostępniają je przez interfejs czatowy, w którym użytkownik formułuje zadanie w języku naturalnym. Szczególny nacisk jest położony na wiarygodność generowanych odpowiedzi: system automatycznie wskazuje źródła i fragmenty, na podstawie których wnioskuje, wykrywa halucynacje, ogranicza dezinformację i jest testowany pod kątem odporności na nadużycia. Dla nauki oznacza to m.in. szybsze przeszukiwanie i streszczanie dużych korpusów tekstów oraz narzędzia do analiz emocji i polaryzacji. Dla gospodarki i instytucji publicznych – precyzyjną analizę opinii klientów, moderację mowy nienawiści oraz wprowadzenie bezpiecznego asystenta badacza działającego po polsku. Projekt realizuje pięć instytucji badawczych pod przewodnictwem Politechniki Wrocławskiej.

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
OŚRODEK PRZETWARZANIA INFORMACJI

eprasa.pl 53e0f75d2b

Prawie ćwierć miliona kierowców ma sądowy zakaz prowadzenia pojazdów. 75 tys. – dożywotnio. I jeżdżą. A wymiar sprawiedliwości wciąż się ośmiesza pobłażliwymi wyrokami. Oto seria bulwersujących przypadków i wypadków.

Mile i promile

JULIUSZ ĆWIELUCH

©SHUTTERSTOCK

Sprawa 26-letniego Łukasza Żaka to wielki – i pokazowy – spektakl sprawczości państwa. Błyskawiczna (jak na polskie standardy) ekstradycja z Niemiec. Szybkie wejście sprawy na wokandę (jak na polskie standardy) i praca całego aparatu wymiaru sprawiedliwości, który tak się przykłada, że nawet znalazł w celi u oskarżonego telefon komórkowy. Jak telefon się tam znalazł, to już inna kwestia. Ale państwo za wszelką cenę próbuje pokazać, że działa. Na dniach prokuratura zamierza postawić Łukaszowi Ż. kolejne zarzuty. Tym razem za handel hurtowymi ilościami narkotyków. Tylko czy te wszystkie gesty przysłonią trwającą latami bezradność i pobłażliwość wobec Łukasza Ż. i jemu podobnych?

Pierwsze przesłanki, żeby trafił za kratki, pojawiły się już w 2018 r., kiedy 12 września Żaka złapano za jazdę pod wpływem alkoholu. Wyrok – ograniczenie wolności i prace społeczne. Plus automatyczny zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych. 8 października 2019 r. został złapany na przekroczeniu prędkości. Skończyło się na tym, że dostał kolejny zakaz. Tym razem na 5 lat. 22 listopada 2020 r. ponownie został złapany za kierownicą.

W pewnym momencie dwóch różnych sędziów, w dwóch warszawskich sądach, sądziło dwie niemal identyczne sprawy tego samego sprawcy – czyli Łukasza Żaka. Jeden sędzia dał 2 lata ograniczenia wolności i 6-letni zakaz prowadzenia. Drugi skazał go na 11 miesięcy więzienia. I dołożył kolejny zakaz. Żak poszedł siedzieć. Zaliczył dwie odsiadki, po rok każda. Wychodził i znowu łamał zakazy. W 2024 r. miał ich już pięć.

15 września 2024 r. o godzinie 1.30 w nocy z soboty na niedzielę pędzący z ogromną prędkością Volkswagen Arteon dosłownie staranował osobowego Forda. Za kierownicą siedział Żak. W Fordzie jechała 4-osobowa rodzina. 37-letni ojciec zginął na miejscu. Matka i dwójka dzieci (8 i 4 lata) trafili do szpitala. W wypadku ciężko ranna została również dziewczyna Żaka. On zbiegł do Niemiec, gdzie po burzy medialnej w Polsce sam zgłosił się na policję. Proces odbywa się z pełną jawnością. Butna postawa oskarżonego przybliża go do wieloletniej odsiadki. Prokuratura Okręgowa w Warszawie oficjalnie poinformowała, że Żakowi grozi 30 lat.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Jeśli tak będzie, sprawiedliwości, również tej społecznej, w jakiś sposób stanie się zadość.

Tyle że w cieniu tych wielkich i medialnych tragedii każdego dnia dochodzi do mniejszych i może mniej spektakularnych. Ale nie mniej społecznie szkodliwych. Opinia publiczna nie rozumie, dlaczego ktoś ma 23 zakazy prowadzenia samochodu i po raz kolejny łapany jest za kółkiem. Tym bardziej nie rozumie, jak to jest, że ktoś ma dożywotni zakaz, a sąd po kolejnym jego złamaniu, zamiast wsadzić delikwenta do więzienia, daje mu jeszcze jeden zakaz. Tym razem na 3 lata. – *To znaczy, że nie będzie mógł kierować pojazdami jeszcze przez 3 lata po śmierci?* – pyta jeden z pokrzywdzonych przez takiego kierowcę.

Po wyrok, nie po sprawiedliwość

Patryk D., rocznik 1993, ojciec pięciorga dzieci i posiadacz dożywotniego zakazu prowadzenia pojazdów, 10 lutego 2024 r. został zatrzymany do rutynowej kontroli drogowej. Wydawałoby się, że taki dożywotni zakaz to gruba sprawa. Ale nie w Polsce. Już ponad 75 tys. kierowców go ma. Co roku kilka tysięcy z tych osób – mowa tylko o ponownie złapanych – znowu wsiada za kierownicę. Dlaczego tak się dzieje? Bo mogą. A dlaczego mogą, prześledźmy na przykładzie 31-letniego Patryka D.

Zatrzymanie dla Patryka D. nie było chyba wielkim przeżyciem. Miał już spore doświadczenie w tego typu sytuacjach. Nie został zawieziony ma komendę, nie przesiedział na dołku, nie odholowano nawet jego auta. Po prostu spisano protokół zdarzenia. Dlaczego? Odpowiedzi można mnożyć. Od tej pierwszej – nie było podstaw do zatrzymania na 48 godzin – był trzeźwy, nie uciekał. A skończywszy na tej najbardziej banalnej – warszawska policja ledwo zipie. Braki kadrowe są tak dotkliwe, że w niektórych dzielnicach wyjeżdża o 50 proc. mniej załóg, niż powinno. Wystarczyło, że D. wskazał osobę, która odbierze samochód. I tyle.

Choć sprawa była prosta, na osądzenie czekała 14 miesięcy. Wyrok zapadł dopiero 29 kwietnia 2025 r. Sędzia Agnieszka Kowalczyk z Sądu Rejonowego dla Pragi Północ, która przewodniczyła sprawie, uznała Patryka D. za winnego i skazała go z art. 244 Kodeksu karnego. W myśl tego artykułu za złamanie sądowego zakazu grozi kara od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności. Ale D. do żadnego więzienia nie trafił. Dlaczego? Dzięki art. 37a par. 1 Kodeksu karnego, który pozwolił sędzi nie orzekać bezwzględnego więzienia. Zamiast tego Patryk D. dostał karę „jednego roku i 6 miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania nieodpłatnej, kontrolowanej pracy na cele społeczne w wymiarze 30 godzin w stosunku miesięcznym". Dodatkowo Patryk D. dostał kolejny zakaz prowadzenia pojazdów. Tym razem na 3 lata. Ma więc w tej kwestii dożywocie i 3 lata. Trudno to zrozumieć, nie mówiąc już o tym, jak to wyegzekwować.

Jeszcze trudniej zrozumieć, dlaczego wymiar sprawiedliwości tak się ośmiesza. Z uzasadnienia wyroku: „Jako okoliczność łagodzącą sąd potraktował przyznanie się oskarżonego do zarzucanego czynu, wyrażenie skruchy za swoje postępowanie oraz posiadanie na utrzymaniu 5 dzieci w wieku od 3 do 12 lat". Uzasadnienie zawiera również takie zdanie: „przy przestępstwach drogowych istotne jest, aby wymiar środka karnego oddziaływał wychowawczo przede wszystkim na sprawcę, ale także na kształtowanie świadomości prawnej społeczeństwa w zakresie przestrzegania zasad bezpieczeństwa w ruchu drogowym". W nim zawiera się odpowiedź, dlaczego w Polsce można mieć 23 zakazy i nic sobie z tego nie robić. Jakie wyroki, takie oddziaływanie.

Czy się siedzi, czy się leży

3 lipca 2024 r. około godziny 17.30 na ul. Dużej w Markach policja zatrzymała do kontroli Fiata Punto. Za kierownicą siedział 38-letni Grzegorz Ż. Choć słowo „siedział" nie do końca jest adekwatne, bo Ż. bardziej leżał, niż siedział. Pięć godzin wcześniej wypił litr wódki. Wydmuchane 1,08 promila bardzo go jednak zdziwiło, bo jak sam zeznał, był przekonany, że ma góra 0,5 promila. Dlaczego w takim stanie wsiadł za kierownicę? Jego partnerka potrzebowała pomocy w przewiezieniu mebla. Nie mógł zostawić jej z tym samej.

Oskarżony oraz obrońca wnioskowali o warunkowe umorzenie sprawy ze względu na to, że wina i społeczna szkodliwość czynu nie były znaczne. Ż. nikogo przecież nie zabił. Nawet nie potrącił. Jechał powoli, bo czuł, że jest pod wpływem. Można powiedzieć, że na swój sposób zachował się rozsądnie. Sąd nie podzielił tej perspektywy. Asesor sądowy Marek Ołdak zwrócił uwagę, że oskarżony czterokrotnie przekroczył próg 0,25 mg/l, po którym zaczyna się penalizacja jazdy pod wpływem alkoholu. Dodatkowo dwukrotnie przekroczył próg wyznaczony do obligatoryjnego przepadku pojazdu. Co zresztą zostało zasądzone. Dalsza część wyroku może już być zaskoczeniem. Oskarżonemu groziły 3 lata więzienia, a skończyło się na karze grzywny. W sumie 3750 zł. Plus trzyletni zakaz prowadzenia pojazdów. No i utrata własnego pojazdu, czyli kolejne 4 tys. zł, bo Punto miało już swoje lata.

W ten sposób Ż. dołączył do grona 12 890 osób, którym do 5 listopada 2025 r. policja tymczasowo (w jego wypadku również ostatecznie) zatrzymała pojazd za jazdę pod wpływem alkoholu. Przepisy, które wprowadziły tę procedurę, weszły w życie 14 marca 2024 r. To oznacza, że średnio każdego dnia policja zatrzymywała ponad 20 samochodów. Z tej perspektywy prawo wydaje się surowe, a państwo bezwzględne. Jednak sprawa Ż. i tysięcy podobnych pokazuje, że to surowość na pokaz. Analizy, które przygotowano dla Ministerstwa Sprawiedliwości, mówią wprost, że wyroków skazujących na bezwzględną karę więzienia jest jak na lekarstwo.

Co do Groszyka

Prokurator Wojciech Groszyk wśród warszawskiej palestry nie ma dobrej opinii. Uchodzi za drobiazgowego i surowego. On sam traktuje to jako komplementy. – *Ja po prostu staram się sumiennie wykonywać swój zawód i dobrze przygotowywać do prowadzonych spraw. Argument, że tępię pijanych kierowców, jest nietrafiony. Uważam, że nie należy bagatelizować tych przestępstw* – tłumaczy. Tym bardziej że z wnikliwej analizy akt bardzo często wynika, że alkohol jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. – *Jeśli mamy sprawę, w której oskarżona miała prawie promil alkoholu, a w aktach jest więcej niż sugestia, że wykazuje objawy uzależnienia od alkoholu, to czy umarzając warunkowo jej sprawę, dajemy jej szansę, czy pakujemy ją w większe kłopoty? Przecież sama się w tym piciu raczej nie opamięta, skoro w takim stanie wsiadła za kierownicę* – mówi prokurator Groszyk.

W sprawie, o której opowiada, oskarżona miała prawie promil alkoholu w wydychanym powietrzu. Złapana została o godzinie 15.15, czyli w środku dnia. Z wywiadu kuratora wynika, że nie tylko z alkoholem ma problem; skarży się też na depresję i inne dolegliwości zdrowotne. Na utrzymaniu ma dorosłego niepełnosprawnego syna. Dla sądu była to okoliczność łagodząca. Prokurator Groszyk patrzy na to inaczej. – *W takich sytuacjach przydałyby się środki dodatkowe, na przykład warunek, że skazana* ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ *podda się terapii uzależnień. Ale ja takich wyroków nie kojarzę* – dodaje prokurator Groszyk.

Kojarzy za to takie, w których złapany na jeździe po pijanemu odwoływał się od łagodnego wyroku i domagał przywrócenia uprawnień do kierowania pojazdami. Sprawa dotyczy Dariusza K., którego 10 lipca 2023 r. złapano na jeździe pod wypływem alkoholu. Powiedzieć, że jechał na podwójnym gazie, to nic nie powiedzieć, bo K. wydmuchał 1,14 promila. Ale sędzia Beata Surma z Sądu Rejonowego w Wołominie najwidoczniej postanowiła dać mu drugą szansę. Nie dość, że dostał tylko 10 miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem prac na cele społeczne (30 godzin w miesiącu), to prawo jazdy mógł odebrać już w dniu wydania wyroku. Tyle że nie bardzo mógł się nim posługiwać, bo minimum trzyletni zakaz prowadzenia pojazdów sędziowie muszą dawać obligatoryjnie.

Patryk D. miał już zasądzony dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów, gdy niedawno sąd dołożył mu 3-letni zakaz. Jak to rozumieć? I jak wyegzekwować?

Odwołanie od wyroku wniósł sam skazany. Jego obrońca prosił, żeby z zakazu wyłączyć kategorię prawa jazdy C oraz C+E, bo tak się składa, że jego klient to zawodowy kierowca. Na dodatek obarczony licznymi zobowiązaniami – troje dzieci i dwie egzekucje komornicze. A żona co prawda pracuje, ale za najniższą krajową. – *Ja wnosiłem o nieuwzględnienie apelacji, ale sąd podzielił argumentację obrońcy i zgodził się na wyłączenie kategorii C i C+E z orzeczonego zakazu. Moim zdaniem to nie tylko niewychowawcze, ale również nielogiczne. Skoro to zawodowy kierowca, to tym bardziej miał świadomość, jakie powodował zagrożenie. No i jaką mamy pewność, że ponownie nie siądzie za kierownicę pijany* – pyta prokurator Groszyk.

Ze spraw, które do niego trafiają, wyłania się obraz, w którym przypadki jazdy po pijanemu, pod wpływem narkotyków czy inne zagrożone karą więzienia przestępstwa drogowe wpadają w systemową dziurę prawną. – *W dużych i średnich miastach sądy mają takie zaległości, że wiele tego typu postępowań prowadzonych jest w trybie nakazowym, czyli w postępowaniu uproszczonym, bez przeprowadzania rozprawy. Ma to wiele plusów i jeden zasadniczy minus. W trybie uproszczonym nie można skazywać na kary więzienia, nawet te w zawieszeniu, co właściwie wypacza ten rodzaj postępowań. To właśnie w tym trybie zasądzanych jest najwięcej zakazów prowadzenia pojazdów, które notorycznie są później łamane* – dodaje prokurator Wojciech Groszyk.

Według danych KG Policji liczba osób z aktywnym zakazem prowadzenia pojazdów to 208 237. Ale te dane szybko się zmieniają i spokojnie można mówić o ponad 210 tys. osób bez prawa siadania za kółkiem; 75 051 dożywotnio. Tyle że to prawo jest martwe. O czym prokurator Groszyk przekonał się po raz kolejny podczas ostatniego dyżuru.

W niedzielny poranek 30 listopada został wezwany do wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Ofiara to 22-latek. Tyle że kwestia bycia ofiarą w tym wypadku jest dyskusyjna. Zmarły kilka ostatnich godzin życia spędził na piciu alkoholu razem z 29-letnim kolegą. Przed ósmą rano obydwaj wsiedli do Volkswagena Golfa. Nie przeszkadzało im, że byli pijani, ani to, że auto było niesprawne. Około godz. 8.30 kierujący autem 29-latek zderzył się czołowo z Oplem. Doszło do tego na prostym odcinku drogi. Warunki pogodowe były dobre, widoczność bardzo dobra. Ale jak ma się dwa promile, to widoczność jest słaba; momentami żadna. Może stąd ta czołówka.

To będzie ustalała policja. Na szybko udało się stwierdzić, że kierujący miał dwa czynne zakazy prowadzenia. Poszukiwany był również listem gończym. Na lokalnym forum internetowym rozpętało się piekło. Ludzie pytali, czy „kolekcjonowanie zakazów to jakaś moda, w której udział biorą również sądy", dlaczego „złamanie drugiego zakazu nie zakończyło się więzieniem" i czy sprawca będzie „sądzony za zabójstwo z premedytacją", bo skoro ktoś siada za kierownicę, mając 2 promile, to nie jest zwykły wypadek.

– *Rozumiem, że dla opinii publicznej informacja, że ktoś miał dwa czynne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych, a mimo to spowodował śmiertelny wypadek, jest co najmniej szokująca. I niezrozumiała. Dlatego trzeba znowelizować Kodeks karny w zakresie stosowania art. 37a. Wystarczy dodać do niego par. 3, który zabraniałby stosować go za takie samo przestępstwo sądzone po raz drugi. Nie chodzi o to, żeby od razu pakować ludzi do więzienia. Ale nie może być tak, że godzimy się na notoryczną recydywę* – przekonuje prokurator Groszyk.

Poznańskim sznytem

Podobnego zdania jest inspektor Sławomir Piekut, zastępca wielkopolskiego komendanta policji, dla którego sprawy tzw. zakazowców to jeden z zawodowych koników. – *Któregoś ranka policjanci zatrzymali do kontroli kierowcę, który, jak się okazało, kierował pomimo aktywnego zakazu. Tego samego dnia ten sam patrol ponownie zobaczył go za kierownicą. Doszło do próby zatrzymania, która przerodziła się w pościg. Uciekający doprowadził do kolizji. Mało brakowało, a zakończyłaby się tragicznie. Nikomu nic się nie stało, ale ta sytuacja dała mi do myślenia, że to nie może tak wyglądać* – wspomina inspektor Piekut.

Jeszcze więcej do myślenia dał mu przypadek 26-latka, wobec którego orzeczono 14 zakazów prowadzenia pojazdu. Zaczęło się od tego, że złapano go na łamaniu pierwszego zakazu. Ale sprawa czekała rok na osądzenie. W międzyczasie policja niemal co miesiąc łapała delikwenta za kółkiem. Jak już sądowa machina się rozpędziła, to w siedmiu różnych sądach 26-latka skazano w sumie 14-krotnie. Za każdym razem orzekając kolejny zakaz i kolejne kary ograniczenia wolności. Żaden z sędziów nie zdecydował się na karę więzienia. – *Kara powinna być szybka i nieuchronna również dla dobra samych oskarżonych. Jeśli człowiek łamie przepisy, ale widzi, że właściwie nie ponosi konsekwencji, to dlaczego miałby tego znowu nie robić* – retorycznie pyta inspektor Piekut.

Podobne pytania zadawał również sędziom z wielkopolskich sądów, z którymi spotykał się, żeby przekonać ich, jakim problemem stali się kierowcy nagminnie łamiący zakazy prowadzenia

eprasa.pl 53e0f75d2b

pojazdów. Przy okazji wspominał, że godzi to nie tylko w wizerunek wymiaru sprawiedliwości, ale dotyka także ładu społecznego, o autorytecie państwa nie wspominając.

W ramach remedium w Wielkopolsce zaczęto więc sięgać po przyśpieszony tryb orzekania stosowany sporadycznie, najczęściej przy okazji różnego rodzaju wybryków chuligańskich na stadionach. Tym razem policjanci, kiedy złapali kogoś, kto prowadził na zakazie, już go nie wypuszczali. Szedł na tzw. dechy, czyli do Policyjnej Izby Zatrzymań. A stamtąd w ciągu 48 godzin trafiał przed oblicze sądu. Nie po roku czy czasem nawet dwóch latach, jak to się wcześniej zdarzało. Ale po jednym, góra dwóch dniach.

W efekcie w Wielkopolsce drastycznie spadła ilość recydywy, jeśli chodzi o kierowców łamiących zakaz. – *W tym roku złapaliśmy ich 600. Ale wśród nich było tylko dwóch, którzy wcześniej zostali skazani w trybie przyśpieszonym. Uważam, że czas spędzony w Policyjnej Izbie Zatrzymań i skuteczność prawa pozostałym najwyraźniej przemówiła do rozsądku* – dodaje inspektor Piekut.

Jego zdaniem kluczem do sukcesu są dwie sprawy. Po pierwsze, sprawcy widzą, że prawo działa, a kara jest szybka i nieuchronna. – *Na dodatek do akt zaczęliśmy również dołączać sprawy, które już były w toku, ale nie skończyły się wyrokami. Tak, żeby sędziowie mieli pełny obraz sytuacji prawnej oskarżonego. Normalnie nie mają wglądu do naszych postępowań. Sędziowie, mając dobrze przygotowany materiał i widząc, że sprawca nagminnie łamie przepisy, nie mieli oporów, żeby zasądzać wyroki bezwzględnego więzienia* – dodaje wiceszef wielkopolskich policjantów. Przy okazji dotyka wrażliwego tematu, jakim jest informatyzacja sądów. Z diagnozy dla Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że w wielu sprawach karta karna oskarżonego jest właściwie nic niewarta. Policja dołącza ją do akt. Ale jeśli sprawa czeka rok na wokandę, to w chwili rozpoczęcia procesu jest już więcej niż nieaktualna. Formalnie sędziowie powinni uaktualniać to na własną rękę. Ale praktyka pokazuje, że wielu w ogóle tego nie robi. Stąd m.in. 25 tys. osób z podwójnym zakazem, nie mówiąc już o 2373 osobach z czterema aktywnymi zakazami.

Bat czy bacik

Analiza postępowań wykazała jeszcze jedno. Większość spraw dotyczących łamania zakazów prowadzenia pojazdów odbywała się bez udziału prokuratorów. Pod koniec października prokurator krajowy Dariusz Korneluk wysłał w tej sprawie pismo do wszystkich szefów prokuratur rejonowych w Polsce. Polecił, by prokuratorzy stawiali się na posiedzenia i rozprawy, które dotyczą naruszeń zakazu prowadzenia pojazdu. Mają też „dokonywać wszechstronnej oraz rzetelnej analizy wyroków nakazowych, z uwzględnieniem uprzedniej karalności sprawców i liczby orzeczonych wobec nich środków karnych w postaci zakazu".

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Związkowcy z prokuratury zarzucili Kornelukowi, że utopi instytucję w „biurokracji i chaosie". Widocznie chaos i tragedie na drogach związkowcom mniej przeszkadzają. Tylko czy pomysł prokuratora krajowego będzie batem, czy bacikiem, bo może model wielkopolski jest po prostu lepszy i działa.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© AGENCJA SE/EAST NEWS

REKLAMA

eprasa.pl 53e0f75d2b

Jeszcze się policzymy!

MARTYNA BUNDA

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 53e0f75d2b

Związek nieformalny też może wywołać poważne zobowiązania majątkowe – uznał Sąd Najwyższy. Być może na dekady zmieniając kurs polskiego orzecznictwa w sprawach dotyczących niemałżeństw.

Sąd Najwyższy (SN) utrzymał w mocy orzeczenie apelacji w Szczecinie: partnerce w nieformalnym, wieloletnim związku po rozstaniu należy się połowa majątku partnera. W uzasadnieniu zaznaczył, że dotychczas wydawane orzeczenia są niespójne, rozbieżne, a samo zagadnienie nie było dotychczas wystarczająco ugruntowane w orzecznictwie – rozstrzygnięcie przyczyni się więc do rozwoju prawa, a wyrok stanie się punktem odniesienia dla kolejnych werdyktów.

Historia szczecińska to przypadek coraz bardziej typowy dla polskiego życia rodzinnego: para z kilkudziesięcioletnim stażem, dwoje dzieci, on w biznesie, ona – ogarniająca dom i pomagająca w prowadzeniu firmy. Rozstanie. On oczekuje, że ona opuści dom tak, jak stała, bo – zgodnie z przeważającą w sądach przez lata doktryną – do jego majątku nie ma żadnych praw, a sama niczego się nie dorobiła. Niemal nic, co zostało zakupione, nie zostało opłacone z jej pieniędzy, bo ich nie zarabiała – nie mogła więc w sądzie przedłożyć paragonów, faktur, dowodów przelewów. Na przykład za remonty jego domu, domagając się zwrotu tych wydatków od niego. Jednak ona dochodziła w sądzie czegoś zgoła innego – zadośćuczynienia za lata pracy, za wkład w budowanie majątku partnera, na podstawie przepisów o bezpodstawnym wzbogaceniu się partnera.

Gdyby państwo ze Szczecina byli małżeństwem z rozdzielnością majątkową, w przypadku rozstania pani mogłaby wnieść o alimenty i najprawdopodobniej by je zasądzono. Z uwagi na tragiczną sytuację życiową odpowiedzialność za jej byt obciążałaby eksmęża. To jednak wszystko, co mogłaby otrzymać. Konkubinat okazał się więc, paradoksalnie, lepszą pozycją do finansowych negocjacji.

Zdaniem SN nie ma powodu, żeby wieloletni konkubinat po rozpadzie miał pozostać nierozliczony tylko dlatego, że jeden z partnerów twierdzi, że dla niego to nigdy nie był związek na całe życie... Sąd uznał za wiarygodne tłumaczenia powódki, że żyła w przekonaniu, iż wybudowany na działce partnera dom i jego urządzenie będą służyć zaspokojeniu wspólnych potrzeb ich rodziny. Argumenty pozwanego, że wyraźnie informował partnerkę, iż nie zamierza się żenić, są mniej istotne niż fakt prowadzenia życia rodzinnego, które czyniło zadość zasadom współżycia społecznego. Praca matki, partnerki i osoby zajmującej się domem też ma wymierną wartość, wzmocnioną konstytucyjną ochroną rodziny – dowodził adwokat kobiety, a SN się z nim zgodził. Powódka nie czyniłaby takich nakładów, gdyby nie zakładała, że buduje rodzinę – dodano w uzasadnieniu.

Tak oto konkubinaty, po latach impasu związanego z prawnym uregulowaniem kwestii związków partnerskich, bocznymi drzwiami weszły do sądowego mainstreamu. Nawet na lepszych zasadach niż małżeństwo z rozdzielnością majątkową, choć na razie tylko w kwestii rozstań.

Pozdrowienia od teściów

Podział majątku po rozstaniu to sprawa nieprosta i nie tylko dlatego, że przepisy i wyroki są niejednoznaczne i niedostosowane do współczesnych realiów. Legendarne wojny o każdą łyżkę i widelec mają w tle wielkie emocje. W badaniach nad poziomem stresu taką sytuację można porównywać ze śmiercią partnera.

A emocje eskalują tym bardziej, im dłużej szarpie się para. Polskie prawo – cywilne, rodzinne, podatkowe – nie sprzyja rozstaniom, bo jest pełne pułapek. I przyprawiających o poczucie duszności niespodzianek. „W szkole uczymy się o pantofelkach i runie leśnym, ale nikt nie tłumaczy nam, jakie są skutki zawarcia małżeństwa, czym jest wspólnota majątkowa i co nam naprawdę daje (a czego nie daje) ślub. Nie dowiadujemy się, czym się różni związek nieformalny od małżeństwa, co w relacji należy wyłącznie do mnie, a co staje się wspólne. Nie słuchamy na lekcjach, co się dzieje z majątkiem po rozwodzie czy śmierci jednego z partnerów (...), czyli de facto, jak prawo wpływa na nasze życie osobiste" – piszą w poradniku „Miłość i kasa" Katarzyna Bielecka i Dariusz Mrozek, znani w internecie jako Prawnicza Para.

Oto jedna z opisanych przez nich typowych pułapek. Przez ponad 20 lat wspólnoty łóżka i stołu pani Z. zbudowała z małżonkiem kawał pięknego życia: udane dzieci, dom przy lesie, grille. Gdy odkryła zdradę męża, przyszła do autorów z pytaniem, co zrobić, żeby wiarołomnego puścić w skarpetkach, a przynajmniej wymeldować. Zakładała, że są ku temu podstawy. W sprawie rozwodowej były szanse na orzeczenie o winie. Od prawników dowiedziała się, że wina lub jej brak może być podstawą do orzeczenia alimentów, ale nie ma nic wspólnego z podziałem majątku. Dom zbudowano na działce, która przed ślubem należała do męża; a dom w polskim prawie nie może istnieć w oderwaniu od ziemi. To, co przedślubne, nigdy nie staje się wspólne, więc to ona musi się wyprowadzić.

Podobne zasady dotyczą darowizn od teściów. Niby wszystko, czego ludzie dorabiają się w czasie małżeństwa, jest wspólne, ale akurat to, co darowała rodzina jednego z małżonków, pozostaje jego majątkiem odrębnym. A jeśli te pieniądze pójdą na budowę domu, nieruchomość będzie należeć do jednego z małżonków w większym stopniu niż do drugiego. Teściowie mogliby obdarować oboje małżonków, ale wówczas zięć czy synowa musieliby opłacić podatek – niemal jedną piątą sumy, która na nich przypada.

Mąż pani J. dostał kawalerkę po ciotce. Proponował ją wynająć, ale – po latach zaciskania pasa z powodu budowy domu, z wielkim kredytem na plecach – pani J. chciała już odsapnąć. To ona obstawała, żeby kawalerkę sprzedać, spłacić kredyt, a za resztę pojechać na wakacje. Tak zrobili. Po pięciu latach zdecydowali się na rozwód. Pani J. bardzo się zdziwiła, gdy się dowiedziała, że nie może pozostać w mieszkaniu należącym do eksmęża w większej części niż do niej. Ponieważ kredyt został spłacony z odziedziczonych pieniędzy, wzrósł udział byłego małżonka we wspólnej własności. Pani J. odmówiła wyprowadzki, eksmąż założył jej sprawę o nękanie, skończyło się zarzutami ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ karnymi, jeszcze bardziej zszarganymi nerwami i poczuciem krzywdy: porzucenie przez męża, zmarnowane lata i brak własnego adresu.

A gdyby państwo J. wynajęli odziedziczoną nieruchomość, a z dochodu spłacali kredyt, pieniądze byłyby wspólne, bo dochody osiągnięte w czasie formalnego związku należą po połowie do obojga. I zapewne to mąż wyprowadziłby się z ich mieszkania – do kawalerki po ciotce. Zdecydował niuans, którego mało kto jest świadomy. Polacy dowiadują się, na czym stoją, próbując podzielić majątek – i otwierają oczy ze zdziwienia.

Temida schodzi na psy

Ostatnie dwie dekady dopisały do tej listy problemów kilka ważnych akapitów. Pierwsze na liście są kredyty i sprawy frankowe. Już z samymi kredytami jest problem. Dom nie istnieje w oderwaniu od działki, ale pożyczka na dom, nawet spłacana przez dekady, może istnieć w oderwaniu od nieruchomości. Wspólny kredyt po rozstaniu obciąża solidarnie oboje kredytobiorców (wierzyciel może zwindykować dług z dowolnie wybranej osoby). Tymczasem nieruchomość, nawet jeśli była wspólna, w wyniku wyroku sądowego lub podziału majątku może zostać przyznana tylko jednej stronie – tej, która wniosła więcej, z obowiązkiem spłaty drugiej strony.

Sprawy frankowe jeszcze bardziej skomplikowały ten obrazek. Domu już nie ma, kredyt zostaje, bo banki nie godzą się na wykreślenie jednego z kredytobiorców. Z ich perspektywy pożyczka, którą można zwindykować z osoby dowolnie wybranej spośród tej dwójki, jest bezpieczniejsza. Żeby założyć bankowi sprawę o kredyt frankowy, potrzebne są podpisy obojga kredytobiorców, oboje też mają prawo do pieniędzy, które zwróciłby bank.

Pan Z. jest w konflikcie z byłą partnerką, która po rozstaniu nie rozliczyła się z nim. Mają wspólny kredyt, który spłacała tylko ona; co logiczne, bo do niej należała nieruchomość. A potem się okazało, że pani Z. chciałaby pozwać bank o te franki, bo wszyscy tak robią. Pan Z. nie złożył podpisu. To znaczy: postawił warunek, że podpisze, jeśli pani Z. odda mu połowę pieniędzy, które zaoszczędziłaby dzięki procesowi. Nie dogadali się. Pani Z. dalej spłaca kredyt, po astronomicznie wysokim kursie franka.

Sądy łamią sobie głowy, sięgając po obowiązujące przepisy. Małżeństwa i konkubinaty, nieruchomości i wieloletnie kredyty... Obchodząc, jak się da, ów paradoks, że choć dom nie może istnieć bez działki, to kredyt bez domu – owszem. Sąd Apelacyjny w Warszawie ciekawie rozwiązał ów paradoks w uzasadnieniu do jednego z wyroków z 2018 r. Uznał, że można zastosować tzw. konstrukcję nienależnego świadczenia i twórczo zinterpretować parę innych zapisów. Pozostająca w konkubinacie para zaciągnęła kredyt, by sfinansować budowę domu, którego właścicielem pozostawał mężczyzna. Raty spłacała ona. Po rozstaniu zażądała zwrotu całej wpłacanej do banku sumy. Sąd przyznał jej rację, bo nie zaciągnęłaby kredytu, gdyby nie była w konkubinacie.

Kolejny problem to zwierzęta. Polskie prawo wciąż traktuje psa czy kota jak fotel czy telewizor; kto zapłacił, ten jest właścicielem. Jednak w kolejnych europejskich krajach zwierzę to coraz częściej nie „rzecz", lecz „psiecko". W Hiszpanii zwierzęta ustawowo uznano za istoty czujące. Sąd w Madrycie przyznał prawo do opieki nad psem kobiecie, której przez 10 miesięcy nie dopuszczał do niego jej były partner. Sędziowie uznali, że priorytet ma dobro zwierzęcia, a mężczyznę ukarał grzywną. W Polsce sądy w takich sprawach sięgają zwykle po przepisy dotyczące własności, ale zdarzają się wyjątki. Sąd dla Warszawy Woli odmówił wydania psa kobiecie, która formalnie była jego właścicielką, bo to ona dokonała zapłaty – pieniędzmi byłego partnera. Uznano, że wyrwanie psa ze środowiska, w którym żył, nie byłoby dla niego korzystne.

Kwity i PIT-y

Na szczęście, będąc małżeństwem, można pójść do notariusza albo przedłożyć w sądzie wspólne uzgodnienia – i płacąc pewien procent od wartości majątku (albo 300 zł w sądzie za sprawę), podzielić majątek, jak się chce. I tak coraz częściej się dzieje. Liczba spraw o podział majątku w sądach spada, rośnie za to liczba umów o rozdzielności majątkowej (dwukrotny wzrost w ciągu dekady). Wyraźnie przybywa notarialnych podziałów majątku. Małżeństwom rozstającym się wolno to zrobić – niezależnie od tego, czy miały wspólność majątkową – i jest to stosunkowo proste. Czasem kosztem ubocznym pozostaje bycie formalnie dopisanym do cudzego już kredytu i ograniczona własna zdolność kredytowa. Ale i takie kwestie można wynegocjować.

Tego prawa pozbawieni są ludzie żyjący w związkach nieformalnych. Choć jest ich kilka milionów, prawo wciąż traktuje ich jak obcych. Darowizny powyżej 5,8 tys. zł rocznie podlegają opodatkowaniu według najwyższej stawki. Nawet gdyby chcieli podzielić dom, który wspólnie budowali.

Rozstanie w konkubinacie to nie tylko emocje związane z nagłą zmianą w życiu, z konfliktem, lecz również strach: co można powiedzieć w sądzie? Sąd Najwyższy zajął się sprawą po ludzku. Wydając wyrok dotyczący pary ze Szczecina, dostrzegł dwoje ludzi i ich dzieci. A jednocześnie pary żyjące w związkach nieformalnych przy rozstaniu często się dowiadują, że dla państwa są potencjalnymi przestępcami. Albo po prostu przestępcami. Każdy przelew pomiędzy kontami dwójki wspólnie zapełniającej lodówkę powinien zostać zgłoszony do urzędu skarbowego i opodatkowany.

Nawet wprowadzenie się do partnera bez ślubu czyni z człowieka przestępcę, jeśli np. dołożył się do czynszu. Przyjmujący pod swój dach, zgodnie z oficjalną interpretacją organów skarbowych, wzbogacił się, powinien złożyć odpowiedni formularz i odprowadzić podatek. Ludzie zwykle tego nie robią. Gdy jednak trzeba iść do sądu, powstaje pytanie, czy zeznania złożone pod przysięgą nie okażą się sznurem kręconym na własną szyję. A przecież sąd nie będzie nikogo powiadamiać o zeznaniach stron. Stara się tylko ustalić fakty, strach przed zeznaniami nie leży w jego interesie. Ale i w tej kwestii Polakom brakuje pewności i wiedzy.

Żyjącym bez ślubu Prawnicza Para radzi założyć wspólne konto, z którego finansować będą wspólne życie, wpłacając, ile kto może. To przecież wolno każdemu. Wówczas przynajmniej pytania urzędów skarbowych o podatki tracą rację bytu – wypłacać ze swojego konta można, ile się chce, nawet jeśli rachunek ma współwłaściciela. Tyle tylko, że takie podejście stoi w sprzeczności z radami, jakich udziela się konkubinatom w innym miejscu – zbierać wszelkie paragony, faktury itd. Dotychczas sąd zwykle dzielił majątek konkubentów właśnie na podstawie papierów. Może zmieni to ostatni wyrok SN? Może parlamentarzyści wreszcie uporają się z ustawą o związkach partnerskich, a prezydent ją podpisze? Ludzie nie przestaną się rozstawać, ale będzie trochę prościej. I legalniej.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 53e0f75d2b

© SHUTTERSTOCK

Eteryczne czy ekologiczne?

Choinka. Żywa, nawet z dostawą prosto pod drzwi. Albo sztuczna – ale jak żywa, bo wykonana z materiałów, które idealnie imitują prawdziwe igły i gałęzie. Od kilku sezonów najmodniejsze są i żywe, i sztuczne jodły kaukaskie.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Marcin Kłopociński, prezes Polskiego Stowarzyszenia Plantatorów Choinek, przeprasza, jeśli zgubi zasięg. Właśnie jest na swojej plantacji, choć już późny wieczór, godzina prawie 22.00. – *Mamy teraz najgorętszy czas* – mówi prezes, a pytany, czy na święta wybrać choinkę żywą, czy sztuczną, bez wahania odpowiada: – *Żywą!*

Tłumaczy, że przecież nikt nie daje w prezencie bukietu sztucznych kwiatów. Raz do roku można mieć w domu dużą żywą roślinę. A poza tym, decydując się na żywą choinkę, kupujemy drzewko z Polski albo z któregoś z krajów europejskich. Wybierając plastikową, wspieramy biznes chiński. No i jeszcze względy ekologiczne. Rosnąc, żywa choinka absorbuje dwutlenek węgla z powietrza. ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

Ile za ile choinki

Choinki sztuczne
Jodła 100% PE (polietylenu)
– ok. 550 zł (150 cm)
Świerk 100% PE
– ok. 550 zł (150 cm)
Jodła 100% PE
– ok. 1500 zł (220 cm)
Świerk 100% PE
– ok. 1240 zł (220 cm)
Świerk 100% PE
– ok. 450 zł (150 cm)
Jodła kaukaska ze światełkami
– ok. 1000 zł (213 cm)
Choinka bielona z szyszkami
– ok. 350 zł (183 cm)

Choinki żywe
Jodła kaukaska cięta
– ok. 65 zł (120–150 cm)
Jodła kaukaska cięta
– ok. 250 zł (161–180 cm)
Jodła kaukaska w donicy
– ok. 270 zł (161–180 cm)
Jodła kaukaska cięta
– ok. 270 zł (181–200 cm)
Jodła kaukaska w donicy
– ok. 300 zł (181–200 cm)
Jodła kaukaska cięta
– ok. 420 zł (301–320 cm)
Jodła kaukaska cięta
– ok. 5500 zł (800 cm)
Świerk pospolity cięty
– ok. 50 zł (160–200 cm)
Świerk serbski cięty
– ok. 170 zł (120–150 cm)
Świerk srebrny w donicy
– ok. 200 zł (100–120 cm)

▶ Z grubsza kalkulacja wygląda tak: jeżeli choinka waży 20 kg, to zaabsorbowała około 40 proc. z tej wagi, czyli około 8 kg dwutlenku węgla. Gdy na plantacji rośnie milion choinek, to są naprawdę potężne ilości zaabsorbowanego dwutlenku węgla.

– *I nawet jeżeli ta choinka zostanie później spalona, to i tak mamy bilans zero. Ale jeżeli będzie skompostowana lub w inny sposób poddana recyklingowi, to nie tylko mamy pochłonięty dwutlenek węgla, ale też wyprodukowany tlen* – prezes Kłopociński wie, co mówi, bo sam ma na plantacji ok. 550 tys. choinek, i dodaje, że Polska w choinkowym (żywym) biznesie jest piąta w Europie. Największym producentem są Niemcy, zaraz za nimi Duńczycy, potem Francuzi i Holendrzy. On sam producentem został ponad 20 lat temu. Wcześniej działał w branży... tworzyw sztucznych.

– *Spłacam dług naturze* – przyznaje. I dodaje, że do 1989 r. prywatny przedsiębiorca nie miał szans na stworzenie plantacji. Dobrze zorganizowana musi mieć do najmniej 30 ha powierzchni. I na tych 30 ha powinno być 3 ha choinek zasadzonych 10 lat temu, na kolejnych 3 ha – 9 lat temu, i tak kolejno – lat 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2 i 1. Dopiero po 8 latach, w 12-letnim cyklu, można zacząć ciąć pierwsze drzewka. Plantacje, które dobrze zarabiają, mają po 50, a nawet 100 ha.

– *Ja miałem gotówkę, mogłem kupić ziemię i zainwestować w choinki. Ale dla większości kolegów plantacje to dodatek do produkcji rolnej. Bo do choinek przez 8 lat trzeba dopłacać. Drzewko przecież wymaga czasu, by urosnąć* – opowiada Kłopociński, dodając, że w uprawie choinek znaczenie ma klimat; najlepiej umiarkowany, wilgotny, taki jak w Danii, gdzie z powodzeniem hoduje się jodłę kaukaską. Taki klimat jest też na polskim Wybrzeżu, gdzie plantację ma prezes.

W Polsce uprawia się trzy główne rodzaje choiny. Najbardziej tradycyjny gatunek to świerk pospolity. Jego plantacje są porozrzucane po całej Polsce, często niewielkie, po kilka hektarów. To najczęściej biznes towarzyszący innej działalności. Uprawiany jest też świerk kłujący, zwany popularnie świerkiem srebrnym. Ale przebojem od kilku lat jest jodła kaukaska.

– *Choinka wymaga pracy. Drzewka trzeba opryskiwać, nawozić, formować tak, by były równomierne, odstępy pomiędzy poszczególnymi piętrami nie mogą być zbyt duże, maksymalnie do 40 cm. Każdy tzw. okółek powinien mieć porównywalną liczbę gałązek. Najlepiej cztery, pięć. Choinkę formuje się w kształt stożka, igła powinna być gruba, mięsista, długa i ciemnozielona* – Marcin Kłopociński nie kryje, że uzyskanie cech dobrze prowadzonej choinki wymaga nie tylko czasu, ale też wiedzy, a przede wszystkim pracy.

Jak wyglądają praktyczne (i estetyczne) decyzje Polaków? Na wschodzie Polski dominuje świerk pospolity, bo ma tam odpowiedni klimat, który dla jodły kaukaskiej jest za ostry. Ale w zachodniej czy

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 53e0f75d2b

centralnej Polsce też nie brakuje tych, którzy pamiętają z dzieciństwa zapach świerkowej choinki ubieranej w Wigilię w bombki przechowywane w pawlaczu i łańcuchy klejone z kolorowej bibuły. Choć faktem jest, że upodobania konsumentów się zmieniają, i stąd moda na jodłę kaukaską. Gęstą, szeroką, taką jak z kartki świątecznej. Pojawił się jeszcze jeden trend, importowany z Zachodu – klient może sam na plantacji wybrać sobie drzewko, wyciąć, a w to miejsce plantator sadzi nowe.

Prezes Kłopociński pytany o import i eksport choinek przyznaje, że te najlepsze klasowo wędrują na Zachód, bo w Polsce nikt nie zapłaci za drzewko tyle, ile Niemiec. Do nas wędrują za to drzewka gorszej klasy, a więc tańsze.

– *Drzewka sprzedawane teraz przez duże markety były wcześniej cięte na rynek niemiecki, bo Niemcy swoje choinki ubierają w pierwszą niedzielę adwentu. Praktycznie trzy tygodnie przed Wigilią, w którą zazwyczaj drzewka ubierają Polacy* – tłumaczy Marcin Kłopociński.

Polietylen to opcja choinek wiecznych – tworzywo odporne na wodę, chemikalia i promieniowanie UV. Jak informują producenci i sprzedawcy, choinki z niego produkowane są bardziej miękkie i elastyczne niż choinki z PCW, co daje im bardziej naturalny wygląd. W dodatku materiał jest bezpieczny dla środowiska, ponieważ nie zawiera szkodliwych substancji chemicznych i nadaje się do recyklingu. No i co najważniejsze – te choinki wyglądają jak żywe dzięki dbałości o każdy detal podczas procesu produkcji, bo każda gałąź jest starannie zaprojektowana, aby oddać kształt i fakturę prawdziwych igieł sosnowych czy świerkowych.

Klienci do wyboru mają więc świerki, jodły kaukaskie, choinki na pniu, srebrne, z efektem śniegu na igłach, wysokie, średnie i niewielkie, takie w sam raz do kawalerki. A jak ktoś chce być oryginalny lub mieszka z kotami, może postawić na nowy model – choinkę zawieszoną na ścianie. Od razu z lampkami.

Sztuczne choinki królują od kilku tygodni w galeriach handlowych, biurach, urzędach, szkołach, na uczelniach. A zwolennicy choinki z polietylenu (ale też właściciele tych starszego typu z PCW) wyliczają jej zalety: nie gubi igieł, wystarczy po świętach rozebrać ją z bombek, złożyć, schować do worka, a za rok wyjąć z powrotem. I tak nieustannie co roku 23 grudnia, bez konieczności wybierania tej najładniejszej, żywej. Przeciwnicy od raz kontrują, że sztuczne drzewka, szczególnie te kupione „po taniości", a więc nieznanego producenta, mogą zawierać toksyczne związki takie jak ftalany lub metale ciężkie.

AI zaś podpowiada, że sztuczna choinka z PCW rozkłada się w środowisku przez ok. 400 lat. Tyle samo czasu ulega biodegradacji polietylen, który pod wpływem słońca, tlenu i tarcia rozpada się na mniejsze cząsteczki, tworząc mikroplastik i później nanoplastik. W naturze nie ma organizmów zdolnych do jego pełnego rozkładu, choć naukowcy prowadzą badania nad wykorzystaniem mikroorganizmów do przerabiania go na ich pożywienie. Na razie jednak badania te nie wychodzą poza laboratoria. A specjaliści alarmują: mikroplastik jest wszędzie. W organizmach ludzi także, kumulując się w mózgu, wątrobie czy nerkach, wpływając na rozwój stanów zapalnych, chorób nowotworowych czy miażdżycy i insulinooporności.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Poznaniu przygotowała dla niezdecydowanych specjalny poradnik z obrazkami. Można się więc nie tylko dowiedzieć, że pierwowzorem bożonarodzeniowego drzewka w tradycji ludowej były gałązki świerkowe lub jodłowe, którymi dekorowano izby. Zieleń była symbolem odnowy, zwycięstwa odradzającego się życia i zapowiedzią obfitych plonów. Gałązki zaczęły z czasem ustępować miejsca podłaźniczce, czyli wierzchołkowi świerka lub jodły przywieszanemu czubkiem do dołu pod stropem najważniejszej izby chaty. Podłaźniczkę zdobiono orzechami, jabłkami, słomianymi zabawkami, barwionymi opłatkami. Słowem, czysta ekologia, która na polskiej wsi była obecna do lat 20. ubiegłego stulecia. Stopniowo wypierała ją choinka, która do Polski przywędrowała z Alzacji na przełomie XVIII i XIX w., najpierw opanowując zabór pruski, czyli Wielkopolskę.

Ale w poradniku znacznie ważniejszy od tych historyczno-etnograficznych informacji jest prosty przekaz: choinka naturalna wydziela olejki eteryczne, tę w doniczce można przesadzić do ogrodu, przede wszystkim jednak ulega procesowi naturalnego rozkładu. Sztuczna produkowana jest z ropy naftowej i związków chemicznych, efektem ubocznym tej produkcji jest zanieczyszczenie wody i powietrza, nie pachnie i podnosi koszty utylizacji.

Leśnicy podpowiadają też, jakie drzewko kupić. Jeśli wybierzemy takie w doniczce, pamiętajmy, że świerk pospolity jest wrażliwy na wahania temperatur i brak wilgoci. Wtedy szybko traci igły. Odporniejszy jest świerk serbski (srebrny), a oba świerki biją na głowę daglezja zielona i jodła kaukaska. Drzewko w donicy trzeba przyzwyczajać do zmiany środowiska, aklimatyzując w chłodniejszym pomieszczeniu, np. w wiatrołapie lub piwnicy. I co ważne, najlepiej gdy choinka, którą kupujemy z myślą o przesadzeniu do ogrodu, jest od początku hodowana w donicy. Drzewko cięte powinno się trzymać w odpowiednio dużym i stabilnym pojemniku z wodą – będzie dłużej żywotne.

Prof. Przemysław Bąbelewski, dendrolog i właściciel szkółki, zaleca żywą choinkę. – *Ale tylko pięcio–sześcioletnią. Starsza ma zbyt dużą bryłę korzeniową. Jeśli drzewko ma 130 cm wysokości, obwód 16 cm, to bryła korzeniowa powinna mieć przynajmniej 60 cm średnicy. To jest straszny ciężar i takiego drzewka nie jesteśmy w stanie wnieść do mieszkania czy domu.* Prof. Bąbelewski uczula, że niestety, można trafić na nieuczciwych sprzedawców, którzy wykopują drzewo przed świętami, choć powinno się to zrobić znacznie wcześniej, najlepiej pod koniec sierpnia do połowy września. Wtedy należy drzewka przesadzić wraz z odpowiednią bryłą korzeniową do donicy, by miało kilka miesięcy do świąt na tzw. przekorzenienie. Wtedy po świętach będzie można przesadzić je do ogrodu.

Prof. Wojciech Pusz, specjalista z zakresu mykologii i gospodarki leśnej, przypomina, że nie tylko plantatorzy, ale też nadleśnictwa prowadzą hodowlę i sprzedaż drzewek, które uprawiane są w miejscach, gdzie nie może być prowadzona zwykła gospodarka leśna, a więc m.in. pod liniami energetycznymi czy na obszarach zdegradowanych przez przemysł. Choinki sadzi się tam, by zrekultywować teren, który inaczej leżałby odłogiem. Pusz pytany o to, jakie drzewko stawia w domu w święta, odpowiada: – *Ścięte. Takie w doniczce nie pachnie. Tylko ścięte wydziela olejki eteryczne. W domu pachnie lasem, zimą, a tak przecież nam wszystkim kojarzą się święta.*

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 53e0f75d2b

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Zapomniałem, co chciałem

Zamiast o zgubionej walizce coraz więcej młodych ludzi zapomina, po co włączyli komputer. Czy to wczesna demencja, czy życiowe przeciążenie?

PAWEŁ WALEWSKI

Iwona Paszenda, 47-letnia matka dwójki dzieci, umówiła się na teleporadę z psychiatrą, u którego leczy się z powodu bezsenności. W mieszkaniu z małym metrażem, w którym – jak żartuje – pozostali domownicy, czyli mąż, nastoletni syn i córka, zachowują się, jakby mieli ADHD, jedyną oazę spokoju znalazła w łazience. Rozmowa toczyła się gładko: przedłużenie recepty na leki, rutynowe pytania o skutki uboczne, aż lekarz rzucił: „Czy w czymś jeszcze potrzebowałaby pani pomocy?".

Iwona zamarła. „Tak, tak, panie doktorze, jest coś takiego" – powtarzała, grzebiąc w pamięci. – *Wiedziałam, że muszę o coś arcyważnego zapytać, ale nie umiałam sobie tego przypomnieć* – wyznaje. Odłożyła słuchawkę i dopiero po pewnym czasie doznała olśnienia: przecież miała zapytać o swoją coraz gorszą pamięć! To nie był incydent, lecz symptom czegoś głębszego, co Iwona odczuwa od lat i co nasiliło się po narodzinach dzieci – syna 15 lat temu, córki 11. Już w wieku 27 lat po zarwanej nocy następnego dnia nie pamiętała, co ma zrobić; dziś myśli trzytorowo: rozmowa tu i teraz, odbiór dziecka z zajęć, plan na resztę dnia. Na zakupy chodzi z kartką, ale zapomina na nią zerknąć, a w pandemii złapała się na otwieraniu Google bez celu. Wyjazd grupowy do Stanów Zjednoczonych zamienił ją w niewolnika WhatsAppa – sprawdzała grupę non stop, choć kiedyś sama karciła innych za telefony. – *To przeszkadza w życiu* – mówi – *bo wszystko cierpi: praca, relacje, nawet żarty, które kiedyś łapałam w locie.*

Te drobne luki nie są dramatyczne, ale się kumulują: zapomina o ważnych wydarzeniach sprzed lat; wystąpienia publiczne ratuje tylko kartka z punktami, bo inaczej rozproszenie bierze górę. Iwona łączy to z macierzyństwem i przebodźcowaniem, ale w głębi duszy boi się, że to przedsionek czegoś gorszego – otępienia, które czai się za rogiem czterdziestki.

Wszystko rozprasza

Dr Anna Barczak, neuropsycholog od lat zajmująca się diagnostyką chorób neurozwyrodnieniowych, słyszy takie historie codziennie i uśmiecha się pod nosem: pacjenci mylą zaburzenia

eprasa.pl 53e0f75d2b

pamięci prospektywnej z wczesnym alzheimerem, choć to dwa różne światy. – *Pamięć prospektywna to nie jest pamięć w ogóle* – wyjaśnia. – *To egzekucja planu, który zaplanowaliśmy, ale który rozproszenie wytarło z głowy jak gumką.*

Do jej gabinetu trafia wiele osób w wieku 40–50 lat przekonanych, że zapominanie, po co włączyły komputer lub gdzie mają zadzwonić, to wczesne otępienie. Po godzinie rozmowy wychodzą z ulgą: to zaburzenia koncentracji uwagi, powszechnie mylone z pamięcią. Jak w przypadku Iwony, u której plan rozmowy z lekarzem nie doczekał się wykonania. To norma w świecie przebodźcowania – tłumaczy swoim pacjentom. A nie wada pamięci, bo nic się nie wydarzyło, by pamiętać.

Tylko że podobnych skarg jest coraz więcej: „Nie wiem, po co wszedłem do kuchni, po co włączyłem komputer, o co miałem zapytać". Przypadłość kiedyś zarezerwowana dla ludzi częściej żyjących w biegu, a dziś wszystkich, nawet seniorów, którzy nie potrafią się odnaleźć w rzeczywistości, otumanieni jaskrawymi reklamami i natłokiem informacji zewsząd. – *Pokolenie 40- i 50-latków pamięta świat bez smartfonów i powiadomień* – zauważa dr Barczak. – *Kiedyś, jak ktoś dzwonił, to naprawdę był powód. Dziś wszystko jest ważne: promocje, alerty, wiadomości, maile. Nasz mózg nie ma już hierarchii, co jest istotne, a co nie. Wszystko krzyczy, więc wszystko rozprasza.*

Przykład, który podaje, brzmi jak metafora współczesności: – *Wchodzę do sklepu, nie pamiętam, po co przyszłam. Bo mój mózg, zamiast zająć się listą zakupów, ocenia zagrożenia. Promocja z lewej, obniżka z prawej – nowe środowisko, nowe bodźce.*

Dla mózgu to jak dżungla. On włącza alarm, bo wszystko wygląda jak niebezpieczeństwo. W efekcie zapominamy, po co przyszliśmy. Dr Barczak tłumaczy, że mózg nie jest ewolucyjnie przygotowany do takiej ilości bodźców, jakiej dostarcza współczesne miasto, internet czy media. 30 lat temu nasze miasta były szare i cichsze niż współczesne przesycone reklamami. A nasz mózg nadal działa jak ten sprzed tysięcy lat – przede wszystkim ocenia, czy środowisko jest bezpieczne, nie analizuje kuponów promocyjnych. Emocje zawsze wygrają z poznaniem. To biologia.

Lazania topi się dwa razy

Zupełnie inne bodźce wpływają na kłopoty z pamięcią u Ewy, matki trzyletniego chłopca. – *Nie jestem przemęczona technologią, lecz macierzyństwem* – oznajmia. Jej synek był od urodzenia tzw. *high need baby* – dzieckiem bardzo wymagającym, a w dodatku wysoko wrażliwym. Nie płakał, tylko krzyczał, zasypiał wyłącznie na rękach. – *Dla mojego układu nerwowego to było jak życie w przemocowym domu. Cały czas w napięciu, w permanentnym alercie* – opowiada Ewa.

W pewnym momencie zauważyła, że jej pamięć zaczęła się rozsypywać. Kiedy pewnego dnia opiekę nad dzieckiem przejęła babcia, mogła sama wejść do kuchni, by odgrzać w mikrofalówce lazanię: – *Przykryłam ją plastikowym kloszem i... włączyłam funkcję zapiekania. Plastik się stopił, wszystko do wyrzucenia. Zrobiłam drugą – i po 10 sekundach zorientowałam się, że znowu popełniłam ten sam błąd. Zapomniałam, jak się podgrzewa obiad! To był moment, kiedy pomyślałam: coś ze mną nie tak.*

Nie była w stanie się skupić, czytać, oglądać filmów. – *Czułam się wtedy jak pusta skorupa, miałam odruchy bez myśli, byłam nigdzie* – mówi Ewa. Psycholodzy nazywają to przeciążeniem poznawczym. Dr Barczak wyjaśnia: – *Jeżeli emocje przejmują* ▶

REKLAMA

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Prenumeruj uniwersalnie
w druku i cyfrze

Kupuj aktualne numery
naszych publikacji

EPUB

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ *nasze zasoby, nie zostaje już energii na poznanie. Lęk, stres, hałas – wszystko to pożera glukozę i tlen, które miały zasilać płaty czołowe, czyli te odpowiedzialne za planowanie i organizację. I wtedy wszystko zaczyna się sypać. To również nie jest otępienie, tylko praca mózgu w trybie awaryjnym.*

Dziś, gdy syn Ewy zaczął chodzić do przedszkola, widzi już jaskółki nadziei: trzy–cztery godziny ciszy w domu odmładzają ją jak spa. Ale życie skoncentrowane na wysoko wrażliwym dziecku zrobiło swoje: zapomina imion bliskich znajomych, tytułów ulubionych piosenek, dowcipów. Mieszkanie ma oklejone karteczkami. Ale rzecz ciekawa, tak jak u pani Iwony – jeśli coś dotyczy ich dzieci i jest priorytetem przetrwania, ta ich słaba pamięć działa bez zarzutu! Za to inne rzeczy schodzą na dalszy plan i o tych często się nie pamięta. Ma to również uzasadnienie w biologii, bo przeciążony mózg stosuje prostą strategię obronną: tnie koszty na wszystkim, co nie jest najważniejszym zadaniem. To nasza uwaga, czyli zasoby poznawcze, są wyczerpane, a nie struktury pamięci.

Kasyno w kieszeni

Wyzwanie, z którym mierzy się to pokolenie, to życie w świecie permanentnego wyboru i braku skupienia. Dr Rafał Albiński, psycholog z Uniwersytetu SWPS, mówi, że świat, w którym żyjemy, systematycznie nas rozprasza: – *Facebook, Instagram, TikTok są budowane jak kasyna. Scrollowanie to jak pociągnięcie dźwigni jednorękiego bandyty. Dostajemy mikrodawkę dopaminy i chcemy więcej. To uzależnia. A najsmutniejsze, że zaczęliśmy w telefonach instalować osobne aplikacje, które blokują inne, żebyśmy mieli chwilę spokoju.*

Ewa sama to zauważa: – *Kiedyś zwracałam innym uwagę, żeby odłożyli telefon. Teraz też kocham scrollować. Może co piąty filmik mnie zachwyci, ale mózg czeka na więcej. Widzę po znajomych, że jak coś trwa 30 sekund, to już za długo. Sama mam tak samo. Jeśli strona internetowa nie otwiera się od razu, przeskakuję na inną. Nie wytrzymuję 20 sekund. Co z tego, że weszłam w świat cyfrowy już jako dorosła?*

Dr Albiński dodaje, że to nie tylko kwestia rozproszenia – mózg odzwyczaja się od wysiłku. – *To nie jest apokalipsa, ale zmiana jakościowa – zamiast skupienia mamy szybkie przełączanie uwagi. To jak ćwiczenie sprintów zamiast maratonów, tylko że w życiu większość zadań to właśnie maratony* – podsumowuje. I ostrzega przed pułapką sztucznej inteligencji, która choć ekonomiczna, ograbia nas z treningu. Otrzymujemy podsumowanie artykułu, ale tracimy okazję do podjęcia intelektualnego wysiłku, kombinowania – i w efekcie nie ćwiczymy samego rozumowania, analizy danych, wyciągania wniosków. Krótkie treści, z których składa się cyfrowy świat, taki jak TikTok lub Instagram, nie służą skupieniu uwagi na dłuższą metę.

Już w 2012 r. badania wykazały, że kiedy ludzie wiedzą, że informacja zostanie zapisana na komputerze, są mniej skłonni do jej zapamiętania – lepiej pamiętają za to, gdzie jest przechowywana. To zjawisko, znane jako amnezja cyfrowa (technologiczna czy też tzw. efekt Google), jest po prostu kolejnym etapem tzw. pamięci transaktywnej – od dawna przechowujemy ją poza naszymi ciałami, tyle że kiedyś były to półki z książkami lub notesy, a dziś małe podświetlane ekrany.

Psychologowie wskazują, że im więcej decyzji podejmujemy w ciągu dnia, tym szybciej kurczą się nasze zasoby poznawcze. Każda notyfikacja, każda pilna wiadomość, każda prozaiczna decyzja o wyborze detergentu w supermarkecie (ile ich tam jest?) – to wszystko kosztuje i wyczerpuje energetycznie. W rezultacie brakuje nam mentalnej mocy, aby wcisnąć guzik start dla ważnej intencji w odpowiednim momencie. W tej wiecznej gonitwie, gdzie wszystko musi być ekonomiczne i szybkie, tracimy nie tylko umiejętność pamiętania, ale i cenny trening poznawczy. Bez telefonu stajemy się bezsilni.

Cisza leczy

Niepokój ludzi takich jak Iwona i Ewa bierze się stąd, że zapominanie kojarzy się z chorobą. I to potworną: otępieniem o wczesnym początku. Nie jest takich przypadków mało, bo z chorobą Alzheimera (najczęstszym typem demencji) może żyć w Polsce nawet kilkadziesiąt tysięcy osób poniżej 65 lat. – *Najmłodszy mój pacjent miał 24 lata* – mówi dr Anna Barczak. Nie miał jeszcze rozwiniętych objawów, ale w płynie mózgowo-rdzeniowym były już widoczne zmiany na tym tle i na wczesny rozwój choroby wskazywały badania genetyczne – jego ojciec oraz starszy brat byli już mocno otępiali. To coś zupełnie innego niż „zapomniałem, co mam do zrobienia". Otóż chory z demencją doskonale wie, co ma do zrobienia – on to zrobił nawet siedem razy, tylko kompletnie nie pamięta, że to się wydarzyło.

Młodzi pacjenci, którzy trafiają do specjalistów przerażeni tą wizją i wychodzą od nich uspokojeni diagnozą, że jedynie ich koncentracja jest w rozsypce, to w sumie szczęśliwcy. Znacznie gorzej mają się ci z faktycznym ryzykiem choroby Alzheimera, bo nasza ochrona zdrowia wciąż zawęża to rozpoznanie do ludzi starszych, a zaburzenia pamięci u młodszych po prostu bagatelizuje. Dlatego opóźnienie w diagnozie wynosi w naszym kraju aż cztery lata. – *Lekarze rodzinni, ale też wielu neurologów sądzi, że pacjenci z chorobą Alzheimera muszą przypominać jego pierwszą pacjentkę, czyli Augustę Deter* – mówi dr Barczak. Co ciekawe, gdy w 1901 r. zgłosiła się do doktora Alzheimera – osowiała, z zastygłą mimiką – miała 51 lat i wcale nie była przedstawicielką typowych chorych (zresztą dlatego się nią zainteresował). Dlatego otępienie, które czasem trzeba rozpoznać u młodych osób, nie jest na tym etapie, który miała Augusta – ale nie można z góry zakładać, że 30- czy 40-latek jest na tę chorobę za młody. Zamiast szukać wtedy oznak ekstremalnie rzadkich chorób, wystarczy w płynie mózgowo-rdzeniowym poszukać właściwych biomarkerów.

Z drugiej strony panika zapominalskich, wywołana przez cyfrowy szum i życiowe przeciążenie, jest na szczęście fałszywym alarmem i usterką, nad którą można zapanować. Eksperci zachęcają, by zastanowić się, dlaczego nam się to zdarza i w jakich sytuacjach. Zalecają techniki, które z pozoru brzmią banalnie, ale mogą przywrócić utraconą koncentrację: zwolnić, skupić się na tym, co robimy, pisać ręcznie zadania do wykonania jak ściągi w szkole. Iwona Paszenda śmieje się, że od kiedy pisze kartki z listą zakupów w kolejności regałów sklepowych, przestała krążyć po markecie jak satelita bez trajektorii. Co prawda dr Barczak twierdzi, że to nie jest żadne ćwiczenie pamięci, tylko dobry pomysł na oszczędność czasu. No i nawet jak przez roztargnienie taką kartkę zostawimy w domu, to dzięki temu, że byliśmy skoncentrowani na jej napisaniu, będzie łatwiej odtworzyć ją z pamięci.

Ewa mówi, że najskuteczniejsze lekarstwo na jej zapominanie to cisza. Świat nie zwolni, ale może my powinniśmy.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 53e0f75d2b

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 53e0f75d2b

Jedna z wielu niedokończonych inwestycji HREIT. Tutaj: w Łodzi, przy ul. Tuwima.

Dramatu tysięcy ludzi oszukanych przez dewelopera HREIT można było uniknąć, gdyby instytucje państwowe połączyły kropki, które od dawna widziały. Nie potrafiły czy nie chciały?

Ludzie na lodzie

MARCIN PIĄTEK

O tej porze roku Izabela Dudziak miała już odliczać dni dzielące ją i nastoletnią córkę od wprowadzenia się do wymarzonego mieszkania, dwa pokoje z kuchnią, na przedmieściach Wrocławia. Deweloper HREIT obiecywał przekazanie kluczy do końca listopada tego roku. Na razie Izabela Dudziak zaprasza niebawem na lodowisko. Budowa stanęła kilkanaście miesięcy temu na etapie dziury w ziemi zalanej betonem, nieckę wypełniła woda, pierwsze mrozy zrobią swoje.

Izabela Dudziak jest na lodzie dosłownie i w przenośni. Mieszkania nie ma, perspektywy jego powstania są marne, a licznik kosztów już bije. – *Mieszkanie wraz z miejscem postojowym i komórką lokatorską kosztowało prawie 460 tys. zł. Na całość wzięłam kredyt w banku PKO BP, skorzystałam też z rządowego programu „Mieszkanie bez wkładu własnego", dostałam 60 tys. Od grudnia spłacam więc raty, niemal 1,4 tys. zł miesięcznie. I cztery tysiące płacę za wynajem. Masakra* – mówi.

Kredytobiorcy na razie spłacają wyłącznie odsetki. Część kapitałowa, realnie obniżająca zadłużenie, zostanie uwzględniona w comiesięcznej spłacie dopiero po przekazaniu aktów własności lokalu. Na co się nie zanosi.

Funduszu nie dotyczy

Inwestycje HREIT w całej Polsce utknęły na etapie płyty fundamentowej, dziury w ziemi albo pustych działek. Bywa, że obciążonych roszczeniami w księgach wieczystych idących łącznie w setki

© CEZARY PECOLD/FORUM

eprasa.pl 53e0f75d2b

milionów złotych. Założyciel HRE Investments (spółki matki dewelopera HREIT) Michał Sapota spędził w areszcie ponad dwa miesiące. Prokuratura Okręgowa w Łodzi zarzuca mu oszustwo wielkich rozmiarów, a decyzja, czy firma może przejść restrukturyzację, czy zostanie postawiona w stan upadłości, wciąż nie zapadła.

Na razie prokuratura doliczyła się 682 pokrzywdzonych nabywców mieszkań HREIT, suma poniesionych przez nich strat to 142 mln zł. Cały czas zgłaszają się kolejni. – *Za szczęściarzy uchodzą ci, którzy pierwsze dwie transze dla dewelopera pokryli z własnych oszczędności. Nie wrzucają w próżnię odsetek w związku z kredytem na mieszkanie, którego nie mają. Ale wiele osób musiało się zapożyczyć w bankach, HREIT uchodził za biedadewelopera, który jest dla ludzi kupujących swoje pierwsze mieszkanie* – mówi Aneta, która kupiła lokal w Opolu.

Gdy nabywcy mieszkań zorientowali się, że postępów na budowie brak, a harmonogram pozostaje na papierze, w pierwszym odruchu pomyśleli: na szczęście dzięki nowelizacji tzw. ustawy deweloperskiej działa fundusz gwarancyjny, więc nawet jeśli HREIT upadnie albo umowy zostaną rozwiązane, wpłaty uda się odzyskać. – *Ale okazało się, że nie mamy na co liczyć. Deweloperom udało się bowiem wywalczyć dwuletni okres przejściowy wejścia w życie nowej ustawy. I nawet jeśli inwestycja faktycznie ruszyła w 2023 r., jak ta nasza wrocławska, to w przypadku, gdy choć jedna umowa sprzedaży mieszkania została zawarta przed 1 lipca 2022, fundusz gwarancyjny nie ma zastosowania* – mówi Izabela Dudziak.

W inwestycjach HREIT taka praktyka była nagminna. Umowy kupna mieszkań datowane przed lipcem 2022 r. zawierały też bliskie współpracowniczki prezesa Sapoty. Łódzka Prokuratura Okręgowa na razie odnotowała ponad sto takich przypadków.

UOKiK bada język

Kilkunastu nabywców mieszkań HREIT, z którymi rozmawiała POLITYKA, podpisało akty notarialne między pierwszym kwartałem 2023 r. a połową 2024 r. Tymczasem pierwsza informacja o tym, że realizacje inwestycji HREIT (w Rumi i Pruszczu Gdańskim) są zagrożone, wpłynęły do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów odpowiednio w maju i w grudniu 2021 r. Z odpowiedzi udzielonej przez UOKiK wynika, że urzędnicy doszli do wniosku, iż ochrona nabywców lokali „jest normowana w sposób sektorowy", a w razie stwierdzenia nieprawidłowości reakcja należy do „konsumentów, banków prowadzących rachunki powiernicze lub do organów ścigania".

Wyjaśnienia w UOKiK złożył m.in. Michał Cebula, wspólnik Sapoty w HRE Investments. – *To był maj 2023 r. UOKiK może żądać wydania dokumentów, sprawdzać przepływy finansowe i księgi wieczyste, więc byłem przekonany, że lada moment urząd złoży zawiadomienie do prokuratury i wyda komunikat o podejrzeniu oszustwa. A ludzi uda się ostrzec.*

Tymczasem UOKiK skupił się w swoim postępowaniu na jednym wątku, czyli eksponowaniu przez HRE tzw. języka korzyści w ofercie skierowanej do potencjalnych inwestorów. Firma finansowała bowiem budowy dzięki atrakcyjnie oprocentowanym pożyczkom od osób fizycznych (zebrała niemal 1,5 mld zł; prokuratura póki co podsumowała straty pokrzywdzonych inwestorów na 200 mln zł, ale będą na pewno dużo wyższe). Badanie tego, czy HRE wprowadza konsumentów w błąd co do bezpieczeństwa inwestycji i gwarancji zwrotu kapitału, zajęło UOKiK ponad półtora roku i w grudniu 2023 r. ostatecznie nałożono na firmę karę 12 mln zł. Cebulę ukarano grzywną 450 tys., a Sapotę 950 tys.

Uzyskane w toku postępowania materiały obrazujące stan rzeczy w HRE musiały jednak zapalić czerwone lampki w powołanym do ochrony konsumentów urzędzie. Zaczął alarmować jedną instytucję po drugiej. Treść zawiadomień to wyjące na całego syreny ostrzegawcze. Inspektorat finansowy w czerwcu 2022 r. został powiadomiony o podejrzeniach ukrywania rzeczywistej sytuacji finansowej grupy kapitałowej HRE, wyprowadzania kapitału w sposób niezgodny z prawem i interesem inwestorów oraz stworzenia przez spółkę warunków do prania pieniędzy.

W piśmie do Komisji Nadzoru Finansowego, też z czerwca 2022 r., jest mowa o tym, że przyjęty model funkcjonowania grupy kapitałowej HRE (mnożące się przez pączkowanie spółki, skomplikowana struktura i powiązania w ramach grupy) sprawia, iż trudno przejrzeć jej działalność, co rodzi zwiększone ryzyko dla systemu bankowego i finansowego. Administracja skarbowa w kwietniu 2023 r. została poinformowana o możliwych naruszeniach przez grupę HRE przepisów podatkowych i uchylaniu się od opodatkowania. Pismo wysłano nawet do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, też w czerwcu 2022 r. Jest tajne.

Prokuratura jest obłożona

Pisma z wnioskami, które powinny postawić urzędników na równe nogi, wpłynęły. I koniec. HRE w dalszym ciągu prowadził działalność, jego pracownicy pozyskiwali inwestorów i sprzedawali mieszkania. Nie przeszkadzało w tym nawet śledztwo – w związku z podejrzeniem popełnienia przez Michała Sapotę oszustwa na wielką skalę – prowadzone przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie. Już od maja 2023 r.

Zawiadomienie wpłynęło dwa miesiące wcześniej. Złożył je wspólnik Sapoty Michał Cebula. Składał zeznania przez dwa dni, dołączył obszerną dokumentację. Śledczy ustalili, że prezes Sapota dopuścił się niekorzystnego rozporządzenia mieniem o wartości co najmniej 300 mln zł. I to tylko na szkodę inwestorów kupujących udziały w spółkach celowych HREIT ufnych, że mają zabezpieczenie na gruntach przeznaczonych pod budowy, podczas gdy w rzeczywistości zostały one zbyte lub przekazane na rzecz innych podmiotów. Michał Cebula: – *Złożyłem na policji i w prokuraturze kilkanaście wizyt.*

Jednocześnie o wykrytych nieprawidłowościach, nadając im moc materiału zweryfikowanego przez instytucję państwową, UOKiK powiadomił warszawskich śledczych. W lutym 2024 r. prezes urzędu złożył w prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przez Michała Sapotę kilku przestępstw: niekorzystnego rozporządzenia mieniem, wyrządzenia spółkom celowym znacznej szkody majątkowej, niepoddania sprawozdania finansowego HREIT za 2022 r. badaniu biegłego rewidenta oraz niezłożenia przez HRE sprawozdań finansowych za lata 2021–22. Co generalnie rzecz biorąc, sprowadzało się do konkluzji, że Sapota dopuścił się oszustwa.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie nie nagłośniła tematu, nie wydała żadnego oświadczenia, które mogło ustrzec poszukujących mieszkań przed skorzystaniem z oferty HREIT. Śledztwo nabrało przyspieszenia dopiero po przekazaniu sprawy do Prokuratury Okręgowej w Łodzi w marcu tego roku. Do jej prowadzenia powołano osobny zespół, pół roku później prezes Sapota został tymczasowo aresztowany. Piotr Skiba, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie, w mailu do POLITYKI poinformował, że do sprawy został przydzielony jeden prokurator, ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ następnie otrzymał do pomocy referenta. A poza tym, jak zaznaczył rzecznik warszawskiej prokuratury, jest ona najbardziej obciążoną jednostką okręgową w Polsce.

Założyciel HRE Investments (spółki matki dewelopera HREIT) Michał Sapota spędził w areszcie ponad dwa miesiące

KNF nie ostrzega

Kredytów hipotecznych na zakup nieruchomości oferowanych przez HREIT udzieliły m.in. państwowe banki. Nabywcy tych mieszkań niekiedy korzystali też z rządowego programu, uruchomionego w czasach rządów PiS „Mieszkanie bez wkładu własnego". Jego operatorem jest Bank Gospodarstwa Krajowego. Gwarantuje on spłatę części kredytu, maksymalnie do wysokości 20 proc. pożyczonej kwoty. Chodziło o to, by umożliwić zakup wymarzonego mieszkania tym, którzy nie mają oszczędności na wkład własny. Teraz nabywcy mieszkań HREIT żałują, że skorzystali z oferty. – *Program miał nam pomóc, a paradoksalnie nas pogrążył. Umożliwił wzięcie w banku komercyjnym kredytu, który jest dla nas pętlą na szyję* – mówi Izabela Dudziak.

Tatiana Kuwak-Frentzel z biura prasowego BGK informuje, że bank nie bada kondycji finansowej dewelopera, którego klienci wspomagają się preferencyjnym rządowym programem. I radzi pytać o szczegóły banki udzielające kredytów. Te przydzielano w najlepsze, gdy instytucje państwowe wiedziały już, że Michał Sapota może dopuszczać się oszustw na ogromną skalę.

Banki mogła o tym przestrzec nadzorująca je Komisja Nadzoru Finansowego. Wszak pismo od UOKiK, w którym jest mowa o tym, że *modus operandi* grupy HRE „rodzi zwiększone ryzyko dla systemu bankowego i finansowego", otrzymała już w czerwcu 2022 r. Jacek Barszczewski, rzecznik KNF, nie odpowiedział wprost na pytania, kiedy konkretnie instytucja otrzymała sygnały o nieprawidłowościach w grupie HRE i co z nimi zrobiła. Zamiast tego pouczył, że kredytów dla osób fizycznych nie należy utożsamiać z kredytami dla deweloperów, a jeśli chodzi o grupę HRE, to jej działalność z jednej strony „podlegała szczegółowej weryfikacji KNF", a z drugiej działalność deweloperska tych spółek „nie jest i nie była objęta nadzorem KNF".

Banki chcą zarabiać

Banki z pewnością są zadowolone. Udzieliły kredytów, zarabiają na spłacanych przez niedoszłych właścicieli mieszkań HREIT ratach, a brak aktów własności mieszkań oznacza, że na razie kredytobiorcy spłacają tylko odsetki. Dzięki temu banki więcej zarobią. A to nie ich zmartwienie, że ludzie nie mają mieszkań.

Paweł, który wraz z żoną kupił mieszkanie we wrocławskich Bieńkowicach: – *W marcu mija wyznaczony przez bank termin ustanowienia zabezpieczenia na nieruchomości. Ale nie ma na czym, bo zamiast mieszkania jest dziura w ziemi. Jeśli zabezpieczenia nie będzie, bank ma prawo wypowiedzieć nam kredyt. Co wtedy? Musimy oddać bankowi to, co poszło już do dewelopera, w naszym przypadku to ok. 200 tys. zł. A jeśli bank łaskawie zgodzi się prolongować ustanowienie zabezpieczenia, zgodnie z umową musimy mu zapłacić jednorazowo ok. 10 tys. zł odsetek od transz, które nie zostały uruchomione. Płakać się chce.*

Ewentualne wypowiedzenie umów obciąży również BGK. Ciąży na nim wówczas obowiązek spłaty środków, które zagwarantował w ramach programu „Mieszkanie bez wkładu własnego". Budżet państwa, będący w marnej kondycji, będzie musiał do tego deweloperskiego niewypału dołożyć.

Nabywcy mieszkań HREIT, którzy zaciągnęli kredyty, są na skraju załamania nerwowego. Widząc oczyma wyobraźni wymarzone M, przełykali gorzką pigułkę spłaty rat odsetkowych przez jakiś czas. Ale w obecnej sytuacji, przy braku jakichkolwiek widoków na to, że otrzymają klucze do mieszkań, zadają sobie pytanie: dlaczego deweloper otrzymał aż 40 proc. wartości każdego z mieszkań (co przekłada się na wysokość raty), skoro budowa stanęła na etapie dziury w ziemi? – *To faktycznie sporo, ale warto zaznaczyć, że zakup działki waży w koszcie całej inwestycji najwięcej. Z mojej wiedzy wynika, że finalizacja etapu robót ziemnych wiąże się z przelaniem deweloperowi maksymalnie 34 proc. kosztu nieruchomości. Mniej niż wynikało z harmonogramu przedstawianego klientom przez HREIT, ale nie jakoś drastycznie* – mówi osoba dobrze zorientowana w szczegółach umów deweloperskich.

Klienci HREIT godzili się na takie warunki, wyrażone czarno na białym w dołączanych do aktów notarialnych harmonogramach. Deweloper budujący w Warszawie: – *Po nowelizacji prawa w połowie 2024 r. doprecyzowano kwestię weryfikacji przez banki tego, czy wysokość transz przekazywanych deweloperowi z otwartego rachunku powierniczego odpowiada faktycznie poniesionym kosztom. Poprzednio obowiązujące przepisy były sformułowane ogólnikowo: bank wypłaca środki deweloperowi po stwierdzeniu zakończenia danego etapu. Kropka.* A wszystkie inwestycje HREIT podpadają pod reżim starej ustawy.

Tymczasem banki kredytujące zakup mieszkań HREIT w Bieńkowicach przelewały na rachunek powierniczy w ING dodatkową transzę, kolejne 10 proc. Zgodnie z harmonogramem miała zostać zwolniona po ukończeniu „stanu zero" (fundamenty i garaż podziemny). – *Za każdą wizytę inspektora na budowie płacę 200 zł. Jakim prawem bank przelał pieniądze, skoro wciąż jest dziura w ziemi, a więc warunek wypłaty nie został spełniony?* – pyta Izabela Dudziak, która w związku z tym musi płacić co miesiąc wyższą ratę odsetkową. Przed wypłatą dla dewelopera bank powinien sprawdzić stan zaawansowania prac na budowie. Tymczasem UOKiK w trakcie prowadzonego postępowania nabrał wątpliwości, czy w ING dochowano tu należytej staranności, i powiadomił KNF. Ta uznała za zasadne przeprowadzenie kontroli. W jej efekcie wydano wobec banku zalecenia co do nadzoru nad prowadzeniem rachunków powierniczych. Rzecznik prasowy ING Piotr Utrata poinformował, że bank nie komentuje swoich relacji z KNF ani z klientami. Rzecznik KNF Jacek Barszczewski odmówił poinformowania, jakie nieprawidłowości wykryto i jakie zalecenia wydano. Jest to bowiem tajemnica, a jej ujawnienie „mogłoby naruszyć interes podmiotu, którego te informacje dotyczą". Czyli banku. O ochronie interesów kredytobiorców rzecznik nie wspomniał.

MARCIN PIĄTEK

© PAP/ADAM WARŻAWA

eprasa.pl 53e0f75d2b

Kantor wymiany kryptowalut w Buenos Aires. Na światowych giełdach notowanych jest już ok. 20 tys. kryptowalut, z czego naprawdę liczy się około stu.

© TOMAS CUESTA/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Między strachem a chciwością

Prezydent zawetował ustawę o rynku kryptoaktywów. Karol Nawrocki uważa, że rząd chce spętać polską branżę krypto, ale on do tego nie dopuści. O co naprawdę chodzi w sporze o kryptowaluty?

ADAM GRZESZAK

O prezydenckie weto zaapelowała branża krypto, gdy tylko Sejm przyjął ustawę o rynku kryptoaktywów. Okrzyknięto ją kagańcową, a lista zarzutów jest długa i dotyczy m.in. nadmiernych i trudnych do spełnienia obowiązków oraz wysokich kosztów nadzoru sprawowanego przez KNF, niekryjącej niechęci do kryptowalut. Za wszelkie uchybienia przewidziano drakońskie sankcje włącznie z blokowaniem rachunków, karami finansowymi do 5 mln zł, a nawet więzieniem. Wszystko to sprawia – twierdzą krytycy ustawy – że polskie firmy sektora finansowo-technologicznego, tzw. fintechy będą wypychane za granicę, gdzie panuje większe zrozumienie świata krypto i łagodniejsze reżimy regulacyjne.

Wiceminister finansów Jurand Drop odpowiedzialny za przygotowanie ustawy i licznych rozporządzeń wykonawczych nie rozumie tych pretensji. Polska jest zobowiązana do wdrożenia unijnego rozporządzenia w sprawie rynków kryptoaktywów (MiCA – Markets in Crypto-Assets) i dyrektywy DAC8 w sprawie automatycznej wymiany informacji o kryptoaktywach pomiędzy państwami UE, więc nie ma o co kruszyć kopii. Rozwój rynku kryptowalut wymaga przecież, by państwo zapewniło większą ochronę inwestorom, klientom i budżetowi, gwarantując stabilność rynku oraz zapobiegając praniu brudnych pieniędzy.

Kryptowaluty narodziły się w 2009 r. Wybuchł właśnie światowy kryzys finansowy, wywołany nieodpowiedzialną ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ polityką wielkich banków, które przed bankructwem trzeba było ratować pieniędzmi podatników. Najważniejsze waluty świata z dnia na dzień traciły na wartości. Środowisko cyberpunków, czyli informatyków, programistów, miłośników kryptografii od dawna dyskutowało na temat stworzenia alternatywnego cyfrowego środka płatniczego, którym można byłoby się rozliczać w sieci ponad granicami, z pominięciem banków i kontroli instytucji państwowych. Szyfrowanie kryptograficzne miało zapewniać bezpieczeństwo obrotu.

Tajemniczy Nakamoto

Tak narodził się bitcoin (BTC), pierwsza, największa i najsłynniejsza kryptowaluta. Stworzył ją ktoś, kto posługiwał się pseudonimem Satoshi Nakamoto. Mimo prowadzonych poszukiwań do dziś nie udało się go zidentyfikować. Bitcoin z cyfrowej groszowej zabawki szybko wyrósł na światowego giganta o astronomicznej wartości 120 tys. dol. (dziś ok. 90 tys. dol.), dlatego zyskał miano „cyfrowego złota" i wyznaczył kryptowalutowe standardy. Jego sukces pociągnął naśladowców i wkrótce na świecie zaroiło się od rozmaitych kryptowalut, tokenów i innych kryptoaktywów oraz przedsiębiorców, którzy zwietrzyli zyskowny biznes.

Pożar kryzysu finansowego rządy gasiły strumieniami pieniędzy, sprawiając, że pojawiła się na rynku masa wolnej gotówki i trzeba było ją w coś zainwestować. To nakręcało atmosferę spekulacji i pompowało bańkę. Rósł kurs bitcoina, a potem i innych kryptowalut, pojawiła się też masa oszustów wyłudzających pieniądze pod pozorem tworzenia nowych cyfrowych walut. W rzeczywistości to piramidy finansowe lub oszustwa typu scam. Na światowych giełdach krypto notowanych jest już ok. 20 tys. kryptowalut, z czego naprawdę liczy się około stu. Wartość rynku to dziś ok. 3 bln dol. Absolutną dominację ma bitcoin z kapitalizacją 2 bln dol. Daleko za nim ethereum, tether, USD Coin, BNB, XRP, binance, cardano, solana, dogecoin.

Skąd jednak bitcoin czerpie swą wartość? Przecież nie wiadomo, kto go stworzył, nie stoi za nim żadna realna gospodarka ani bank, a odpowiedzialności nie ponosi żaden rząd. Ta wartość płynie z zaufania do algorytmu, który nim zarządza, oraz do technologii blockchain, czyli łańcucha bloków gwarantującego, że żaden bitcoin nie pojawi się nie wiadomo skąd, nie zostanie sfałszowany ani dwukrotnie wykorzystany. To jego siła, a jednocześnie słabość, bo dziś skala ekosystemu bitcoina jest ogromna i jest on potwornie energożerny. Zużywa w ciągu roku tyle prądu, ile cała polska gospodarka.

Niektórzy twierdzą, że Satoshi Nakamoto nie ujawnia się między innymi dlatego, że jego pomysł rozwinął się nie w tym kierunku, w którym zakładał. Założenie było takie, że kryptoentuzjaści, którzy zaakceptowali jego ideę rozliczeń *peer-to-peer* (każdego z każdym), bez centralnego serwera i zaufanej strony trzeciej (taką funkcję normalnie pełni bank), zainstalują oprogramowanie sterujące bitcoinem i oddadzą do dyspozycji nieco mocy obliczeniowej swych domowych komputerów do obsługi łańcucha bloków.

Blockchain to rozproszona baza danych, czyli rejestr wszystkich transakcji przechowywany na wszystkich uczestniczących w sieci komputerach. Informacje o transakcjach dokonywanych między uczestnikami systemu są gromadzone i łączone w bloki, czyli kryptograficzne pliki. Zwykle jest to kilka tysięcy transakcji, które wypełniają blok o pojemności 2–4 megabajtów, a każdy zawiera informację o bloku poprzedzającym, by uniknąć podmiany. Chcąc wynagrodzić uczestników sieci to, że oddali do dyspozycji swoje komputery, Nakamoto przewidział nagrodę wypłacaną w bitcoinach. O tym, kto dopisze kolejny blok do łańcucha i otrzyma z tego tytułu nagrodę, decyduje kryptograficzne zadanie generowane przez algorytm. Jedynym jego celem jest takie obciążenie mocy obliczeniowej komputerów, by rozwiązanie nie pojawiło się za szybko, bo w ten sposób program kontroluje tempo emisji bitcoina i chroni go przed inflacją.

Pierwszy komputer, który znajdzie rozwiązanie, ogłasza to w sieci, a inne weryfikują jego poprawność (co jest dużo prostsze) i wtedy blok może zostać dopisany do łańcucha na wszystkich komputerach, a zwycięzcy wypłacona jest nagroda. Nazywa się to dowodem pracy (*proof-of-work*, PoW) i stanowi zabezpieczenie systemu przed atakiem hakerskim. Nikt nie dysponuje tak potężną mocą obliczeniową, by go sforsować.

Kryptogórnicy

Kiedy Nakamoto tworzył legendarny blok 0, zwany Genesis, rozpoczynający epopeję bitcoina, do kreowania bloków wystarczyła moc zwykłego komputera. Z czasem pojawiły się specjalistyczne urządzenia zwane koparkami, a pozyskujących bitcoiny zaczęto nazywać górnikami. Rozpoczął się górniczy wyścig, do rywalizacji stawały już nie koparki, lecz całe kopalnie, czyli centra danych wyspecjalizowane wyłącznie w kopaniu bitcoinów. To zmusza system kontrolujący emisję do wyznaczania coraz trudniejszych zadań. Dodatkowo co kilka lat wysokość nagrody jest redukowana o połowę (od zeszłego roku 3,125 BTC).

W odpowiedzi rośnie moc obliczeniowa centrów danych, a te do pracy i chłodzenia wymagają coraz więcej prądu. Na potrzeby największych kopalni pracują już całe elektrownie (głównie w USA, Kanadzie, Rosji, Kazachstanie). Z obawy o stabilność systemu energetycznego w niektórych krajach kopania bitcoina zakazano (np. w Chinach), w innych rządy utrudniają taką działalność (np. w Skandynawii); w większości wystarczającą barierą jest cena energii.

Stworzenie jednego bitcoina pochłania dziś 155 tys. kWh. Tyle prądu przeciętnemu polskiemu gospodarstwu wystarczyłoby na ponad 60 lat. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) branża wydobycia kryptowalut konsumuje ok. 200 TWh, czyli 0,8 proc. globalnej produkcji prądu. Większość przypada na bitcoina ze względu na udział w rynku i stosowany mechanizm dowodu pracy PoW. Z tego powodu bitcoin jest oskarżany, że niszczy klimat, nie oferując nic, bez czego świat by się nie obył.

Z tego najbardziej energochłonnego mechanizmu korzystają też inne kryptowaluty, ale nie wszystkie. Są prostsze i oszczędniejsze algorytmy weryfikujące poprawność powstawania łańcucha bloków. Dlatego druga po bitcoinie kryptowaluta ethereum, by poprawić swój wizerunek, w 2022 r. przeszła na dużo mniej prądożerny protokół konsensusu zwany dowodem stawki. Stosowane są też inne dowody m.in. autorytetu, przestrzeni, spalania czy upływu czasu.

Samo emitowanie kryptowalut nie jest operacją szczególnie trudną i kosztowną, dlatego pojawiają się nawet monety memowe, będące rodzajem żartu. Czasem zresztą takie żarty przynoszą emitentom niezłe zyski, tak jak rodzinie Donalda Trumpa memecoiny $Trump i $Melania. Oba funkcjonują na blockchainie kryptowaluty solana, bo stworzenie własnego łańcucha bloków to już sprawa poważniejsza i dość

eprasa.pl 53e0f75d2b

ryzykowna. Dlatego wielu deweloperów kryptowalutowych korzysta (oczywiście odpłatnie) z popularnych blockchainów, a najczęściej z ethereum.

World Liberty Financial, rodzinny kryptobiznes Donalda Trumpa, wypuścił także stablecoina USD1. To typ kryptowaluty dla ostrożnych, bo musi być powiązany z określoną walutą fiducjarną, czyli tradycyjną, w tym przypadku dolarem amerykańskim. Emitent musi mieć pokrycie dla wypuszczanych stablecoinów, tak by w każdej chwili możliwa była wymiana i powrót do dolara. Kapitalizacja stablecoinów w świecie rośnie i przekroczyła już 300 mld dol. Trumpowski USD1 zapewne nakręci i ten biznes.

Trutka na szczury czy cyfrowe złoto?

Bitcoin i inne kryptowaluty korzystające z technologii blockchain należą do kategorii finansów zdecentralizowanych zwanych DeFi. Oznacza to brak konkretnego emitenta oraz podmiotu odpowiedzialnego za działanie systemu kryptowalutowego. Skutek? Nowa polska ustawa, podobnie jak unijne rozporządzenie MiCA ich nie obejmują. Czyli poza regulacją pozostaje potężne jądro planety krypto. Kiedy nie ma komu udzielać licencji ani kogo karać, urzędnicy są bezradni. Co nie zmienia faktu, że skarbówka egzekwuje podatki od zysków ze sprzedaży lub wymiany wszystkich kryptowalut.

Bitcoin pojawia się na celowniku regulatorów wówczas, jeśli w ich obrocie uczestniczą kantory i giełdy kryptowalutowe. Ale znów nie wszystkie, bo część platform giełdowych (np. APEX Pro, Uniswap, Balancer, Curve) działa w modelu zdecentralizowanym (DEX), stosując technologię blockchain. Więc i tu nie ma się do kogo przyczepić. Jedną z cenionych przez użytkowników zalet giełd DEX jest brak procedury KYC (*know your customer*) wymagającej ujawniania tożsamości klienta. Tę zaletę docenia szczególnie świat przestępczy, który coraz częściej wykorzystuje kryptowaluty do rozliczeń i zawsze za pośrednictwem giełd DEX.

Nowe przepisy dotyczą natomiast giełd scentralizowanych CEX (np. Binance, Coinbase, Kraken) działających jako pośrednicy między kupującymi a sprzedającymi, zarządzanych przez konkretnych przedsiębiorców. W Polsce ostatnio głośno było o wywodzącej się z naszego

Automat do wymiany kryptowalut. Już 3 mln naszych obywateli poznało smak kryptowalutowej emocji.

kraju, lecz zarejestrowanej w Estonii, giełdzie typu CEX Zondacrypto. Mimo dość zagmatwanej przeszłości opisywanej niedawno na naszych łamach (POLITYKA 45) wspólnie z PKOl planuje emisję tokenów kibicowskich, jednego ze szczególnych typów kryptoaktywów.

Tymi olimpijskimi tokenami, o ile znajdą nabywców wśród polskich kibiców, PKOl zamierza wypłacać premie olimpijczykom, a Zondacrypto będzie je potem mogła przeliczać na tradycyjne waluty (w branży zwane fiat) i wypłacać. Bo na tym polega zasadnicza różnica między giełdami scentralizowanymi i zdecentralizowanymi. Tylko te pierwsze mają kontakt z realnym systemem finansowym i to właśnie one są dziś w pierwszej kolejności na celowniku KNF. Odpowiedzialność giełd CEX jest poważna, bo to właśnie im na przechowanie swoje kryptowaluty powierza większość ich właścicieli. W razie ataku hakerskiego, defraudacji lub upadku platformy (niedawno na skutek defraudacji padła wielka giełda FTX) można stracić cały swój kryptomajątek. Wprawdzie można go nie trzymać na giełdzie i też stracić, jeśli utraci się klucz prywatny do swojej kryptowaluty albo hasło do cyfrowego portfela. Kryptowaluty znikają wówczas bezpowrotnie w cyberprzestrzeni.

Kryptowaluty od lat budzą sprzeczne emocje. Dla jednych są przełomowym osiągnięciem wprowadzającym finanse w epokę cyfrową, dla innych „cyfrowym powietrzem", jak nazwał je Donald Trump (zanim zorientował się, że jest interes do zrobienia), albo „trutką na szczury" – jak twierdzi najsłynniejszy inwestor amerykański Warren Buffett. Z pewnością nie są środkiem płatniczym i choć bywają czasem wykorzystywane w roli e-pieniędzy, to słabo się tutaj sprawdzają. Dlatego są tylko „cyfrowym odzwierciedleniem wartości lub prawa, które da się przenosić i przechowywać w formie elektronicznej" – jak to opisuje rozporządzenie MiCA.

Ich wartość bierze się z wiary inwestorów, że tyle są warte, a główną funkcją jest spekulacja. I z tego względu są cenione, także przez Polaków, zwłaszcza młodych mężczyzn. Już 3 mln naszych obywateli poznało smak kryptowalutowej emocji. Inwestorzy rozdarci są bowiem nieustannie między strachem a chciwością. To tak powszechne uczucia, że jest nawet stały monitoring indeksu strachu i chciwości (*Fear and Greed Index*) określający aktualne nastroje na rynku kryptowalut. Najnowszy odczyt indeksu: „ekstremalny strach pogłębia się, a nastroje osiągają jeden z najniższych poziomów".

Przeciwskuteczna ochrona?

Karol Nawrocki już w kampanii wyborczej, wzorem Donalda Trumpa, zapowiedział, że weźmie pod ochronę branżę kryptowalutową, bo w ten sposób chciał zdobyć głosy wyborców Konfederacji, wśród których jest wielu kryptowalutowych inwestorów.

Dlatego gdy tylko branża krypto wezwała go na pomoc, natychmiast zgłosił weto do ustawy, przywołując argumenty przedstawione mu przez przedsiębiorców. Ale nie wszystkich, bo XTB, jedna z największych firm zaapelowała o podpisanie ustawy, argumentując, że jej brak stworzy niebezpieczną lukę prawną. Bo unijne rozporządzenie MiCA obowiązuje już w Polsce, ale brak wyznaczonego krajowego organu sprawującego nadzór i udzielającego licencje sprawia, że żadna nowa firma krypto nie może zacząć działać, a już działającym licencja wygaśnie za pół roku. I wówczas wszystkie będą się musiały wynieść z Polski. Ale może o to prezydentowi chodziło?

ADAM GRZESZAK

© MONKPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 53e0f75d2b

Agresja słowna

Rozmowa z Peterem Pomerantsevem, brytyjsko-rosyjskim specjalistą od dezinformacji, o tym, dlaczego Zachód przegrywa z Rosją i Chinami wojnę propagandową. I o tym, gdzie uderzyć Putina.

© PAP/UKRINFORM

Peter Pomerantsev (ur. 1977 r.) – brytyjski dziennikarz rosyjskiego pochodzenia, wykładowca uniwersytecki, producent telewizyjny. Autor reportaży o polityce Władimira Putina i współczesnej propagandzie. Jego najnowsza książka „Propagandysta, który przechytrzył Hitlera" należy do serii Impact Books wydawanej w ramach współpracy Wydawnictwa Krytyki Politycznej z Impactem, największym przedsięwzięciem gospodarczo-technologicznym w Europie Środkowo-Wschodniej. Książka ukazała się przy wsparciu R. Power, partnera Programu Oświecenie.

MATEUSZ MAZZINI: **– Rozmawiamy kilka dni po rosyjskim sabotażu na linii kolejowej Warszawa–Lublin, który mógł doprowadzić do śmierci kilkuset osób w Polsce. Tymczasem więcej osób zdaje się winić za to Ukraińców niż Rosjan.**

PETER POMERANTSEV: – To pochopne wnioski. Rosjanie zawsze wykorzystują obywateli innych krajów (tu Ukraińców – przyp. red.) do takich operacji. To nie przypadek, że atak na Leonida Wołkowa, współpracownika Aleksieja Nawalnego, w 2024 r. w Wilnie przeprowadził Polak działający na zlecenie Moskwy. Taka strategia ma zwiększyć polaryzację i szum informacyjny. Zanim jednak stwierdzicie, że dominuje taki czy inny odbiór danego wydarzenia, spójrzcie głębiej w dane. Jak szybko pojawiają się opinie? Skąd pochodzą? Poza tym ważniejsze są reakcje polityków. Czy ktoś z nich przypisał sprawstwo Ukraińcom?

Skrajna prawica w Polsce nieustannie kolportuje takie narracje.

Która skrajna prawica? Ta, co ma 15 proc. poparcia, czy ta, co ma 6 proc.? To ważne, bo w Wielkiej Brytanii takie 15 proc. szybko przekształciło się w 30 proc. Mniej więcej taki odsetek Amerykanów żyje w kompletnie odmiennej od reszty kraju rzeczywistości informacyjnej. Stany Zjednoczone są de facto w stanie kognitywnej wojny domowej. Polacy muszą się poważnie zastanowić, co zrobić z tą częścią elektoratu, która powiela dezinformację. Bo nie wydaje mi się, żeby stać was było na informacyjną wojnę domową w czasie, gdy wasz sąsiad prowadzi jak najbardziej realną wojnę na terytorium innego sąsiada i nic nie wskazuje, żeby miał się tam zatrzymać.

Co pan rozumie przez kognitywną wojnę domową?

Mniej więcej jedna trzecia Amerykanów uważa, że wybory prezydenckie z 2020 r. zostały sfałszowane. Oznacza to, że jedna trzecia Amerykanów nie uznawała Joe Bidena za prezydenta. Ta sama jedna trzecia dziś uważa, że Donald Trump powinien zignorować wyroki sądów, jeśli uzna to za warunek konieczny realizacji swojego programu. Jeśli więc wrócimy do idei Benedicta Andersona i uznamy, że naród rzeczywiście jest „wspólnotą wyobrażoną", naprawdę należy sobie zadać pytanie o przyszłość. Czy naród, który jest tak głęboko podzielony, ma szanse przetrwać?

Kto jak kto, ale Polacy powinni zdawać sobie z tego sprawę. Przecież Rosja odbierała wam suwerenność wielokrotnie,

eprasa.pl 53e0f75d2b

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

nie mówiąc o tym, że naród polski przez 123 lata funkcjonował wyłącznie jako „wspólnota wyobrażona", przetrwaliście jako idea. Dlatego mam nadzieję, że bez względu na wasze wewnętrzne spory zrozumiecie, co stanowi największe ryzyko.

Pana najnowsza książka, „Propagandysta, który przechytrzył Hitlera. Jak wygrać wojnę informacyjną", opowiada właśnie o identyfikowaniu prawdziwego ryzyka. Ale to historia triumfu Zachodu w XX-wiecznej wojnie informacyjnej. A dziś?

Żeby wygrać, trzeba walczyć o zwycięstwo. W czasie drugiej wojny światowej i zimnej wojny tę walkę toczono z relatywnymi sukcesami. Żeby jednak wygrać na informacje, musimy głośno sobie powiedzieć, że to już jest wojna. Dziś Europa nie zachowuje się, jakby była na wojnie, a jest. Jasne, że język wokół tych tematów się zmienia. Polska wykonuje świetną robotę w tłumaczeniu innym, jak wielkie jest to zagrożenie. Ale to wciąż za mało.

To co musi się stać?

Demokracja, żeby naprawdę zaczęła działać na froncie informacyjnym, musi dostać zielone światło z samej góry, od przywódców. To nas odróżnia od reżimów autorytarnych. Ich silniki propagandowe cały czas pracują na pełnych obrotach. Po części dlatego, że autokraci nieustannie czują zagrożenie, dla nich wojna jest permanentnym stanem umysłu. Z kolei demokracje, historycznie rzecz ujmując, włączają pauzę po zwycięstwach. Spójrzmy, co stało się po drugiej wojnie światowej – naziści przegrali, więc zakończono ofensywę propagandową. Pauza trwała mniej więcej do 1956 r., kiedy już wszyscy zrozumieli, że Związek Radziecki jest wrogiem Zachodu, więc znowu trzeba walczyć. Trwało to do 1989 r., po czym upadł mur berliński i znowu wszystkie narzędzia walki informacyjnej zostały rozmontowane.

Dlaczego musimy stale walczyć?

Bo nie ma nic naturalnego w demokracji. Ona nie pojawia się w swojej ostatecznej formie tak po prostu, wymaga działania. Państwa demokratyczne nie produkują nieustannej propagandy na użytek wewnętrzny, jak robią to autorytaryzmy. Po zimnej wojnie dominowało przekonanie, że teraz możemy odpocząć. Dlatego m.in. zlikwidowano Amerykańską Agencję Informacyjną. Zostaliśmy z wielkimi ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ biurokracjami, ale często bez poczucia misji. A wielkie biurokracje, jak wiadomo, nie ruszają do roboty pełną parą, dopóki nie wydarzy się coś naprawdę znaczącego.

To co musi się stać, żeby ruszyły teraz?

Poza największą i najbrutalniejszą wojną na kontynencie europejskim od 1945 r.? Nie wiem. Musimy porzucić życzeniowe myślenie, że wszyscy obudzą się jednocześnie. Dla społeczeństw Europy Wschodniej to nie jest duży problem, politykom tutaj łatwo sprzedać wyborcom zaangażowanie w walkę informacyjną, bo ludzie pamiętają komunizm, znają szkodliwość propagandy. Jednak reszta Europy widzi to inaczej.

A co z Ameryką?

Amerykanie nas opuszczają. Możemy mieć nadzieję, że pozostaną neutralni, zostawią parasol nuklearny, ale stracili już wszelkie zainteresowanie Europą. Różne kraje w Europie reagują na to w różny sposób. Spójrzmy na Niemców – amerykańska administracja mocno ingerowała w ich ostatnie wybory, to Niemców przebudziło, zauważyli zmianę. Co ciekawe, agresja Rosji na Ukrainę wcale takiej zmiany nie wywołała, bo Niemcom się zdawało, że Rosja nie jest dla nich bezpośrednim zagrożeniem. Dopiero kombinacja obu tych zmian, moim zdaniem, wywołała w Niemczech otrzeźwienie. Względnie szybko obudziła się też Wielka Brytania. Otrucie Siergieja Skripala, ostentacyjne ruchy rosyjskich oligarchów, gigantyczne transakcje finansowe – to wszystko łatwo było dostrzec. Poza tym Brytyjczycy jako naród dość entuzjastycznie reagują na własną propagandę i są w tym skuteczni.

Kto jeszcze bierze udział w tej wojnie informacyjnej?

Na pewno państwa nordyckie. Polska też powinna – zwłaszcza że w zasadzie nie macie wyboru. Wojna informacyjna jest tak samo ważnym elementem konfliktu jak cyberataki, naruszanie łańcuchów dostaw czy zwykła agresja militarna. Prędzej czy później wszyscy będziemy musieli odpowiedzieć na to, co robią Rosjanie i Chińczycy. Dla nich to jest prawdziwa wojna.

A dla ruchu MAGA? Czy on też jest na wojnie informacyjnej?

Może nie wszyscy jego członkowie, ale taki Steve Bannon nieustannie jest na wojnie. On i jemu podobni doskonale znają dzieła Lenina, rozumieją dynamikę rewolucyjną. Ich celem jest zniszczenie wrogich instytucji. MAGA to ruch rewolucyjny i dlatego odnosi tyle niespodziewanych zwycięstw, bo oni wszystko traktują jak walkę. Tymczasem druga strona wciąż uważa, że bierze udział w debacie. Demokraci chcą się spierać na argumenty, a MAGA tylko myśli, jak ich zniszczyć.

Czym innym jest jednak zwalczanie dezinformacji we własnym kraju, a czym innym wojna informacyjna na terytorium wroga.

Różnica jest zasadnicza, głównie jeśli chodzi o stawkę takich działań. Wiele zależy od tego, czy już uznamy, że jesteśmy na wojnie, czy nie. Czy działając propagandowo na terytorium wroga, będziemy to robić otwarcie czy w ukryciu. Bohater mojej książki, brytyjski dziennikarz i propagandzista Sefton Delmer, nie mógł pracować wewnątrz własnego kraju, bo byłoby to nieetyczne i bezprawne. Dlatego zajął się uprawianiem brytyjskiej propagandy na zewnątrz. Próbował zrozumieć, co przyciąga ludzi – w tym przypadku obywateli Trzeciej Rzeszy – do systemów i przywódców autorytarnych. Bo wiedząc to, możemy wejść z nimi w dialog. Trzeba przebadać psychiczne potrzeby, motywacje, a potem określić różnice w obozie wroga. Delmer był w tym doskonały.

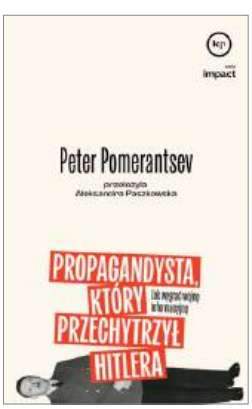

Co Delmer powiedziałby dzisiejszym obrońcom demokracji w USA?

Że w Ameryce powinny powstawać podkasty, radiostacje, kanały internetowe skierowane do najuboższych i klasy pracującej, mówiące językiem tych ludzi i do tych ludzi. To nie może być komunikat starych elit do młodych wykluczonych Amerykanów. Przecież „New York Times", z całym szacunkiem, nie rozwiąże problemu klasy pracującej głosującej na Trumpa. Moim zdaniem liberałowie i progresiści są tak fatalni w działaniach informacyjnych, bo nie mówią ani językiem ludzi, których chcą przekonać, ani o sprawach, które dla tych ludzi są ważne.

Chodzi więc o to, że w USA nie udało się stworzyć „liberalnego Joe Rogana", czyli medialnego demiurga o milionowych zasięgach?

Nie wiem, czy byłoby to możliwe. Tego nie da się wyreżyserować, nie stworzymy następnego Rogana od zera. Radziłbym zacząć gdzieś indziej, najlepiej od pójścia do programu Rogana właśnie. Trzeba tam wystąpić i mówić do jego odbiorców językiem, który będzie dla nich zrozumiały. Fakt, że nie poszła tam Kamala Harris, uważam za katastrofalny błąd. Zwłaszcza że większość słuchaczy Rogana to wyborcy niezależni, wahający się między jedną a drugą partią. Są takim klasycznym przykładem „sprzeciwu wobec wszystkiego".

Jeden z wniosków z historii Delmera sprowadza się do tego, że zło zawsze zaczyna zjadać własny ogon. Trzeba tylko wykorzystać istniejące podziały, przyspieszyć ten proces. Tak dzieje się teraz w ruchu MAGA przy okazji dokumentów w sprawie Epsteina, skaczą sobie do gardeł. Ludzie, którzy zamieszkują bardzo spiskowe przestrzenie informacyjne, są podatni na takie działania. Delmer akcentował wewnętrzne sprzeczności, np. panujące już wcześniej animozje między SS a Wehrmachtem. To samo można zrobić z prawicą.

A z Rosją?

Też. Gdyby Delmer dzisiaj żył, tworzyłby pewnie ogromną platformę multimedialną skierowaną do Rosjan i selekcjonowałby tematy. Na przykład nic o ukraińskim cierpieniu, bo to na nikim w Rosji nie robi wrażenia. Nic o cierpieniu rosyjskich żołnierzy – to też nie działa. Na początku wojny wszyscy myśleliśmy, że matki chłopaków wysyłanych na front mogą sprzeciwić się reżimowi, nic z tego nie wyszło. To, co działa, to podkreślanie ryzyka destabilizacji.

Delmer wziąłby pewnie na cel rosyjską armię, bo tam aż roi się od problemów, pokazała to choćby rebelia Prigożyna. Tak samo jak spory etniczne, bo w armii silny jest rasizm. Panuje też rywalizacja między wojskiem a służbami bezpieczeństwa. W armii są najemnicy, dawni wagnerowcy, wściekli, bo mniej zarabiają, stracili status i prestiż. Rosja ma całą masę takich słabych punktów. Trzeba tylko umieć je wykorzystać.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 53e0f75d2b

© AFDAL NAMAKULE/SHUTTERSTOCK

Zabudowani

Największe miasto świata? Według stanu na dziś to Dżakarta (41,9 mln mieszkańców). A za 25 lat – Dhaka. Ale jak definiować wielkie miasto, żeby go nie pomylić z wielkim slumsem albo z wielką wsią?

PAULINA WILK

Listopadowy raport ONZ „Perspektywy urbanizacyjne świata" to rewolucja w sposobie liczenia wielkomiejskich populacji. Ale i zaproszenie do innego myślenia o tym, co konstytuuje miasta i gdzie naprawdę leżą ich granice. Rodzi też pytania o jakość i przyszłość ludzkiego życia na terenach zurbanizowanych. Autorzy raportu odłożyli na bok stosowane dotąd mierniki miejskich populacji, przekazywane im przez instytucje statystyczne z poszczególnych państw. Zastosowali własne, uniwersalne dla globu dane, wzięli pod uwagę m.in. ludność terenów podmiejskich i dzielnice nieformalne, tzw. kampongi w Indonezji czy slumsy w Indiach. Tak powstała nowa, spójna kategoryzacja dzieląca skupiska ludzi na miasta, miasteczka i wsie.

Według tych szacunków, które dodają Dżakarcie aż 30 mln mieszkańców w stosunku do oficjalnych danych, stolica Indonezji jest teraz globalnym numerem jeden. Zmieniona metodologia uwzględniła gęsto zaludnione rejony połączone z właściwym obszarem miasta codziennymi aktywnościami i szlakami komunikacyjnymi. Czyli miejsca zamieszkane przez w większości ubogich i żyjących w kiepskich warunkach ludzi, którzy zdołali wcisnąć swoją codzienność dosłownie między nowe projekty infrastrukturalne – drogi szybkiego ruchu na estakadach czy wieżowce, które stały się w ostatnich dekadach symbolami rozwoju Dżakarty.

Potwierdza to dawno zauważone tendencje – rozbudowa przyciąga więcej osób do życia w mieście, tak jak wielopasmowe autostrady w Stanach Zjednoczonych zaczęły przyciągać większy ruch samochodowy, powodując długie na wiele mil korki. Inwestycje to magnes. Także w indonezyjskiej stolicy: im więcej wysiłków wkładano w ostatnich latach w poprawę jakości życia, tym bardziej miasto stawało się atrakcyjne i rosło jego zatłoczenie. Do tego stopnia, że wielu uważa je za miejsce niezdatne do życia z powodu ciasnoty, zanieczyszczenia powietrza i wody, hałasu.

I podobnie jak w innych gigantycznych miastach bliskość tych, którzy żyją komfortowo, oraz tych, dla których codzienność przypomina walkę o przetrwanie i niespełnione marzenie o dostępie do podstawowych dóbr (kanalizacji, utylizacji śmieci, prądu), ilustruje ekstremalne różnice ekonomiczne. Linia podziałów biegnie już nie tylko między miastem i wsią, ale w samych trzewiach metropolii.

Stolica tonie

W dokumencie ONZ drugą pozycję wśród najliczniej zaludnionych miast zajmuje stolica Bangladeszu Dhaka (37 mln mieszkańców). A Tokio, od lat uważane za najludniejsze megamiasto, spadło na trzecią pozycję. Co więcej, raport wskazuje, że już od 2010 r. japońska stolica nie była na szczycie zestawienia, co odzwierciedla malejącą i starzejącą się populację kraju. Liczba mieszkańców Tokio, a także Seulu, w połowie wieku ma zacząć spadać.

Olbrzymi wzrost ludności Dżakarty sam w sobie nie jest zaskoczeniem. Gdy ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ w 1945 r. Indonezja zyskiwała niepodległość po 300 latach kolonialnej zależności od Holandii, stolica liczyła ok. 1 mln mieszkańców (kolonizatorzy zaplanowali miasto na 500 tys.). Majątki zbijane na eksploatacji surowców naturalnych wyspiarskiego kraju sprzyjały gwałtownemu rozwojowi, a bogactwo jednych kusiło masy imigrantów liczących na wydobycie się z ubóstwa.

Brakowało jednak miejsca, więc kolejne fale przybyszów osuszały i zajmowały podmokłe tereny (zasilane wodami z 13 dopływających tam rzek), niszcząc naturalne zapory między Morzem Jawajskim a północno-wschodnim wybrzeżem Jawy, na którym stało miasto. Dziś niemal połowa terenu Dżakarty leży poniżej poziomu morza. Stolica tonie. Konieczna okazała się budowa zapór zatrzymujących i rozbijających fale, ale to jedynie odroczenie wyroku.

Symbolem zwrotu w myśleniu o przyszłości były lata 2012–14, gdy gubernatorem Dżakarty był Joko Widodo, późniejszy prezydent kraju (2014–24). Wychowany w przydrożnych slumsach, był stolarzem i sprzedawcą mebli. Doszedł do władzy dzięki temu, że dobrze rozumiał i reprezentował interesy nieuprzywilejowanych. Znał się na budowaniu. W Dżakarcie starał się rozwinąć komunikację miejską, zapory wodne. Szybko jednak się okazało, że wylewanie kolejnych ton betonu nie uratuje miasta. Wówczas powstała koncepcja budowy nowej stolicy na wyspie Borneo. Widodo był entuzjastą i głównym adwokatem tego pomysłu.

Nusantara (co znaczy „archipelag") została zaplanowana całościowo jako miasto pełne zaawansowanych technologicznie rozwiązań dostosowujących je do życia w warunkach kryzysu klimatycznego. Zabudowane ma być tylko 25 proc. przestrzeni nowej stolicy, a mieszkańcy mają mieć łatwy dostęp do zieleni. Miasto otaczałaby strefa buforowa ograniczająca jego rozrost. Ma ono też przyciągać nową kategorię mieszkańców i symbolizować inny styl życia. Jednak choć budowę ogłoszono w 2019 r., a oficjalne narodziny miasta miało uświetnić latem 2024 r. uroczyste otwarcie pałacu prezydenckiego i innych urzędów, to projekt jest wciąż na wczesnym etapie. Inwestorów brak.

Zdaniem krytyków cały ten projekt stoi w konflikcie z legendarną bioróżnorodnością Borneo i prawami lokalnej ludności. I tylko potwierdza, że eskapistyczne koncepcje urbanistyczne (od Navi Mumbaj mającego być lekiem na tłok Mumbaju, po Masdar planowany jako pierwsze zeroemisyjne miasto Zjednoczonych Emiratów Arabskich) to w najlepszym razie ćwiczenia z wyobraźni, niestanowiące odpowiedzi na problemy dzisiejszych metropolii.

Dżakarta: lepsze oblicze

Na razie w Nusantarze mieszka grupa eksperymentalna licząca ponad tysiąc osób. A Dżakartę zalewają problemy. Nie dość, że dostęp do czystej wody ma tam raptem co piąty mieszkaniec, to z powodu jej zasolenia kryzys wodny może tu nastąpić już za 15 lat. Najludniejsze megamiasto na planecie jest ilustracją ekstremalnej przyszłości, która już nadeszła.

Rondo w polu

Według wspomnianego raportu Azja jest dziś kontynentem najliczniej zamieszkiwanych miast. Jest ich tu aż dziewięć. Poza Dżakartą, Dhaką i Tokio są to Delhi, Szanghaj, Kanton, Manila, Kalkuta i Seul. Pierwszą dziesiątkę dopełnia afrykański Kair. Nowa metodologia wypchnęła ze szczytu zestawienia São Paulo, miasto Meksyk, Mumbaj, Pekin i Osakę. Eksperci ONZ konstatują, że już 45 proc. ludności świata (liczącej 8,2 mld ludzi) budzi się i zasypia w dużych miastach. W 1950 r. ten wskaźnik był ponaddwukrotnie niższy. Jednocześnie spada populacja małych miast (36 proc. ludzkości) i wsi (zaledwie 19 proc.). Do połowy stulecia aż dwie trzecie wzrostu zaludnienia dokona się w dużych ośrodkach.

Nie dziwi więc, że przybywa megamiast liczących ponad 10 mln osób. Są już 33, aż 19 znajduje się w Azji, do połowy stulecia do tej kategorii zaklasyfikują się cztery kolejne. Jednak spektakularny rozwój megamiast – i związane z nim horrendalne problemy – wcale nie mówią o przyszłości wszystkiego. Bo wciąż więcej ludzi mieszka w tych średnich lub małych. I w takich nieznanych szerzej miejscach dokona się znaczący skok populacji. Mowa o 12 tys. ośrodków liczących dziś mniej niż 1 mln mieszkańców, a nawet mniej niż 250 tys. Infrastruktura, kadry i finanse nie są tam w stanie wyjść naprzeciw potrzebom napływającej ze wsi ludności (np. marzących o miejskim życiu rolników z Afryki Subsaharyjskiej, Azji Środkowej czy Południowo-Wschodniej).

Podróż przed Indie czy Afrykę dostarcza zdumiewających obrazów: zatłoczone uliczki bez utwardzonej powierzchni, sklecone z robionych własnym sumptem pustaków domy bez szyb, zakorkowane potężne ronda w szczerym polu. I tylko gdzieś w centrum układ ulic, plac targowy, kilka budynków będących nie tyle miastem, ile jego mglistą zapowiedzią. Do dziś od takich widoków nie jest wolna choćby Kampala, stolica Ugandy, gdzie w kilka minut przechodzi się od dworca kolejowego, teatru i luksusowych willi za murami do tętniących życiem dzielnic zlepionych w gigantyczną wioskę, pełną chat z klepiskami, studni, węglowych palenisk pod gołym niebem.

I właśnie takie realia, rażąco niepasujące do wyobrażenia miasta, upowszechnią się w nadchodzących dziesięcioleciach. Dobrym przykładem są Indie czy Pakistan, gdzie nowa elita biznesowa w głębi kraju wymusza budowę dworców, lotnisk i nowych połączeń swoich – dziś jeszcze prowincjonalnych – ośrodków z tymi większymi.

Wyzwaniem przyszłości stanie się więc dofinansowywanie tego wzrostu, na tyle

© AKHMAD DODY FIRMANSYA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 53e0f75d2b

skuteczne, by tereny zurbanizowane nie stały się dla nowych mieszkańców przekleństwem, ponurym szyderstwem z rozbudzonych ambicji i nadziei. Miasta są przecież nie tylko motorami rozwoju gospodarczego, mogą też łatwo stać się ogniskiem społecznych frustracji, konfliktów i radykalizmu.

Potrzebne są strategie rozwoju, poczynając od regulacji kwestii własności i użytkowania ziemi. Brak takiego – choćby formalnoprawnego – przygotowania widać od Limy (gdzie foliowe namioty wyrastają nagle na sypkich zboczach i dają początek nowym *barrios*, miastom w mieście) aż po Hongkong, gdzie kilkumetrowe klitki w wieżowcach muszą wystarczyć za mieszkania na całe życie.

Małomiasteczkowi

Raport ONZ nie tyle odkrywa nieznaną rzeczywistość, ile przykłada lupę z innej strony. Przedefiniowuje okoliczności, w jakich przyjdzie żyć kolejnym setkom milionów ludzi. Powstał z intencjami praktycznymi – ma przedstawić rządom, państwom i miastom w miarę rzetelną mapę przyszłości. A jednocześnie – szansę na odpowiednie do niej przygotowanie. Dokument pozbawia też włodarzy miast chętnie wykorzystywanego alibi. Nikt już nie powie: „Nie wiedzieliśmy". Tendencje urbanizacyjne są jasno zarysowane i – jak wszystko wskazuje – raczej niemożliwe do powstrzymania. Co więcej, zakwalifikowanie do miejskiej populacji wielkiej liczby mieszkańców dotąd „niewidzialnych", bo z premedytacją omijanych, nie pozwala już uznawać tzw. nieformalnych dzielnic za nieistniejące.

Autorzy raportu są po stronie tych, którzy swój los klecą bez pomocy czynników oficjalnych. Sami osuszają albo karczują tereny, wytyczają ulice, podciągają media, struktury z blachy, folii i drewna z czasem zastępują murowanymi. A po latach są wyrzucani, przepędzani przez buldożery jadące zrobić miejsce pod apartamentowce. Powstał pierwszy globalny dokument, który mówi: „Widzimy was". Z pewnością nie odmieni zaraz lokalnej polityki, ale jest jasnym sygnałem. Metropolie i megamiasta są liczbowo większe, niż ktokolwiek dotychczas oficjalnie przyznawał. Więcej jest ludzi, którzy żyją w nich bez godności.

Wśród ciekawych ustaleń ekspertów ONZ są również informacje o miastach, które maleją. Bo rozwój nie dokonuje się równomiernie. Tylko w ostatniej dekadzie w 3 tys. miast ubyło mieszkańców, dzieje się tak np. w centrach ok. 200-tysięcznych zespołów miejskich w Indiach czy Chinach. Problemem jest tam znane także w Polsce zjawisko odpływu ludności, zwłaszcza młodej, do największych ośrodków.

Raport docenia też znaczenie, jakie dla bardziej zrównoważonej przyszłości będą mieć małe miasta. Wciąż mieszka tam ponad jedna trzecia ludzkości, a w 71 krajach miasteczka nadal stanowią dominujący typ urbanizacji. Choćby w USA, Niemczech, Indiach czy Chinach. W tych dwóch ostatnich państwach łącznie ponad 1 mld ludzi nadal może się uważać za „małomiasteczkowych". I takich miejsc ma przybywać w Azji Południowej i Afryce Subsaharyjskiej przez kolejne ćwierć wieku. Te niewielkie siedliska działają jak nieocenione gąbki – wchłaniają fale emigrantów ze wsi. Jeśli zatrzymają ich na dłużej, zmniejszą presję populacyjną na wielkie miasta i spowolnią narastające w nich problemy.

W szybkim tempie – niemal dwukrotnie większym niż przybywa ludności Ziemi – rośnie liczba terenów zabudowanych. Według ONZ już teraz na jedną osobę przypada 63 m kw. terenu zabudowanego. Aż 60 proc. tak zmienionych obszarów jeszcze w 1970 r. było ziemią uprawną. To oznacza, że miasta nie rosną dość kompaktowo, czyli z uwzględnieniem wszystkiego, co wiemy o kryzysie klimatycznym.

Co wobec tego stanie się w przewidywanej przyszłości z wsiami? Według kryteriów raportu w środkowej i południowej Afryce czy nawet w niejednym państwie Europy wciąż mieszka tam blisko dwie trzecie ludności. Jednak zwrot ma nastąpić już za 15 lat, gdy społeczności te zaczną maleć (z wyjątkiem Afryki Subsaharyjskiej). Na wsiach zostaną ludzie starsi. Aby spowolnić ucieczkę młodych, potrzebne byłoby wzmocnienie technologiczne i komunikacyjne. Bo wsie (to się akurat tak szybko nie zmienia) pozostają kluczowe dla zaopatrzenia miast w żywność.

Żeby zrozumieć, jak istotną zmianę opisu naszej cywilizacji zaproponowała właśnie ONZ, warto przytoczyć jeszcze dwie liczby. Gdyby w raporcie trzymano się statystyk państwowych, wciąż uznawalibyśmy, że w miastach – bez względu na ich rozmiar – żyje łącznie 58 proc. ludzi. W świetle nowej metody okazuje się jednak, że miasta wchłonęły już 81 proc. ludzkości. Przepowiadana urbanistyczna przyszłość nadeszła szybciej i przypomina bardzo krzywą wieżę. Rzuca cień nie tylko na jakość życia tych, którzy jeszcze do miast nie przeniknęli, ale i tych, którzy już są w środku – stłoczeni i pozbawieni złudzeń.

PAULINA WILK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Dan od dronów

Nowy wysłannik Białego Domu do Ukrainy, sekretarz armii Daniel P. Driscoll, nie zna się na dyplomacji, a tym bardziej na Ukrainie. Eksperci wróżą mu wielką karierę.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

W coraz dłuższej historii starań administracji Donalda Trumpa o pokój między Ukrainą i Rosją pojawiła się nowa twarz. 20 listopada przyjechał do Kijowa amerykański sekretarz armii Daniel P. Driscoll, by rozmawiać o 28-punktowym rosyjsko-amerykańskim planie zakończenia wojny. Było to zaskoczenie, bo zazwyczaj szefowie cywilnej administracji wojsk lądowych (Army) w Departamencie Obrony nie zajmują się dyplomacją.

W dodatku Driscoll ma 38 lat, wygląda jeszcze młodziej i szerzej o nim nie słyszano. Znany był tylko jako „facet od dronów", bo zafascynowany sukcesami ukraińskich bezzałogowców forsował w Pentagonie znaczne zwiększenie ich liczby na wyposażeniu US Army. A że wybierał się akurat w sprawie dronów do Ukrainy, Trump powierzył mu misję przekonywania Wołodymyra Zełenskiego i jego rządu do bardzo niekorzystnego planu pokojowego.

Driscoll, negocjator z przypadku, straszył Ukraińców, że w wojnie nie mają szans, bo Rosja nasili wkrótce bombardowania i może walczyć bez końca. A ponieważ sytuacja zdaje się tylko pogarszać, lepiej zrobią, negocjując warunki pokoju – według wspomnianego planu sprowadzającego się do kapitulacji Ukrainy. Jak powiedział „Deutsche Welle" Iwan Us z ukraińskiego Narodowego Instytutu Studiów Strategicznych, nowy amerykański negocjator „używał szantażu i ultimatów" i zaprezentował się swym rozmówcom jako „ktoś, kto nie ma żadnej sympatii dla Ukrainy". Kiedy Ukraińcy odrzucili kluczowe zapisy planu, skorygowano go w nadziei na ustępstwa Kijowa. Rozmowy trwają, choć trudno im wróżyć powodzenie. A Driscoll wszedł najwyraźniej do stałego zespołu negocjacyjnego, bo po Kijowie uczestniczył w rozmowach z Ukraińcami w Genewie i z Rosjanami w Abu Zabi.

Kolega Vance'a

Urodził się w miasteczku Boone w Karolinie Północnej, studiował zarządzanie biznesem na stanowym uniwersytecie w Chapel Hill, a potem wstąpił do wojska. Spędził tam ponad trzy lata, w tym dziewięć miesięcy na wojnie w Iraku. Zakończył służbę z odznaczeniami w stopniu porucznika. Korzystając z dotacji dla weteranów, rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Yale, gdzie zaprzyjaźnił się z J.D. Vance'em. Ta znajomość okaże się później bezcenna.

Po studiach terminował w komisji Kongresu ds. weteranów, potem pracował w banku inwestycyjnym. Debiut w polityce mu nie wyszedł – w republikańskich prawyborach w 2020 r. nie zdobył nominacji do Izby Reprezentantów. Cztery lata później został jednak jednym z doradców Trumpa w jego kampanii o powrót do Białego Domu. Po wyborach – za wstawiennictwem Vance'a – prezydent powołał go na sekretarza armii, najmłodszego w historii USA na tym stanowisku.

W Pentagonie Driscoll skupił się na modernizacji uzbrojenia, promocji

© MELISSA SUEGERRITS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 53e0f75d2b

najnowszych technologii oraz reformie akwizycji broni i sprzętu. Poparł w związku z tym ustawę o „prawie do remontu" (*right to repair*), która ułatwi armii naprawy broni i sprzętu, bo producent będzie zobowiązany do pełnej współpracy, co przyspieszy ten proces. Skuteczny lobbing za tą ustawą w Kongresie i dobra współpraca z legislatorami zyskały mu uznanie Demokratów.

Jako cywilny szef armii nadzorował zarządzone przez Trumpa rozmieszczanie oddziałów Gwardii Narodowej w miastach. A w kwietniu dostał „drugi etat" – został tymczasowym dyrektorem ATF, federalnej agencji walczącej z przestępstwami związanymi z alkoholem, tytoniem i bronią palną. Powierzenie mu negocjacji z Ukraińcami było potwierdzeniem jego rosnącej roli w ekipie prezydenta.

Następca Kelloga

Kariera Driscolla może być miarą wpływów Vance'a w rządzie, ale jest też ilustracją typowej polityki kadrowej Trumpa. Awansuje młodych, wyróżniających się działaczy bez stażu w administracji, spoza establishmentu, co gwarantuje lojalność i akceptację łamania zastanych norm i sposobów rządzenia.

Dotyczy to zwłaszcza polityki międzynarodowej – rozmów z zagranicznymi partnerami prezydent nie zleca profesjonalnym dyplomatom, uważanym za emanację „głębokiego państwa", tylko zaprzyjaźnionym biznesmenom, jak Steve Witkoff, członkom rodziny, jak Jared Kushner, czy wojskowym, jak Driscoll. Nieważne, że nie mają głębszej wiedzy o krajach, którymi się zajmują. Jeśli chodzi o Ukrainę to nawet lepiej, bo gdyby poznali historię i niuanse jej konfliktu z Rosją, mogliby, nie daj Boże, stanąć po stronie ofiary.

Nie przypadkiem na spotkania z Władimirem Putinem w Moskwie Trump nie wysyła sekretarza stanu Marco Rubio ani specjalnego wysłannika rządu do Ukrainy i Rosji, emerytowanego generała Keitha Kelloga, podejrzewając obu o skłonności antyrosyjskie. Kellog ma zresztą stracić posadę właśnie na rzecz Driscolla. A nawet jeśli jej formalnie nie straci, to obecny sekretarz armii i tak będzie prawdopodobnie oddelegowany do dalszych rozmów z Kijowem.

Przeważa opinia, że to niepomyślna wiadomość dla Ukraińców. – *Driscoll jest bliskim sojusznikiem Vance'a i podobnie jak podsekretarz stanu w Pentagonie Elbridge Colby opowiada się za szybkim wycofaniem USA z Europy* – mówi Dalibor Rohac z konserwatywnego American Enterprise Institute. Zdaniem ekspertów awans Driscolla sam w sobie nie przekreśla jednak szans Kijowa. – *Team Trumpa jest podzielony w sprawie Ukrainy. W opozycji do Vance'a i Witkoffa jest Rubio, który chce przycisnąć Moskwę. Najważniejsze, po której stronie stanie Trump* – mówi Garret Martin z American University.

Zagrożenie dla Hegsetha

Driscoll nie wygląda na kogoś z ruchu MAGA. W odróżnieniu od typowych trumpistów jest otwarty na współpracę z Demokratami i inaczej niż sekretarz obrony (według nowej nomenklatury: wojny) Pete Hegseth nie unika mediów. – *Potrafi przedstawić swoje argumenty w sposób konstruktywny i niekonfrontacyjny, co dobrze działa w relacjach z prezydentem. Jednocześnie, wyrażając własne opinie, zachowuje reputację uczciwego, samodzielnie myślącego człowieka* – mówi o sekretarzu armii Michael O'Hanlon, ekspert militarny z Brookings Institution.

W dodatku, jeżeli dzięki amerykańskiej mediacji dojdzie do zakończenia lub przerwania na dłużej wojny w Ukrainie – na co wprawdzie się nie zanosi – splendor spadnie na głównych negocjatorów, a więc i Driscolla. Już dziś słychać w Waszyngtonie, że może zastąpić obecnego sekretarza wojny, bo Hegseth ma złą passę i zbiera fatalne recenzje. Najnowszy problem to mroczna zagadka zbombardowania u wybrzeży Wenezueli łodzi przewożącej podobno do USA narkotyki. Według mediów 2 września amerykański samolot w pierwszym uderzeniu zniszczył łódź i zabił przemytników, ale nie wszystkich. Dwóch ocalało i kiedy utrzymywali się na wodzie uczepieni wraka, zginęli od drugiego uderzenia. Miało nastąpić na rozkaz „zabić wszystkich".

Jeżeli to prawda, siły amerykańskie popełniły zbrodnię wojenną, postępując wbrew własnym kodeksom, które zabraniają zabijania rozbitków, nawet z okrętów nieprzyjaciela. Hegseth i dowodzący akcją admirał Frank Bradley zaprzeczają, żeby wydano tak brzmiący rozkaz. Przyznają jednak, że ponowiono atak, by „dokończyć dzieła". A sekretarz wojny i Trump podkreślają, że kampania bombardowań łodzi podejrzanych o transport narkotyków, w której zabito już co najmniej 81 osób, będzie kontynuowana.

Hegseth plącze się w wyjaśnieniach i razem z prezydentem sugerują, że to Bradley jest odpowiedzialny za śmierć rozbitków. Politycy w Kongresie (także wielu Republikanów) oraz konserwatywni komentatorzy kwestionują jednak legalność całej kampanii bombardowań. Biały Dom i Pentagon działania wokół Wenezueli nazywają „wojną", chociaż szmugiel narkotyków do USA był zawsze sprawą amerykańskich organów ścigania, nie sił zbrojnych.

Hegseth jednak od dawna lekceważy zapisane w wojskowych kodeksach reguły walki, zalecające minimalizowanie cywilnych ofiar. Otwarcie przyznaje, że nie przestrzegał ich już podczas wojennej służby w Iraku. Krytykują go za to nawet republikańscy senatorzy, jak Rand Paul, a jego działania potępił jako nielegalne znany z telewizji Fox News konserwatywny komentator Andrew Napolitano.

Burza wokół zabijania rozbitków powiększa dossier skandali związanych z Hegsethem. Niedawno pojawił się raport ze śledztwa w sprawie osławionej lutowej narady o planowanej akcji zbrojnej w Jemenie, zorganizowanej przez sekretarza (wówczas jeszcze) obrony na prywatnej, niezabezpieczonej aplikacji Signal. Jakby tego było mało, zaproszono też dziennikarza. Hegseth naraził w ten sposób na niebezpieczeństwo uczestniczące w akcji amerykańskie wojska – orzekł inspektor.

Przyszłość dla Trumpa

Szef Pentagonu odznaczył się do tej pory głównie masowymi ideologicznymi czystkami w siłach zbrojnych – ofiarami padli zasłużeni, choć w jego ocenie niepewni politycznie oficerowie. Zapisał się też w pamięci tyradami o konieczności obcinania przez żołnierzy bród i długich włosów oraz kłótnią z mediami, którym chciał zabronić nieocenzurowanych relacji o wojsku. W rezultacie z armii uciekają najlepsi ludzie i morale w resorcie spada, a Republikanie coraz głośniej apelują do Trumpa, by zwolnił Hegsetha.

Po doświadczeniach z pierwszej kadencji, kiedy karuzela stanowisk w rządzie kręciła się szybko, Trump unika zmian personalnych. Stwarzają one w jego pojęciu wrażenie słabości. Jednak Hegseth staje się balastem dla prezydenta, a wizerunek jego osoby i teamu nie jest mu obojętny. Czy zastąpi go Driscoll? Za wcześnie prognozować, ale z poparciem J.D. Vance'a ma na to spore szanse. ■

eprasa.pl 53e0f75d2b

Druzowie ze wzgórz

Mówią po arabsku, ale wielu nie uważa się za Arabów. Mówią też po hebrajsku, ale tym bardziej nie czują się Żydami. Druzowie stali się kartą przetargową w grze między Izraelem a Syrią.

Madżdal Szams po stronie izraelskiej. Po lewej: granica z Syrią.

© AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

AGNIESZKA ZAGNER Z GALILEI I WZGÓRZ GOLAN

Od głównej drogi przecinającej Madżdal Szams widać zielone boisko piłkarskie, ale łatwo przeoczyć zakurzony plac budowy tuż za nim. Na bramie wjazdowej zdjęcia 12 dzieci. – *Usłyszałem potężny huk, poleciały szyby w restauracji, podmuch rzucił mnie na podłogę. Na boisku byłem w ciągu kilku sekund. Nigdy nie widziałem tyle krwi* – mówi Nabil, właściciel niewielkiego bistra 100 m od boiska.

To wspomnienie upalnego lipcowego dnia w 2024 r., gdy na ten skraj Izraela przy granicach z Libanem i Syrią spadła rakieta, zabijając dzieci w wieku od 10 do 16 lat i raniąc ponad 40 osób. Hezbollah twierdził, że owszem, odpalił rakietę, ale w kierunku pobliskiej bazy wojskowej. A na boisko spadł zabłąkany pocisk izraelskiej Żelaznej Kopuły. Izrael zaprzeczył, Zachód stanął po jego stronie. Miejscowi Druzowie wpadli we wściekłość. Pod adresem przybyłego potem do miasteczka wraz z ministrem finansów Becalelem Smotriczem i premiera Beniamina Netanjahu poleciały wyzwiska, z których najłagodniejsze brzmiało „mordercy". Wielu Druzów z Madżdal Szams do dziś twierdzi, że stali się ofiarami „nie swojej" wojny.

Na Wzgórzach Golan w czterech miejscowościach żyje ok. 25 tys. Druzów. W znakomitej większości wciąż uważają się za obywateli Syrii, choć Izrael zajął te tereny po wojnie sześciodniowej w 1967 r., a w 1981 r. formalnie je anektował. Jeszcze 10 lat temu nierzadkim widokiem w Madżdal Szams były portrety prezydenta Syrii Baszara Asada.

W grudniu 2024 r. powstałe na bazie Al-Kaidy milicje z Ahmadem Szarą na czele zajęły Damaszek i przepędziły Asada. Na dotychczas chronione w Syrii mniejszości padł strach, także na 700 tys. syryjskich Druzów zamieszkałych w prowincji Suwajda na południe od Damaszku. Wiosną tego roku doszło do krwawych starć między miejscowymi klanami Beduinów, wspartymi przez syryjską armię, a Druzami – setki z nich zginęło, w tym wiele dzieci.

Duchowy przywódca Druzów w Izraelu Muwaffaq Tarif w maju poprosił rząd Netanjahu o pomoc i interwencję, na co ten przystał i rozpoczął bombardowania. W lipcu Amerykanie doprowadzili do rozejmu i wycofania syryjskiego wojska z Suwajdy. Druzowie przejęli kontrolę nad prowincją, jednak tysiące wewnętrznych uchodźców wciąż nie wróciło do domów. Również Izrael nie wycofał się z zajętej strefy buforowej, zajmując pozycje do 15 km w głąb Syrii. W ten sposób kontroluje praktycznie całe południe Syrii i jednocześnie wspiera Druzów, traktując ich jak kartę przetargową w rozgrywce z Damaszkiem.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Ten kruchy spokój może pęknąć w każdej chwili. Druzowie mówią, że nowa wojna domowa w Syrii to tylko kwestia czasu. – *Oni mają czołgi i rakiety, my pistolety. Naszym obowiązkiem jest wsparcie dla naszych współbraci. To, co dziś dzieje się w Syrii, to wojna religijna, mniejszości są zmuszane do zmiany wyznania* – mówi Tarif, którego spotykamy w centrum druzyjskim w Julis w Galilei. Jego widok wzbudza ogromne poruszenie, wszyscy chcą się sfotografować z dystyngowanym szejkiem.

Tarif ma świetne relacje nie tylko z izraelskim rządem, lecz i z Amerykanami. To wnuk cieszącego się ogromnym szacunkiem nieżyjącego już Amina Tarifa, który również był duchowym przywódcą Druzów. W jego pogrzebie w 1993 r. uczestniczyli ówczesny prezydent Izraela Ezer Weizman i premier Icchak Rabin. Tarif senior jako jeden z zaledwie kilku nie-Żydów był laureatem Nagrody Izraela, najważniejszego wyróżnienia w tym kraju.

W Madżdal Szams, skąd Syria jest dosłownie na wyciągnięcie ręki, wciąż czuć napięcie. W lipcu tego roku, podczas kulminacji starć w Suwajdzie, ok. tysiąc miejscowych Druzów przedarło się na syryjską stronę z nadzieją na spotkanie z krewnymi. W 1967 r. nowa granica rozdzieliła wiele rodzin. Jedyną formą łączności było nawoływanie przez megafony na pobliskim Wzgórzu Krzyku.

W ostatnim czasie w miasteczku wiele się zmieniło. *W tej chwili już mniejszość uważa się za Syryjczyków. A patrząc na cierpienia Druzów w Syrii, coraz bardziej skłaniają się ku Izraelowi, który zapewnia bezpieczeństwo i stabilność* – przyznaje Dolan Abu Saleh, przewodniczący rady lokalnej w Madżdal Szams i burmistrz miasteczka. Nad siedzibą samorządu powiewa izraelska flaga, nie widać pięciokolorowej druzyjskiej. *Mniej więcej połowa z 12 tys. mieszkańców przyjęła izraelskie obywatelstwo, coraz więcej osób o nie aplikuje* – tłumaczy burmistrz. – *Jestem Izraelczykiem, jestem z tego dumny. Mam obywatelstwo izraelskie od urodzenia, moi rodzice też. Czuję w 100 proc. przynależność do państwa Izrael.*

Według najnowszych danych 20 proc. spośród 25 tys. Druzów na Wzgórzach Golan posiada izraelskie dowody osobiste. To jednak wciąż mało, biorąc pod uwagę liczne zachęty ze strony Państwa Izrael, któremu zależy na utrzymaniu status quo. Służyć temu miało również m.in. zatrudnianie w publicznych szkołach nauczycieli, którzy dbali, aby żadne prosyryjskie postawy nie były sączone do głów uczniów.

Skutki tej działalności władz izraelskich widać w innej sferze. Wprawdzie Druzowie ze Wzgórz Golan są zwolnieni z obowiązkowej służby wojskowej w Izraelu, ale w ostatnich latach coraz więcej z nich zgłasza się na ochotnika do służby zastępczej. – *Syria to chaos. Ludzie czują, że tylko Izrael jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwo, więc konflikt tożsamości się zmniejsza. Druzowie starają się po prostu odwdzięczyć temu, kto ich chroni* – wyjaśnia burmistrz Abu Saleh.

Druzowie z natury (i z historii) są pragmatyczni. *Przed wiekami osiedlali się na wzgórzach, bo to zapewniało im większe bezpieczeństwo. Ale również znani byli z lojalności wobec władz państwa, na którego terenie mieszkali* – wyjaśnia Walid Mansur, pułkownik rezerwy izraelskiej armii i pierwszy druzyjski ambasador, m.in. w Wietnamie, Peru i Boliwii, który służbie na rzecz Izraela poświęcił ponad 40 lat życia. Jego ojciec był pierwszym Druzem w stopniu oficera w izraelskiej armii, walczył w jej szeregach jeszcze przed wojną o niepodległość.

Szacuje się, że na świecie mieszka ok. 1 mln Druzów. W znakomitej większości na Bliskim Wschodzie, z tego ok. 150 tys. w Izraelu, większość w Galilei i na zboczach góry Karmel. Początki ich monoteistycznej religii wywodzącej się z szyickiego islamu sięgają XI w., chociaż oni sami nie uważają się za muzułmanów. Z tego powodu są zwalczani zarówno przez szyitów, jak i sunnitów.

Druzowie uznają proroków, w tym Jezusa, Mahometa i Mojżesza. Wierzą też w reinkarnację (ostatni oddech umierającego człowieka jest jednocześnie pierwszym, jaki bierze nowo narodzone dziecko) i wykluczają możliwość konwersji – Druzem można się jedynie urodzić. Nie ma wśród nich też zbyt wielu nawróceń na judaizm – w Izraelu to nieco ponad 100 osób. Etnicznie i kulturowo uważają się w większości za Arabów, ponieważ ich językiem ojczystym jest arabski. Ale to uproszczenie, bo np. izraelscy Druzowie mówią również po hebrajsku, co przecież nie czyni ich Żydami.

Izrael docenia ich lojalność. Izraelscy Druzowie od 1956 r. obowiązkowo służą w wojsku (poza kobietami), co pomaga im odnosić sukcesy zarówno w samej armii, jak i w dziedzinie kultury, nauki czy w polityce – należący do Likudu Ajub Kara był ministrem w rządzie Netanjahu, prezentując „jastrzębie" stanowisko w wielu kwestiach, m.in. w sprawie rozbudowy żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu czy protestując przeciwko wycofaniu się Izraela ze Strefy Gazy w 2005 r.

Mylić może inny fakt. W kilkunastu druzyjskich wioskach i miasteczkach na terenie Izraela w oczy rzucają się pomniki Sultana al-Atrasza, bohatera wojny o syryjską niepodległość, który w latach 20. XX w. doprowadził do obalenia francuskich rządów okupacyjnych. O ile jednak posągi Atrasza na Wzgórzach Golan jakoś można wytłumaczyć ciążeniem w kierunku Syrii, o tyle mniej zrozumiała jest jego obecność w galilejskiej wiosce Julis. Ale – jak tłumaczą mieszkańcy – mniej chodzi tu o przynależność narodową, bardziej o niekwestionowane męstwo i patriotyzm.

Przez izraelskich Żydów Druzowie traktowani są z szacunkiem, choć zdarza się, że brani są za izraelskich Arabów. Z identyfikacją łatwiej mają kobiety – biała charakterystyczna chusta na głowie symbolizuje mężatkę, chociaż w ostatnich latach coraz mniej Druzyjek decyduje się ją nosić. W druzyjskich społecznościach obowiązują proste zasady – liczy się ziemia, na której mieszkają, religia, honor, ale też najbliższy krąg, jakim jest rodzina, dopiero potem społeczność i szerzej kraj. W niewielkich skupiskach wszyscy się znają – obowiązuje polityka otwartych (dosłownie) drzwi.

Z tego poczucia wspólnoty wynika też specyficzny stosunek izraelskich Druzów do innych Druzów na Bliskim Wschodzie. Dość obrazowo oddaje to popularne w Izraelu porzekadło, że Druzowie są jak miedziany garnek – gdy uderzysz z jednej strony, dźwięk rozchodzi się po całym wnętrzu. – *Jeśli innym Druzom, np. w Syrii, dzieje się krzywda, czujemy odpowiedzialność* – dodaje pułkownik Mansur.

Wspomina, że kiedyś jako żołnierz został wezwany do sztabu generalnego, gdzie zapytano go o stosunek do innych Druzów. Odpowiedział, że tak jak syryjscy Druzowie mają prawo umierać za Syrię, a libańscy za Liban, tak izraelscy – za Izrael. Mansur uważa, że to po prostu odruch przetrwania. I chyba działa, skoro tej niewielkiej społeczności udaje się to już od ponad tysiąca lat. ■

eprasa.pl 53e0f75d2b

Cieplej, ale mądrzej

Minęła dekada od podpisania porozumienia paryskiego, a bitwa o zatrzymanie globalnego ocieplenia poniżej 1,5 st. C już została przegrana. Mimo to ludzkość zaczyna wreszcie iść w dobrym kierunku.

ANDRZEJ HOŁDYS

Gdy w grudniu 2015 r. podpisywano porozumienie paryskie, średnia temperatura na Ziemi była wyższa od temperatury z drugiej połowy XIX w. o ok. 1,1 st. C. W 2024 r. – już o 1,55 st. C. Ten rok jeszcze się nie skończył, a dane do końca października sugerują, że może być nieco chłodniejszy od poprzedniego. Wciąż jednak będzie należał do rekordowych w historii pomiarów.

Maksima z ostatnich lat błyskawicznie przyspieszają moment oficjalnego ogłoszenia przez klimatologów, że oto w porównaniu z epoką przedprzemysłową świat stał się cieplejszy o 1,5 st. C – wartość wyznaczającą przekroczenie pierwszego progu klimatycznego bezpieczeństwa. W chwili podpisywania porozumienia paryskiego zakładano, że ludzkość dzielą od niego co najmniej trzy dekady – zdawało się, że jest dość czasu na utrzymanie w ryzach globalnego ocieplenia. Unijny serwis klimatyczny Copernicus wskazywał wtedy, opierając się na danych historycznych i symulacjach, że jeśli nic nie zrobimy, granica zostanie przekroczona w 2042 r. Dziś widać, że scenariusz był zbyt optymistyczny. Obecne prognozy mówią o maju 2029 r. Trzy dekady skróciły się do trzech lat. Podobne wyliczenia ogłosił też międzynarodowy zespół Global Carbon Project złożony z ok. 120 naukowców.

W praktyce osiągnęliśmy próg 1,5 st. C już teraz – średnie temperatury miesięczne oscylują wokół niego od lipca 2023 r. Klimatolodzy pozostają jednak ostrożni i poczekają kilka lat, aby ogłosić trwałe przekroczenie granicy, którego następstwem może być rozchwianie całego systemu klimatycznego i uruchomienie procesów przyspieszających ocieplenie oraz fali sprzężeń zwrotnych podkręcających tempo wzrostu temperatur.

To tempo jest już teraz ponaddwukrotnie większe niż 100 lat temu. W pierwszej połowie XX w. świat ocieplał się z każdą dekadą o ok. 0,1 st. C, po czym nastąpiła krótka przerwa. Ok. 50 lat

eprasa.pl 53e0f75d2b

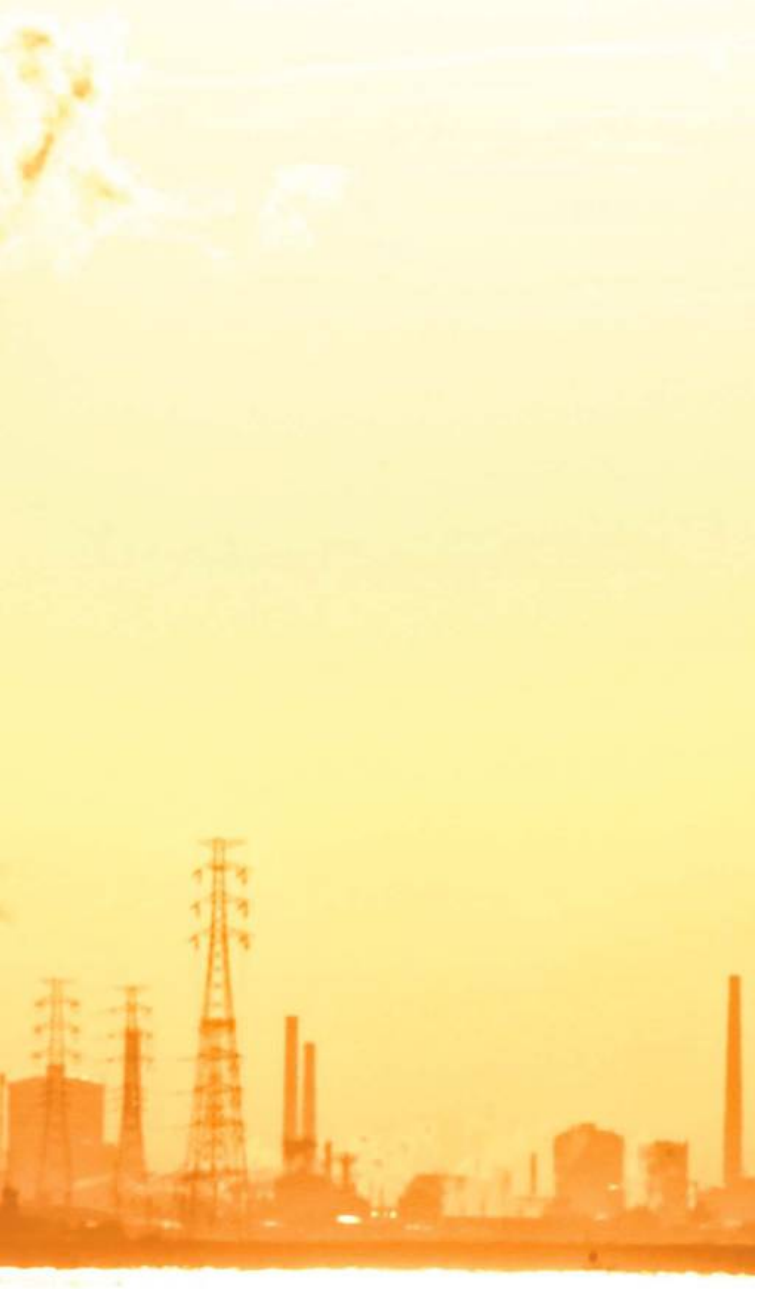

© BUDDHIKA WEERASINGHE/GETTY IMAGES

temu trend przyspieszył do 0,2 st. C na dekadę. W rezultacie zaraz przekroczymy pierwszy ostry zakręt klimatyczny (1,5 st. C), a jeśli nie spowolnimy wzrostu emisji, za kolejne dekady czeka nas drugi, jeszcze ostrzejszy wiraż (2 st. C).

Zimny prysznic

Wahania temperatury nie są nowością. Przed 20 tys. lat temperatura na Ziemi spadła do ok. 8 st. C, a dużą część Europy pokrył lądolód. Potem ciepło powróciło, a temperatura podniosła się o 6–7 st. C. Trwało to jednak ponad 10 tys. lat. Zdarzały się też gwałtowniejsze zmiany, jak przed 13 tys. lat na początku kryzysu klimatycznego nazwanego Młodszym Dryasem, gdy temperatury w Europie spadły o 5–6 st. C w ciągu ok. 100 lat. Przyczyną było zniknięcie prądów morskich w Atlantyku ogrzewających nasz kontynent. Jednak tak szybkie zmiany zdarzają się rzadko i traktowane są jak kataklizmy – wyobraźmy sobie powtórkę z Młodszego Dryasu. To byłby szok dla naszej cywilizacji, która powstała w stabilnym klimacie holocenu i nie zna innego środowiska.

Mimo to zaczęliśmy prowokować naturę. Naukowcy już pół wieku temu ostrzegali, że antropogeniczne emisje gazów cieplarnianych mogą doprowadzić do załamania klimatu. W 1985 r. podczas konferencji w Villach w Austrii pojawił się pomysł powołania Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatycznych (IPCC).

Klimat stał się tematem gorącym politycznie, społecznie i ekonomicznie. Już pierwszy raport IPCC z 1990 r. wzbudził spore zainteresowanie. Odegrał kluczową rolę w podpisaniu dwa lata później Ramowej Konwencji ONZ w sprawie zmian klimatu, Coroczne konferencje sygnatariuszy, zwane szczytami klimatycznymi, są głównym forum, podczas którego podejmowane są próby powstrzymania galopady temperatur. Pierwszą był protokół z Kioto podpisany w 1997 r. i obligujący kraje rozwinięte do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych. Nic z tego nie wyszło. Stany Zjednoczone go nie ratyfikowały, Rosja zrobiła to ze znacznym opóźnieniem, a Chiny... zwiększyły emisje trzykrotnie.

Dla klimatologów był to zimny prysznic. Kolejne szczyty klimatyczne nie przyniosły przełomu . Nie pomogła nawet Nagroda Nobla dla IPCC w 2007 r. Emisje dwutlenku węgla rosły w szalonym tempie, osiągając w 2010 r. poziom blisko 40 mld ton (w tym bilansie uwzględniane są emisje związane z użytkowaniem ziemi, głównie z wylesieniami). Na szczęście połowę z tego, co dorzucaliśmy do atmosferycznego pieca, przejmowały rośliny i oceany. Reszta powiększała jednak rozmiary antropogenicznej nadwyżki gazów ogrzewających planetę, szacowanej obecnie na mniej więcej 1 bln ton dwutlenku węgla, którą trzeba uzupełnić o metan i inne emitowane przez nas związki węgla.

Przełom nastąpił dopiero w grudniu 2015 r., kiedy na szczycie w Paryżu niemal 200 państw zobowiązało się do powstrzymania globalnego wzrostu temperatur. Ustalono, że wzrost nie powinien przekroczyć 2 st. C, licząc od początku epoki przemysłowej, a najlepiej pozostać poniżej 1,5 st. C. Zdecydowano, że każdy kraj sam określi swój wkład w redukcję emisji gazów cieplarnianych, jednak składanie raportów z realizacji tego celu – nazwano go NDC (ang. *nationally determined contribution*) – było już obowiązkowe. Zakładano, że do 2030 r. emisje uda się zmniejszyć o 45 proc. i w ten sposób utrzymać wzrost temperatur na Ziemi poniżej progu 1,5 st. C.

Co zostało z tego planu po dziesięciu latach? Niewiele. Gdy większość państw przedstawiła swoje wstępne wersje NDC, okazały się mało ambitne. Ich realizacja doprowadziłaby do wzrostu temperatury do końca tego stulecia o ok. 3 st. C w porównaniu z początkiem epoki przemysłowej. Przygnębiające były również wnioski z raportu IPCC z 2018 r. Naukowcy stwierdzili, że gazy cieplarniane, które już są w atmosferze, podniosą temperaturę o kolejne pół stopnia w ciągu kilku dekad, nawet gdyby ludzkość wstrzymała wszystkie emisje. Prognozowali, że próg 1,5 st. C zostanie przekroczony ok. 2040 r., a jedyny scenariusz, który mógłby temu zapobiec, zakładał równoczesne zmniejszenie emisji o połowę w ciągu dekady oraz masowe wdrożenie technologii wychwytywania dwutlenku węgla wprost z atmosfery. Dziś wiemy już, że pierwszy z tych szańców nie zostanie utrzymany.

Gazów cieplarnianych w atmosferze nadal bowiem przybywa. W 2025 r. ich emisje będą o 10 proc. wyższe niż w 2015 r. i o 1,1 proc. większe niż w 2024 r. – oszacowali badacze z Global Carbon Project. W liczbach bezwzględnych oznacza to 38,1 mld ton ▶

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ dwutlenku węgla, pochodzącego głównie ze spalania węgla kamiennego, ropy naftowej i gazu ziemnego. Udział tych trzech surowców w emisjach wyniesie odpowiednio 15,9 mld, 12,6 mld i 8,1 mld ton, a resztę dołożą cementownie. W tym bilansie trzeba uwzględnić także emisje szacowane na 4,1 mld ton związane z użytkowaniem ziemi, czyli głównie z wylesieniami oraz ekspansją rolnictwa, miast i infrastruktury technicznej. „Łącznie daje to 42,2 mld ton, czyli nieco mniej niż rok temu, a to dlatego, że od lat systematycznie spadają emisje wynikające z użytkowania ziemi. To przede wszystkim zasługa sadzenia nowych lasów oraz przywracania starych, które wcześniej zostały zdegradowane" – podkreślają badacze.

Szybciej, szybciej!

Oczywiście przy takiej skali emisji bitwa o 1,5 st. C jest już w zasadzie przegrana. Jednak nie musi to oznaczać przegrania całej wojny, a utracony szaniec może zostać odzyskany w ciągu paru dekad. W latach 2015–25 łączne emisje rosły średnio o 0,3 proc. rocznie – znacząco wolniej niż w poprzedniej dekadzie, gdy tempo wzrostu wynosiło średnio 1,9 proc. rocznie.

Warto odnotować ten fakt, zamiast niemal każdy szczyt klimatyczny kwitować słowem „fiasko". Jeszcze dekadę temu dość powszechnie obawiano się czarnych scenariuszy, w których temperatura na Ziemi podnosiłaby się o 4–5 st. C, a nawet więcej, do końca XXI w. Dziś większość modeli pokazuje wzrost w granicach 2,5–3 st. C – wciąż zdecydowanie za dużo, ale znacznie bliżej celu wyznaczonego w porozumieniu paryskim. W 2015 r. Międzynarodowa Agencja Energetyczna publikowała dość przerażające prognozy na 2040 r., według których świat miał wyemitować 50 mld ton dwutlenku węgla. W najnowszych scenariuszach tej organizacji mowa jest o 30 mld ton. Niektórzy eksperci Agencji nie wykluczają skorygowania tej prognozy w ciągu kilku lat, jeśli się okaże, że ludzkość uwalnia się od paliw kopalnych szybciej, niż dotąd przewidywano.

Szybciej – to kluczowe słowo, które powtarza się w większości raportów opublikowanych przed ostatnim, listopadowym szczytem COP30 w Belém w Brazylii z okazji 10-lecia porozumienia paryskiego. Liczący ponad 100 stron dokument „State of Climate Action 2025", przygotowany przez World Resources Institute, ocenił postępy „na drodze ku 1,5 st. C" za pomocą 45 wskaźników opisujących rozmaite przejawy aktywności człowieka wpływające na emisje gazów cieplarnianych – od produkcji energii elektrycznej, poprzez ocieplanie budynków, masowy transport towarów i przewóz ludzi, aż po hodowlę zwierząt. Doceniono rozpowszechnienie i spadek kosztów produkcji zielonej energii – na nią przypadły trzy czwarte nowych mocy przyłączonych do sieci w 2024 r. Autorzy raportu stwierdzili, że w przypadku 35 wskaźników sprawy idą w dobrym kierunku, czasami nawet szybciej niż spodziewano się dekadę temu. Jednak wszystko to odbywa się wciąż w tempie typowym dla zwykłej transformacji jednego systemu energetycznego w drugi, co trwa zwykle 50–70 lat. Raport podkreśla, że aby w dłuższym okresie utrzymać wzrost temperatur poniżej 1,5 st. C, przechodzenie na energetykę odnawialną musi odbywać się dziewięciokrotnie szybciej, wdrażanie technologii wychwytywania gazów cieplarnianych z powietrza dziesięciokrotnie szybciej, a redukcja konsumpcji mięsa w krajach wysoko rozwiniętych – pięciokrotnie szybciej.

Niespodziewanie w gronie największych optymistów klimatycznych odnalazł się Bill Gates, który przez dekady postrzegał wzrost temperatury na Ziemi jako jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla ludzkości, wspierając miliardami dolarów naukowców i firmy opracowujące rozwiązania, mające – jak mówił jeszcze niedawno – „uratować świat przed katastrofą klimatyczną". Tymczasem pod koniec października założyciel Microsoftu opublikował niespodziewanie kilkunastostronicowy manifest, w którym napisał, że choć nadal uważa zmiany klimatyczne za poważny problem, to jego zdaniem ludzkość wkrótce upora się z tym wyzwaniem dzięki innowacjom, a obecnie największym wyzwaniem jest szybka poprawa jakości życia i zdrowia mieszkańców krajów biednych oraz wzrost ich dochodów. „To nie sama zmiana klimatu stanowi dla nich największe zagrożenie, lecz fakt, że z powodu braku zasobów nie są w stanie się do niej zaadaptować. Rolnicy z Afryki Subsaharyjskiej nie mają czasu czekać, aż klimat na Ziemi się ustabilizuje. Muszą już dziś zwiększyć dochody, by wykarmić i wzmocnić swoje rodziny" – napisał, a w jednym z wywiadów dodał: „Gdybym miał do wyboru ograniczone fundusze, zgodziłbym się na wzrost temperatury na globie o 0,1 st. C w zamian za wykorzenienie malarii z naszej planety".

Jeszcze nie koniec świata?

Odpowiedź była natychmiastowa. „Błędne jest przekonanie, że walka z ociepleniem klimatu musi się odbywać kosztem zdrowia i dobrobytu mieszkańców krajów tropikalnych. To fałszywa dychotomia. Jest odwrotnie: w ocieplającym się świecie pokonanie malarii stanie się jeszcze trudniejsze" – napisał w „Nature" znany klimatolog Michael Mann. Zżymał się przy tym na miliardera, że argumenty w stylu „zmiana klimatu to poważny problem, ale jeszcze nie koniec świata" dostarczają paliwa sceptykom klimatycznym, podczas gdy Ziemia przekracza kolejne punkty krytyczne i w każdej chwili sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Ostrzega przed tym m.in. 500-stronicowy raport „Global Tipping Points Report 2025", przygotowany pod koniec października przez 160 naukowców.

Gates ripostował, że jego krytycy zachowują się tak, jakby nie dostrzegali, iż pieniądze mają kluczowe znaczenie – zwłaszcza że po cięciach programów pomocowych przez USA jest ich dziś mniej niż wcześniej. Finanse były zresztą jednym z głównych tematów szczytu w Belém. Świat wydaje bowiem coraz więcej na powstrzymanie zmian klimatycznych, ale wciąż zbyt mało na dostosowanie się do nich. Tymczasem kraje biedniejsze potrzebują przede wszystkim środków adaptacyjnych, aby uodpornić się na skutki szalejącego klimatu, którego same przecież nie sprowokowały. Prawdą jest, że w cieplejszym świecie ekstremalne zjawiska będą zdarzać się częściej, jednak ich śmiertelność i skala zniszczeń zależeć będą przede wszystkim od jakości opieki medycznej, sprawności służb ratunkowych, stanu budynków, wytrzymałości infrastruktury technicznej oraz wielu innych czynników, w tym poziomu zamożności mieszkańców. Katastrofa naturalna uderza średnio dziesięć razy silniej w PKB kraju biednego niż bogatego.

Niestety, w Belém nie zapadły żadne konkretne ustalenia – ani w sprawie funduszu adaptacyjnego (poza przesunięciem jego startu na 2035 r.), ani harmonogramu odchodzenia od paliw kopalnych, ani działań powstrzymujących masowe wylesiania. Z tego powodu część państw zagroziła zerwaniem szczytu. Ostatecznie podpisano deklarację końcową – i był to jedyny sukces tegorocznej konferencji.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 53e0f75d2b

KRAJ KWITNĄCEJ WIŚNI

KUP TERAZ

W sprzedaży

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 53e0f75d2b

Trzy schody do starości

Nauka zaczyna zupełnie inaczej widzieć to, co z biegiem lat dzieje się w naszych organizmach – mówi dr Maja Olecka z Instytutu Leibniza ds. Badań nad Starzeniem w Jenie.

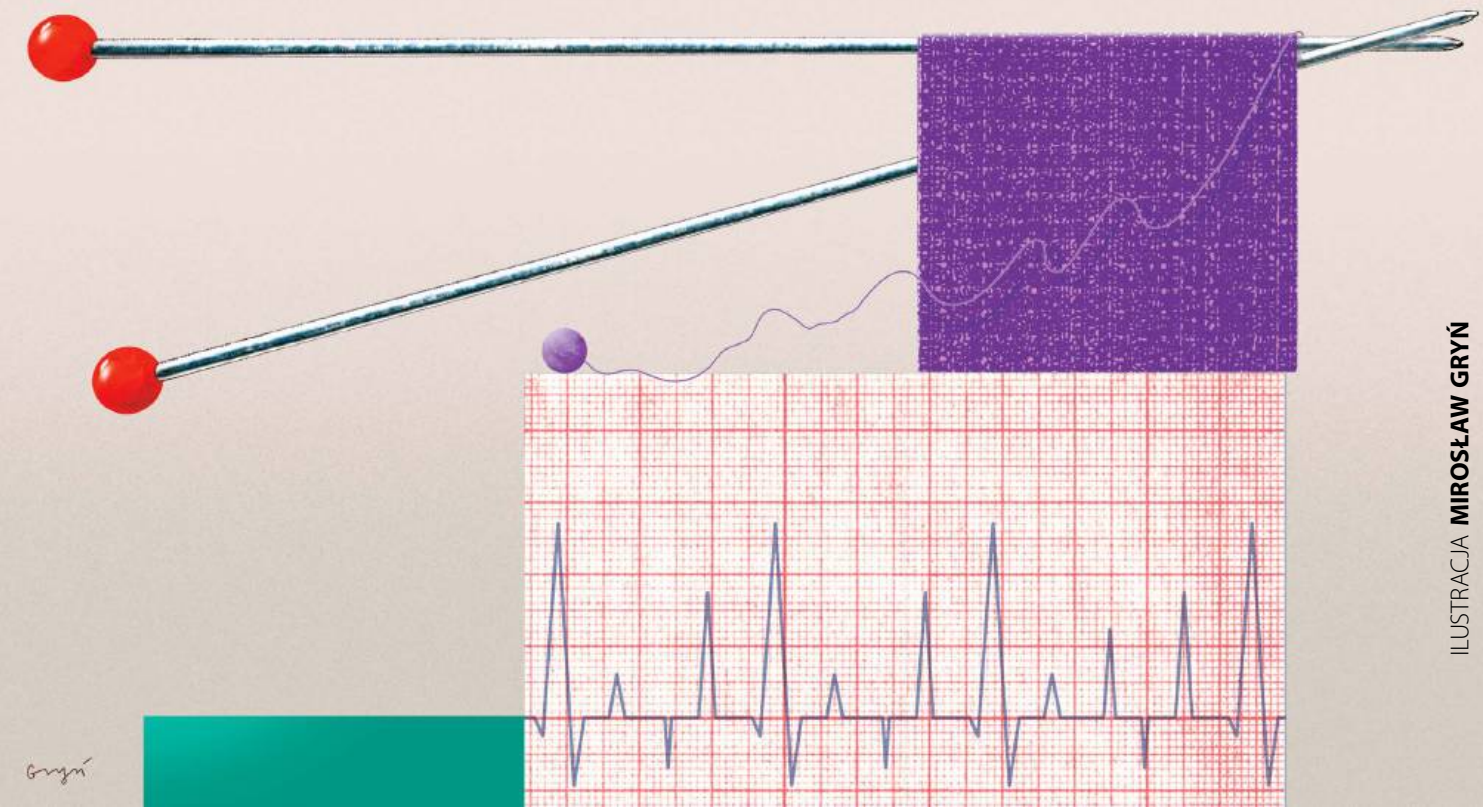

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Starzenie się to nieuchronne zsuwanie się organizmu po równi pochyłej. Czy taki opis jest wciąż aktualny?**

MAJA OLECKA: – Nie. Zdecydowanie bardziej przypomina ono schody.

Z iloma stopniami?

Co najmniej trzema. A mówiąc mniej metaforycznie, chodzi o wyraźne tąpnięcia kondycji organizmu, takie punkty zwrotne w życiu człowieka. Pierwszy około czterdziestki, drugi w wieku ok. 60 lat, a trzeci ok. 80. roku życia.

To nowa teoria?

Owszem. Tradycyjny pogląd, obecny w literaturze naukowej od lat, opisuje starzenie jako proces stopniowy i postępujący. Coraz więcej dowodów naukowych podważa jednak taki model, wskazując właśnie na istnienie gwałtownych, nieliniowych zmian w organizmie. Cała dziedzina badań nad starzeniem zbliża się do punktu zwrotnego, ponieważ coraz wyraźniej zaczynamy dostrzegać tę nieliniowość, co daje zupełnie nowe spojrzenie.

Kiedy doszła pani do wniosku, że dotychczasową wiedzę trzeba zrewidować?

Impulsem okazała się analiza danych z badania na myszach, które w przeciwieństwie do standardowych prac porównujących tylko młodość i starość gryzoni, obejmowało wiele punktów w ciągu ich całego życia. Zauważyłam pewne wyraźne skoki. Zaintrygowało mnie to, ponieważ wcześniej nie spotkałam się z takimi wynikami w literaturze naukowej, ale nie mogłam znaleźć żadnego artykułu przeglądowego na ten temat.

Dopiero dzięki głębszym poszukiwaniom dotarłam do pojedynczych badań, które potwierdzały moje obserwacje. Jedno z pierwszych przeprowadzili naukowcy z Uniwersytetu Stanforda. Analizując białka osocza krwi, odkryli, że zmiany w trakcie życia nie postępują liniowo, lecz falami. Udało im się zidentyfikować trzy: pierwszą w wieku ok. 36 lat, drugą ok. 60 i trzecią, najbardziej intensywną, ok. 78. roku życia. Niedawno zaś inna grupa badawcza, również ze Stanforda, przeanalizowała wiele procesów biologicznych i zaobserwowała dwie fale zmian w podobnym wieku, czyli ok. 44 i 60 lat.

Warto jednak podkreślić, że nie chodzi o całkowite odejście od modelu linio-

eprasa.pl 53e0f75d2b

wego. Stopniowe procesy również odgrywają rolę w starzeniu. Nowością jest to, że zaczynamy postrzegać je jako mieszankę zarówno liniowych, jak i tych skokowych. To zaś zmusza do zadania nowych pytań. Co powoduje skoki? Czy są wynikiem wyczerpania się naturalnych „systemów buforowych" organizmu, czyli mechanizmów obronnych i naprawczych, których zadaniem jest utrzymanie wewnętrznej równowagi? Czy może są w pewnym stopniu zaprogramowane, podobnie jak menopauza? Znalezienie odpowiedzi jest teraz jednym z najważniejszych wyzwań w badaniach nad starzeniem.

Mówiąc o „systemach buforowych" organizmu, co konkretnie ma pani na myśli?

Należą do nich m.in. mechanizmy chroniące przed stresem oksydacyjnym, czyli stanem, w którym zachwiana zostaje równowaga między powstawaniem szkodliwych wolnych rodników tlenowych a zdolnością do ich neutralizacji. W rezultacie dochodzi do uszkodzeń komórek, DNA, białek i tłuszczów, a w konsekwencji do przedwczesnego starzenia czy pogorszenia zdrowia, a nawet rozwoju chorób. Chodzi również o systemy proteostazy, czyli pilnujące, aby białka w komórkach były prawidłowo uformowane, oraz usuwające te, które są uszkodzone. A także o mechanizmy naprawiające uszkodzenia DNA. Na tym etapie badań nie jesteśmy jednak w stanie stwierdzić, czy awaria któregoś z nich jest głównym zapalnikiem dla całego procesu starzenia.

Wspomniała pani o myszach, ale w jednej z publikacji natknąłem się na bardzo ciekawy opis muszek owocowych nazwanych przez naukowców „smerfami". Ich los też wskazywał na skokowość zmian.

To eksperyment z 2011 r. Aby zmierzyć ilość spożywanego przez owady pokarmu, dodawano do niego niebieski barwnik. Okazało się, że po osiągnięciu pewnego wieku jelita muszek stawały się nieszczelne, przez co barwnik przenikał do jam ich ciała i je zabarwiał, dlatego nazwano je „smerfami". Było to niezawodnym wskaźnikiem, że dany owad wkrótce umrze. Badaczy zaskoczyła gwałtowność przemiany w „smerfa", której towarzyszyły klasyczne objawy starości, jak spadek aktywności ruchowej. Odkrycie to pozwoliło sformułować hipotezę, że proces starzenia się u muszek jest dwufazowy – po długim okresie powolnego pogarszania się stanu organizmu następuje nagłe załamanie prowadzące do śmierci.

Wróćmy do ludzi. Ile może być w naszym życiu tych punktów zwrotnych? I czy zależą od predyspozycji genetycznych, środowiska, stylu życia?

Progi wiekowe należy traktować jako wartości orientacyjne. Bardzo możliwe, że na obecnym, początkowym etapie badań jesteśmy w stanie wykryć jedynie trzy najbardziej intensywne zmiany. W przyszłości, dysponując większą ilością danych, być może dostrzeżemy także inne, bardziej subtelne. Mamy również wstępne przesłanki, że skoki da się w pewnym stopniu przesuwać. Dlatego liczba i moment ich wystąpienia mogą być w jakimś zakresie kwestią indywidualną. Warto również podkreślić, że organy i układy w ciele starzeją się w różnym tempie, co zależy od osobistych predyspozycji. U jednych będą to nerki, u innych wątroba lub układ odpornościowy.

Dlatego zaczniemy coraz bardziej odchodzić od uniwersalnego modelu starzenia na rzecz spersonalizowanego „terminarza zmian", opartego na unikalnych biomarkerach danej osoby, czyli wskaźnikach kondycji organizmu.

Co dokładnie dzieje się w ciałach ludzi podczas „gwałtownych zrywów starzenia"? Czy jest to kaskada zmian – od gorszego metabolizmu alkoholu, przez kondycję mięśni, po ryzyko chorób sercowo-naczyniowych?

Z dostępnych badań wynika, że rzeczywiście mogą być one powiązane z konkretnymi zmianami w funkcjonowaniu organizmu. Na przykład pierwszy skok, obserwowany ok. 40. roku życia, jest kojarzony z metabolizmem tłuszczów i alkoholu, a drugi, w okolicach 60. roku życia, z układem odpornościowym. Na razie są to jednak obserwacje oparte na analizach statystycznych, bo nie mamy jeszcze badań, które pokazywałyby faktyczny, bezpośredni wpływ tych skoków np. na to, jak dana osoba metabolizuje alkohol. ▶

REKLAMA

▶ Czy jeden skok może napędzać pozostałe?

Często pojawia się pytanie o efekt domina. Myślę, że jest to bardzo prawdopodobne. Wcześniejsze zmiany wpływają na późniejsze. Na razie jednak nie było to badane.

Może zatem istnieć jakiś jeden kluczowy mechanizm wyzwalający te skoki?

Mamy dziś dwie główne hipotezy, które próbują to wyjaśnić. Pierwsza zakłada, że w organizmie nieustannie kumulują się drobne uszkodzenia, a „systemy buforowe" utrzymują równowagę. Dopiero gdy ilość tych uszkodzeń przekroczy pewien punkt krytyczny, systemy zostają przytłoczone i dochodzi do nagłej, skokowej zmiany. Można to porównać do tamy, która pęka pod naporem zbyt dużej ilości wody. Według alternatywnej hipotezy skoki te mogą być do pewnego stopnia zaprogramowane w rozwoju człowieka, podobnie jak menopauza.

Jaki ewolucyjny sens miałoby zaprogramowanie takiego mechanizmu? Innymi słowy, po co tworzyła go natura?

To niewątpliwie jedna z wielu białych plam w wiedzy na temat starzenia.

Którą z tych dwóch hipotez uważa pani za bardziej prawdopodobną?

Myślę, że może to być mieszanka różnych mechanizmów, co tylko podkreśla, jak bardzo złożonym procesem jest starzenie. Dlatego na tym etapie badań nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy i co byłoby tym jednym, kluczowym czynnikiem oraz czy został on zaprogramowany.

Czy wcześniejsze lub bardziej gwałtowne przejście np. przez pierwszy „zryw starzenia" determinuje to, jak poradzimy sobie z kolejnym skokiem ok. 20 lat później?

To logiczne pytanie. Intuicyjnie moglibyśmy zakładać, że taka zależność istnieje, ale nauka nie zna odpowiedzi. To jeden z tych fascynujących obszarów, które – mam nadzieję – zbadamy w nadchodzących latach.

Czy będzie kiedyś możliwe odwracanie procesu starzenia?

Bardziej realistyczną opcją wydaje mi się opóźnianie lub oddalanie tych skoków w czasie niż ich całkowite blokowanie czy odwracanie. Zapewne za pomocą nowej klasy leków, których sposób działania będzie zależeć od tego, jaki mechanizm leży u podstaw zrywów starzenia. Jeśli główną przyczyną jest załamanie systemów buforowych, to oczywiście ich wzmacnianie miałoby sens. Jeśli jednak te procesy są w pewnym stopniu genetycznie zaprogramowane, to ich „przeprogramowanie" będzie zadaniem o wiele bardziej skomplikowanym. Ja uważam, że w perspektywie najbliższych lat powinniśmy skupić się raczej na bardziej realnym celu, jakim jest opóźnianie tych gwałtownych przejść.

© MP

Dr **Maja Olecka** specjalizuje się w epigenetyce (śledzeniu zmian w ekspresji genów, które nie polegają na modyfikacji sekwencji DNA) i badaniu procesów starzenia, łącząc biologię molekularną z zaawansowaną analizą danych. Edukację rozpoczęła w Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu, gdzie obroniła licencjat z biotechnologii medycznej. Tytuł magistra medycyny molekularnej uzyskała w słynnym szpitalu klinicznym Charité w Berlinie. Doktorat obroniła w Instytucie Leibniza ds. Badań nad Starzeniem w Jenie, gdzie obecnie pracuje na stanowisku postdoca.

A czy któraś z już dostępnych substancji wydaje się obiecująca w tym kontekście? Na przykład Ozempic, czyli semaglutyd, obecnie stosowany w leczeniu otyłości, podobno może również opóźniać starzenie.

Nie mamy jeszcze odpowiedzi na zasadnicze pytanie: czy tego typu leki faktycznie spowalniają uniwersalne procesy starzenia, czy tylko niwelują negatywne skutki otyłości? Wiadomo bowiem, że otyłość przyspiesza starzenie, więc poprawa pod tym względem będzie wyglądać jak opóźnianie tego procesu.

Ponadto w przypadku każdej interwencji przeciwstarzeniowej, którą mielibyśmy stosować prewencyjnie przez wiele lat, kluczowe są długofalowe badania kliniczne. A leki z tej grupy mają skutki uboczne, więc musimy być pewni, że korzyści przewyższą potencjalne ukryte koszty zdrowotne. Tym bardziej że historia uczy nas ostrożności. Weźmy restrykcje kaloryczne – to jedna z najlepiej poznanych interwencji wydłużających życie u zwierząt. Skutek zależy od etapu, na którym ją wprowadzimy. Zastosowana w młodości prawdopodobnie wydłuży życie, ale w starszym wieku może być wręcz szkodliwa. Co więcej, znaczne zmniejszenie spożycia kalorii, nawet w odpowiednim czasie, ma swoją cenę, np. w postaci problemów z płodnością. Dlatego, choć medialne doniesienia brzmią bardzo obiecująco, to byłabym bardzo ostrożna z ogłaszaniem Ozempicu uniwersalnym lekiem na starość.

Podkreśla pani, jak dużo mamy białych plam w wiedzy na temat starzenia. Którą z nich chce wypełnić zespół naukowców, w którym pani pracuje?

Wykorzystujemy istniejące i tworzymy nowe metody bioinformatyczne w celu lepszego zrozumienia regulacji aktywności genów w procesie starzenia. Chcemy też, w kontekście „punktów zwrotnych", rozszerzyć analizy na różne organy ciała, aby porównać trajektorie starzenia w odmiennych częściach organizmu. Zamierzamy również sprawdzić, jak przebiegają te procesy w kontekście płci oraz rozszerzyć badania na populacje ludzkie, bo na razie pracujemy na modelu mysim.

Procesy starzenia są niezwykle skomplikowane i wieloczynnikowe. Czy używa pani narzędzi AI do ich analizy?

Na razie korzystamy z bardziej tradycyjnych metod uczenia maszynowego, np. modelowania statystycznego. Za ich pomocą tworzymy choćby tzw. zegary epigenetyczne. Można je sobie wyobrazić tak: w naszym DNA przez całe życie zachodzą drobne zmiany chemiczne. Program komputerowy, analizując ich wzorce, potrafi z dużą dokładnością nie tylko określić, ile dana osoba ma lat w dowodzie, ale również faktyczny, czyli biologiczny wiek organizmu. Innymi słowy, pozwalają sprawdzić, czy ktoś starzeje się szybciej, czy wolniej w porównaniu ze swoimi rówieśnikami.

W przyszłości zaś bardziej zaawansowane narzędzia AI na pewno znajdą u nas zastosowanie. Sztuczna inteligencja przyda się np. do zintegrowania ogromnych ilości danych z różnych badań odmiennych procesów biologicznych, co pozwoli wyciągać bardziej uniwersalne wnioski i lepiej rozumieć niezwykle skomplikowane zależności. I być może znaleźć jakieś remedium na to, czego wszyscy chcielibyśmy uniknąć: postępującej niedołężności fizycznej czy mentalnej.

MARCIN ROTKIEWICZ

eprasa.pl 53e0f75d2b

POLITYKA NA PRZEŁOMIE ROKU

Specjalny **numer świąteczny** na dwa tygodnie.

148 stron i mnóstwo tekstów wartych lektury:

- Święta z AI
- Duchowość bez religii
- Test na Polaka
- Największe afery w III RP
- Tradwife, czyli żona prawicowa
- Tablice długości życia
- Stadiony – katedry
- Z dziejów lenistwa
- Zapomniana wdowa po Chopinie
- Podsumowania roku 2025

...i wiele innych

W sprzedaży od środy 17 grudnia

Specjalny **numer noworoczny** na dwa tygodnie.

148 stron i masa tekstów na dobry początek roku:

- Prognozy na 2026 rok
- Polska lista płac
- Przyszli władcy Kremla
- Maksymy i bonmoty polityków, które zapisały się w historii
- Nowe chwyty polityki
- Bez drona ani rusz
- Nowa moda: dania superostre
- Liczba roku: bilion
- Nieśmiertelność w laboratoriach
- Rok dwóch „Lalek”
- Śmierć polskiego rapu?

...i wiele innych

W sprzedaży już od wtorku 30 grudnia

Kawia kontratakuje

Historia naszych słowników, zielników i podręczników dowodzi, że język opisu przyrody zawsze był tworem uczonych, nie ludu. Polemika z tekstem „Znak orłana" (POLITYKA 46).

PIOTR PANEK

Niedawny artykuł profesorów Wojciecha Piaseckiego i Tomasza Heesego kończy się wezwaniem do Rady Języka Polskiego o obronę nazwy naszego herbowego ptaka, czyli orła bielika. Generalnie tekst ten reprezentuje pogląd, że polskie nazwy zwyczajowe organizmów nie powinny być zmieniane przez pojedynczych ekspertów. Niepochlebne opinie o aktualizacji zaproponowanej w 2015 r. przez Włodzimierza Cichockiego i współpracowników, a wydanej przez Muzeum i Instytut Zoologii PAN, nie są rzadkie. Również znany popularyzator przyrody Adam Wajrak nie jest nią zachwycony.

Opinie można mieć i wyrażać. Heese może podpierać je własnym autorytetem jako współautor słownika polskiego nazewnictwa ryb. Jednak za opiniami powinna stać argumentacja. Mam wrażenie, że choć negatywne zdanie o propozycjach nowych nazw organizmów podzielają osoby o odmiennych światopoglądach, to w tym jednym zakresie rzecz daje się sprowadzić do płytkiego konserwatyzmu. Odnosi się on nie do realiów, lecz do przefiltrowanych przez własne poglądy wyobrażeń o przeszłości. Tymczasem tradycja jest o wiele bardziej barwna.

Widzenia upośledzenie

Piasecki i Heese zaczynają tezą, skądinąd prawdziwą, że nazewnictwo gatunków jest regulowane kodeksami taksonomicznymi, a nazwy w językach narodowych są tylko zwyczajowe. Gatunków żyją miliony, większość jest znana tylko wąskiemu gronu specjalistów, więc tylko niewielki wycinek ma lokalne nazwy, takie jak dąb szypułkowy (nazwa naukowa *Quercus robur* L 1753) czy niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos* Linnaeus 1758). Skoro zaś nawet one nie są oficjalne w świecie nauki, to ma nimi rządzić zwyczaj. Naukowcy używają nazw z kodeksów, reszta ludzkości nie potrzebuje tak precyzyjnego słownictwa. Autorzy jako przykład przywołują parazytologię. Znane ze szkoły tasiemce, glisty i owsiki mają polskie nazwy, ale większość pasożytów obywa się bez nich. Jednak w ten sam sposób można by zrezygnować z polskich nazw mchów czy owadów.

Wymyślanie nowych nazw autorzy nazwali nadgorliwością i zaśmiecaniem języka. Moim zdaniem brak swojskiego nazewnictwa zubaża język. Nie trzeba odwoływać się do Wittgensteina, żeby zauważyć, że brak nazw upośledza postrzeganie różnorodności świata, sprowadzając przyrodę do bezkształtnej masy „traw", „chwastów" i „robaków". Nie mam złudzeń, że wszyscy przyswoją nazwę płaskomerzyk kończysty łatwiej niż *Plagiomnium cuspidatum*. Przypuszczam jednak, że widząc tę pierwszą w broszurce parku miejskiego, zwrócą na nią uwagę jako na coś realnego.

Autorzy nie zakazują polskich nazw. Protestują przeciw tym „sztucznym". Pół biedy, gdyby nazwy tradycyjne były naprawdę pochodzenia ludowego, sięgającego języka protoindoeuropejskiego czy przynajmniej prasłowiańskiego – jak mysz, pszczoła lub niedźwiedź. Jednak to nie lud wymyślił nazwy ryb, które w swoim słowniku uwzględnił Heese.

Europejskie taksonomie ludowe niosą ślady zielników i bestiariuszy Arystotelesa, Dioskurydesa czy Awicenny. Mickiewicz mógł deklarować, że ceni wiarę i czucie ludu bardziej niż szkiełko i oko Śniadeckich, ale gdy przyszło do szukania metafory dla Wallenroda, porównał go do grzyba kryptogamego, zgodnie z ówczesną taksonomią prosto z paryskiej akademii. Beletrystyka XX-wieczna pełna jest wymoczków, bakcyli czy korzeniionóżek. Terminologia akademicka zawsze kształtowała język codzienny. Nazwy, do których przyzwyczajeni są językowi konserwatyści, kiedyś były sztuczne.

Autorów widzimisię

Piasecki i Heese twierdzą, że pomysły, aby nazewnictwo narodowe naśladowało system nazewnictwa dwuczłonowego, są nowym trendem, który wprowadza „grupa biologów, nie dość uważnie wczytawszy się w nauki Linneusza". Z całym szacunkiem – jest to półprawda. Linneusza już niedługo po jego oryginalnych publikacjach promowało w Polsce dwóch przyrodników – Jan Krzysztof Kluk i Stanisław Bonifacy Jundziłł. Przyjęli jego dwuczłonowy system z entuzjazmem i udało im się go wypromować w polskojęzycznej botanice. W zoologii poszło trudniej. Niemniej Kluk przetłumaczył prawie cały układ mistrza, łącznie z gatunkami egzotycznymi, nigdy niewidzianymi w Polsce, co oznaczało tworzenie nazw od zera. Większość z nich się nie przyjęła.

Spolszczanie obcych nazw jest tak stare jak sam język polski. Dopiero lawinowy przyrost nowo opisywanych gatunków sprawił, że zawodowi biolodzy przestali to robić, zwłaszcza w grupach licznych w nikomu poza ekspertami nieznane gatunki. Jednak jeszcze w połowie XX w. w opracowaniach tak niszowych grup jak

eprasa.pl 53e0f75d2b

mikroskopijne glony, pisanych przez ekspertów dla ekspertów, starano się zawierać polskie nazwy, choćby dla rodzajów.

Czasem były to nazwy oryginalne, np. nowik dla *Closterium*, częściej kalki nazwy naukowej, co najwyżej dostosowane do polskiej ortografii, jak anabena (*Anabaena*) czy niczia (*Nitzschia*). Obecnie nazw glonów już nikt nie spolszcza w wydawnictwach oficjalnych, choć w laboratoriach czy kuluarach konferencji używa się form przyswojonych dla polskiego języka. Kolejne opracowania nazewnicze, zwłaszcza w botanice i mykologii, są nawiązaniem do tradycji wobec zmieniającej się sytuacji taksonomicznej, a nie czymś wcześniej niespotykanym.

Mentor autorów odezwy, Eugeniusz Grabda, autor jednego z najważniejszych polskich akademickich podręczników zoologii, miał wyraźne poglądy na nazewnictwo ryb. On też pisał o zaśmiecaniu nazewnictwa i braku potrzeby polskich nazw poza gatunkami gospodarczymi. Jednak wcale nie uważał, że nazwy zwyczajowe powinny żyć niezależnie od ekspertów. Postulował, aby niektóre „rozsądnie, ale bezwzględnie likwidować". Sam, pisząc o kształtowaniu się nazewnictwa ichtiologicznego, wskazywał drugą połowę XX w., a nie okres Reja czy Piasta. Razem z Heesem sam w końcu opracował taki słownik. Rozumiem, że uczniowie Grabdy uznali, że to, co ustalił on, jest tak dobre, że każda zmiana jest zaśmiecaniem, ale uczciwie byłoby to przyznać.

Orła dwie głowy

Opór wobec zmian w nazewnictwie ssaków, a do pewnego stopnia też ptaków i ryb, wynika ze specjalnej pozycji kręgowców w taksonomii ludowej. Kogo obejdzie, że po zmianie rodzaju *Mnium* na *Plagiomnium* merzyk stanie się płaskomerzykiem? Prawie nikt nie wie, o czym w ogóle mowa. Tymczasem każdy wie, co to wilk, lis, wróbel czy karaś. Taksonomia ludowa z reguły operuje nazwami jednoczłonowymi, jak zając, mlecz czy żółw. Z reguły to wystarcza. Trzeba specjalnej okazji, żeby potrzebować odróżnić zająca szaraka od bielaka czy poszczególne gatunki mleczy.

Również leśnicy z reguły upraszczają system nazw i jest jasne, że pisząc „sosna", mają na myśli sosnę zwyczajną (*Pinus sylvestris*). Dopiero gdy potrzebują wspomnieć o innym gatunku sosny, dodają, że chodzi o limbę czy wejmutkę. Podobne podejście miewają teriolodzy czy ornitolodzy – lis bez epitetu to ten, który występuje w Polsce, a epitet dostają arktyczny czy pustynny. Puszczyk to ten najczęściej występujący w Polsce, a ten rzadszy to mszarny. Bielik to ten polski, a epitetu potrzebuje amerykański. Paweł Mielczarek i Włodzimierz Cichocki pod koniec lat 90. XX w. zaproponowali, aby ten polonocentryzm nieco złagodzić i polskim jednoczłonowym gatunkom dodać epitet „zwyczajny", na modłę botaniczną.

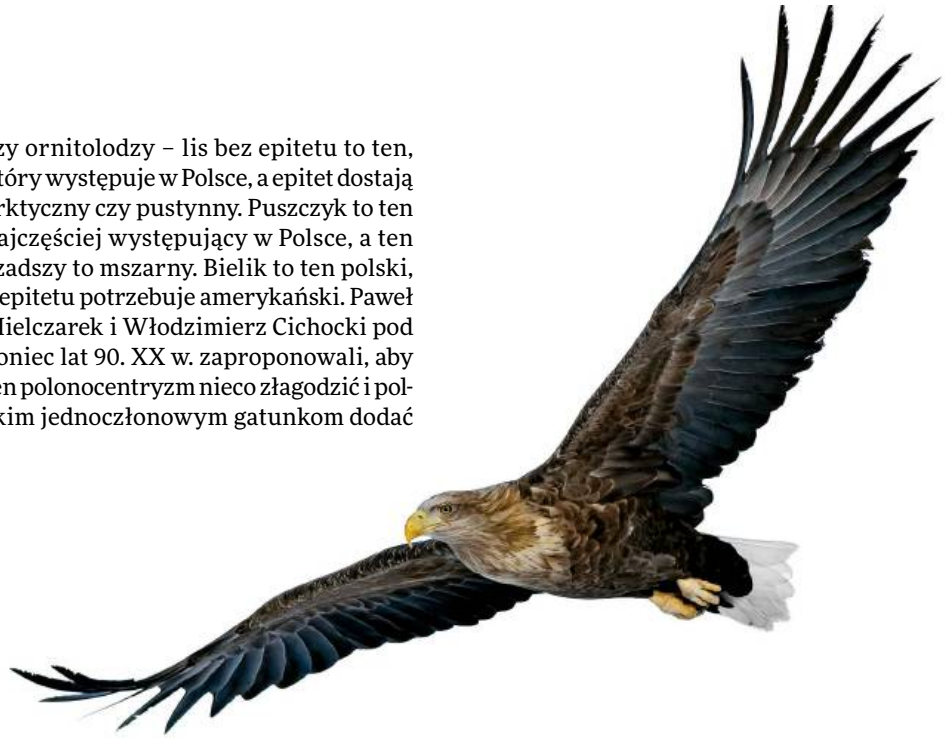

Publikacje Mielczarka nie są w pełni konsekwentne, mają jednak zaletę – starają się objąć wszystkie znane gatunki świata, a nie tylko te, które występują w Polsce i jej okolicach z mniej lub bardziej przypadkowym wyborem gatunków obecnych w polskich ogrodach zoologicznych lub książkach przyrodniczych. Dlatego w pewnym momencie grupa polskich wikipedystów umówiła się, że będzie używać tej nomenklatury. Nie każdemu się musi podobać, ale ucina to niekończące się spory o to, którą z alternatywnych nazw wybrać. W obecnej wersji jest gajówka, a nie pokrzewka ogrodowa, a także bielik (zwyczajny), a nie orzeł bielik, orzeł białogłowy, orzeł białoogonowy, birkut, birkot, orłan, orzeł bosy czy łomignat.

O bieliku autorzy piszą, że promowana jest zmiana z orła na orłana. Tu wytaczają najcięższe działo purystów językowych z międzywojnia – orłan to rusycyzm. W rzeczywistości to nazwa ruska, w Polsce pojawiająca się na Kresach. Obecnie wśród ornitologów głosy za orłanem są marginalne. Pojawiają się odosobnione propozycje, żeby tak nazywać różne wielkie ptaki drapieżne, niebędące przedstawicielami rodzaju *Aquila*, także rybołowa. *Haliaetus* to bielik. Orła heraldycznego nie ma sensu wiązać wprost z bytem taksonomicznym. Spór o to, czy ptak z polskiego godła to biologiczny orzeł, a jeżeli tak, to który gatunek (niegdyś pojawiały się inne kandydatury, np. orzeł przedni), odwołujący się np. do obecności piór na nogach, ma tyle samo sensu, co zastanawianie się, który orzeł w naturze miewa dwie głowy i może odpowiadać orłowi bizantyjskiemu.

Historii koniec

Przypadek kawii domowej niesie mniej emocji górnolotnych, za to więcej rzekomo zdroworozsądkowych. Obecnie nazwa świnka morska wydaje się niepodważalna, a kawia wydaje się wymysłem. Tak, ale pierwszym, który użył kawii, nie był Cichocki 10 lat temu, ale Jundziłł 200 lat wcześniej. W XIX w. zwierzę to w Polsce nazywano również świnką, z reguły morską, ale nie była to jedyna opcja. Funkcjonowała też nazwa morświnka. Obie są kalką z języka niemieckiego (gdzie argument o „rażącym germanizmie"?!). Można było nauczyć Polaków kalki z niemieckiego, można będzie nauczyć i kalki z łaciny, a właściwie z jakiegoś indiańskiego języka. Nie jest gorsza od nazwy sugerującej życie morskie. Cofając się do nazw XIX-wiecznych, moglibyśmy to zwierzę nazywać także skowykiem.

We wprowadzeniu do artykułu Piaseckiego i Heesego czytamy, że bielik może się zawstydzić zmianą nazwy. Gdyby tak było, musiałby to robić już kilka razy w historii. Teza, jakoby historia się skończyła, jest mocno niewczas.

Pełną wersję repliki można przeczytać w portalu naukowym POLITYKI projektpulsar.pl.

Piotr Panek jest stałym współpracownikiem pulsara, biologiem środowiskowym z obowiązkami urzędniczymi.

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 53e0f75d2b

Miłość do Fiata na lata

Polska motoryzacja była w powijakach, stan dróg fatalny, jednak II RP dołączyła do grona producentów samochodów osobowych. Przedwojenny licencyjny Polski Fiat 508 był obiektem marzeń.

ADAM GRZESZAK

Obraz Wojciecha Kossaka „Dwa światy" wykorzystany w reklamie.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Od lewej: **jazda terenowa Automobilklubu Polskiego w Puszczy Kampinoskiej, 1938 r. Pozowanie przy Fiacie w Kazimierzu Dolnym, 1938 r.**
Poniżej: **emblemat producenta.**

Pierwsze bomby spadające na Warszawę we wrześniu 1939 r. nie ominęły Fabryki Samochodów Osobowych i Półciężarowych (FSOiP) na Pradze. Początkowo zniszczeniu uległa tylko fabryczna stacja obsługi przy ul. Podskarbińskiej, ale oczywiste było, że za chwilę ten sam los czeka hale przy Terespolskiej. Tam działały linie produkcyjne Polskich Fiatów, z których do ostatniej chwili zjeżdżały samochody dla wojska. Dlatego zapadła decyzja o ewakuacji zakładów na wschód, do Pińska. Załadowano na ciężarówki maszyny, narzędzia i nieukończone jeszcze pojazdy, zapewniono transport pracownikom z rodzinami i bocznymi drogami konwój dotarł w pobliże Pińska. Tam w lesie, pod gołym niebem, uruchomiono prowizoryczną linię montażową i do 12 września udało się zmontować jeszcze 200 ciężarówek dla wojska. Potem przyszedł rozkaz o przeniesieniu zakładu do Tarnopola, ale wkroczenie Armii Czerwonej sprawiło, że konwój już tam nie dotarł. Pracownicy FSOiP, którym jakimś cudem udało się wrócić do Warszawy, zastali hale fabryczne w ruinie. Tak zakończyła się historia spółki Polski Fiat SA, która niebawem świętowałaby 20-lecie swojego istnienia.

Musiały minąć trzy dekady, by marka Polski Fiat powróciła do naszego kraju, a w Fabryce Samochodów Osobowych na warszawskiej Pradze ruszyła produkcja licencyjnych Polskich Fiatów 125p. Początki i rozwój włoskiej marki w Polsce prześledzili Filippo Gallino – Włoch z urodzenia, Polak z miłości, jak o sobie mówi – oraz Anna Borsukiewicz i Jerzy Kozierkiewicz, autorzy książki „Polski Fiat w II Rzeczypospolitej. Historia Fiata na ziemiach polskich od początku wieku do 1939 roku". Udało im się dotrzeć do interesujących źródeł zarówno w polskich, jak i turyńskich archiwach, i odtworzyć, jak rodził się nasz szczególny motoryzacyjny związek. – *Zaskoczyło mnie, że Fiat stał się jedną z najpopularniejszych marek w Polsce już w pierwszym dziesięcioleciu XX w. Stworzył sieć dealerów z identycznym stylem, od mebli po szyldy i katalogi* – mówi Gallino, który najstarszych śladów szukał w archiwum Centro Storico Fiat w rodzinnym Turynie.

Kluczową rolę odegrał sentyment dla naszego kraju założyciela turyńskiej spółki Fabbrica Italiana Automobili Torino (FIAT) Giovanniego Agnellego, a potem jego syna Edoarda i wnuka Gianniego. Za sprawą tego pierwszego firma Herman Meyer z Warszawy już w 1906 r. została przedstawicielem handlowym Fiata w Królestwie Polskim i Cesarstwie Rosyjskim. Ze spółki z Meyerem wkrótce po odzyskaniu niepodległości narodziła się spółka Polski Fiat. W pierwszym zarządzie zasiadał m.in. Teodor Toeplitz (dziadek Krzysztofa Teodora Toeplitza, niegdyś felietonisty POLITYKI). Syn Giovanniego, Edoardo Agnelli, który był wiceprezesem Fiata (w 1935 r. zginął w katastrofie lotniczej), zaangażował się w sprawę umowy licencyjnej z polskim rządem podpisanej w 1931 r. Z kolei powojenny powrót Fiata do Polski i umowy licencyjne z rządami PRL to zasługa trzeciego pokolenia, czyli wnuka założyciela.

Historia Fiata w międzywojennej Polsce jest jednocześnie historią polskich rozterek motoryzacyjnych, z którymi nie poradziliśmy sobie do dziś. Jak nadrobić dystans do krajów bardziej uprzemysłowionych? Czy mamy szansę na stworzenie własnej samochodowej marki i niezależnego przemysłu motoryzacyjnego? Czy musimy szukać wsparcia u światowych producentów? Te pytania stawiały sobie rządy II Rzeczpospolitej, podobnie jak potem władze PRL, a po nich III RP.

I tak jest do dzisiaj, czego przykładem marzenie PiS o stworzeniu narodowej marki samochodów elektrycznych Izera, które szybko zamieniło się w plan kupienia licencji na e-auto, ale już nie z Turynu, tylko z Chin. Bo w Turynie nie ma już siedziby koncernu Fiat. Jest francusko-włosko-amerykańska grupa Stellantis z siedzibą w Hoofddorp w Niderlandach, a Fiat to tylko jedna z marek grupy. Wciąż jednak rodzina Agnellich ma w niej sporo do powiedzenia, a szefem rady nadzorczej jest John Elkann, praprawnuk założyciela Fiata.

W okresie międzywojennym Fiat był jednak potęgą, dlatego gwałtownie szukał rynków eksportowych. Spółka Polski Fiat zajmowała się więc początkowo wyłącznie sprzedażą importowanych z Włoch samochodów. Jak na dzisiejsze standardy był to import mikroskopijny, bo w 1924 r. spółka sprzedała 493 auta, a cały rynek (roczna sprzedaż) aut osobowych to było 1,9 tys. sztuk. Zarejestrowanych w Polsce było wówczas 7,5 tys. samochodów. Turyn ▶

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, NAC (2), EAST NEWS

eprasa.pl 53e0f75d2b

Vincenzo Lancia w Fiacie podczas wyścigu samochodowego Targa Florio na Sycylii, 1908 r.
Poniżej: **ciągnik artyleryjski półgąsienicowy na podwoziu Polskiego Fiata 621 L**

▶ nie krył jednak satysfakcji. Komentowano wyniki, wskazując na silny wzrost sprzedaży w Polsce i podwojenie popytu. 493 sprzedane auta to było w końcu 2 proc. produkcji turyńskiej fabryki. W 1929 r. Polski Fiat w reklamach pisał dumnie: „Prawie 15 proc. wszystkich zarejestrowanych samochodów w Polsce to Fiaty".

Choć polska motoryzacja była w powijakach, stan dróg fatalny, rosły społeczne oczekiwania, by nasz kraj dołączył do grona producentów samochodów osobowych i ciężarowych. Przecież nie tylko Niemcy, Francja czy Anglia produkowały własne auta, ale także Czechosłowacja, która miała znane marki, jak Skoda czy Praga. Mieliśmy mocarstwowe ambicje, marzenia o koloniach, więc chcieliśmy też mieć nowoczesny przemysł.

Potrzebę uruchomienia produkcji samochodów osobowych i ciężarowych dostrzegało szczególnie wojsko. Konkurowały przy tym dwie strategie. Pierwsza to stworzenie krajowej konstrukcji i rozpoczęcie produkcji. Druga – zakup licencji od któregoś z liczących się producentów zagranicznych i we współpracy uruchomienie krajowej produkcji.

Prób związanych ze stworzeniem polskiego auta osobowego było kilka. W niektórych przypadkach, np. samochodu marki Stetysz konstrukcji Stefana Tyszkiewicza czy AS konstrukcji Aleksandra Libermana, udało się w latach 20. doprowadzić do ich wytwarzania w niewielkiej liczbie, metodami raczej warsztatowymi niż fabrycznymi. Większe nadzieje wiązano z samochodem CWS T-1 projektu Tadeusza Tańskiego wytwarzanym w Centralnych Warsztatach Samochodowych podległych Ministerstwu Spraw Wojskowych. Mimo rozmaitych zalet krajowych konstrukcji ich żywot był krótki. Niektóre pozostały na etapie prototypu, np. Iradam, WM SKAF czy Polonia.

Ta historia miała się powtórzyć kilkadziesiąt lat później, gdy w PRL z marzenia o prawdziwie polskim aucie powstawały Mikrus, Syrena czy Tarpan. A inne, jak Syrena Sport, Beskid i Wars, pozostały prototypami i żyją jako legendy utraconej szansy na własną markę. Powody porażki były zawsze podobne – niezbyt nowoczesne konstrukcje, brak kapitału i możliwości produkcji wielkoseryjnej.

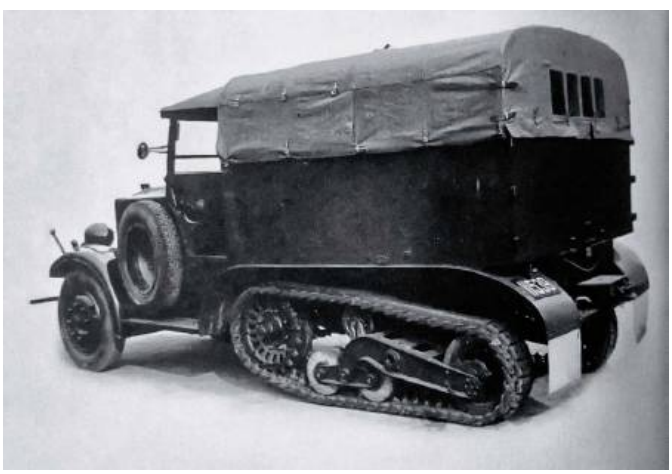

Za te nieliczne wytwarzane w latach 20. w Polsce trzeba było zapłacić cenę podobną jak za importowane pojazdy amerykańskich czy europejskich marek. Na dodatek zaczął się wielki kryzys i rynek samochodowy się załamał. W 1930 r. Fiat sprzedał w Polsce 265 aut, a rok później tylko 58.

Rządy II RP, zwłaszcza po 1926 r., dostrzegły, że krajowe firmy nie zdołają samodzielnie uruchomić produkcji samochodów i bez udziału państwa się nie obejdzie. Początkowo usiłowano stymulować rynek za pomocą narzędzi fiskalnych – głównie ceł i podatków – zachęcając do tworzenia w Polsce montowni zagranicznych aut. Ford, General Motors, Citroën, Praga – to niektóre z marek otwierających w Polsce swoje montownie. Najczęściej ich działalność miała charakter krótkotrwały.

Wojsko jednak naciskało: musimy w Polsce uruchomić produkcję samochodów. Zapadła więc decyzja o zakupie licencji na produkcję samochodów osobowych i użytkowych ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb wojska. Międzyresortową komisją, która miała prowadzić negocjacje, kierował Tadeusz Kossakowski, szef departamentu zaopatrzenia inżynieryjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Komisja stawiała szereg wymogów

© ALAMY/BE&W, AN

eprasa.pl 53e0f75d2b

technicznych, oczekiwała udostępnienia technologii, pomocy, także finansowej w uruchomieniu produkcji. A także gotowości partnera do przyjęcia zapłaty za licencję dostawami polskiego węgla i innych surowców. Ten sam model handlu kilkadziesiąt lat później stosowały władze PRL.

Podobnie jak w czasach Gierka, tak samo za czasów premiera Sławoja-Składkowskiego markami pierwszego wyboru były francuskie Renault i Citroën. Gierek jako frankofil marzył, że zmotoryzuje Polskę za pomocy Renault 4, Sławoj-Składkowski stawiał na Francuzów ze względu na nasz sojusz wojskowy z Paryżem. Oczywiście rozważano też kandydaturę Forda oraz czechosłowackie marki Skoda i Praga. Dopiero w dalszej kolejności był Fiat. Louis Renault – szef i założyciel firmy – nie przystąpił do przetargu. André Citroën, który był rodzinnie związany z Warszawą (tu mieszkała jego siostra), złożył skromną ofertę: kredyt 200 tys. dol. na zakup maszyn i 4 mln franków na zakup oryginalnych części. Oczekiwał opłat licencyjnych – 7 proc. ceny francuskiej od aut normalnych i 15 proc. od pojazdów specjalnych i wojskowych.

Oferta Fiata była hojniejsza: 700 tys. dol. na zakup maszyn, nieograniczony kredyt na zakup części, pożyczka na kapitał obrotowy, opłaty licencyjne – 5 proc. ceny włoskiej od aut cywilnych, 8 proc. wojskowych. Mimo silnych politycznych nacisków na André Citroëna, by zaoferował lepsze warunki, ten odmówił. W tej sytuacji wybrano Fiata.

21 września 1931 r. Państwowe Zakłady Inżynierii (P.Z. Inż.) podpisały dwie umowy z włoskim Fiatem i jego krajową spółką Polski Fiat. P.Z. Inż. reprezentowali dyrektor ppłk Kazimierz Meyer i jego zastępca mjr Romuald Formulewicz, ze strony Fiata Carlo Edoardo Schmidt, a ze strony Polskiego Fiata Stefan Laurysiewicz oraz Tadeusz Marchlewski (ten ostatni to młodszy brat Juliana, słynnego komunisty).

Zgodnie z umową Fiat miał przekazywać P.Z. Inż. wyłączne prawa do produkcji wszystkich samochodów osobowych, ciężarówek, autobusów, pojazdów specjalnych, ciągników, silników samolotowych, obecnych jak i przyszłych do 1 stycznia 1942 r. Fiat zobowiązywał się też do opracowania projektu fabryki o zdolności produkcji 3 tys. sztuk rocznie. Wiosną 1932 r. ruszyła produkcja pierwszych 40 sztuk Fiatów 614 do zabudowy na sanitarki dla PCK. Początkowo produkcja była rozrzucona w kilku zakładach i dopiero w marcu 1933 r. zapadła decyzja o budowie fabryki według projektu Fiata. – *Udało nam się dotrzeć do wspomnień dwóch dyrektorów Fabryki Samochodów Osobowych i Półciężarowych na warszawskiej Pradze, inżynierów Jerzego Grodeckiego i Zdzisława Walentowicza. Pierwszy opisał, jak narodziła się fabryka, dzięki drugiemu poznaliśmy historię ewakuacji we wrześniu 1939 r.* – mówi Anna Borsukiewicz.

Na linii produkcyjnej zakładów FSOiP powstawały Polskie Fiaty, w tym najpopularniejszy, czyli model 508, który stał się ulubieńcem Polaków. Jeździły nim gwiazdy kina, śpiewano o nim za melodią z reklamy: „I na mym wozie pierwszej klasy/ wyruszam sobie hen w daleki świat/ I wiezie mnie przez wsie i lasy/ nasz Polski Fiat, nasz Polski Fiat". Na kolejne piosenki o Polskim Fiacie trzeba było czekać 40 lat.

ADAM GRZESZAK

Filippo Gallino, Anna Borsukiewicz, Jerzy Kozierkiewicz,
Polski Fiat w II Rzeczypospolitej. Historia Fiata na ziemiach polskich od początku wieku do 1939 roku, Wydawnictwo FORE

REKLAMA

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

Za książki o najnowszej historii Polski wydane w 2025 roku

• prace naukowe
• popularnonaukowe
• źródła • pamiętniki
• debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych

Zapraszamy wydawnictwa, instytucje naukowe i autorów do zgłaszania książek na adres:
nh@polityka.pl

Prosimy o przesyłanie po 2 egzemplarze każdej zgłoszonej pozycji na adres redakcji:
Tygodnik POLITYKA,
ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa,
z dopiskiem Nagrody Historyczne Polityki.

Regulamin na **www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne**

Na zgłoszenia czekamy do 30 stycznia 2026 r.

Mecenas Nagród Historycznych POLITYKI:

Dantex

eprasa.pl 53e0f75d2b

Janina Mahlberg wśród studentów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, 1925 lub 1926 r.
Poniżej: **Martin Weiss, komendant obozu na Majdanku (zdjęcie powojenne) stracony w 1946 r., i więźniowie obozu.**

Brawura wbrew wszystkiemu

O Żydówce, która w czasie drugiej wojny, podając się za arystokratkę, ratowała Polaków, opowiadają Elizabeth B. White i Joanna Śliwa, autorki książki „Fałszywa hrabina".

eprasa.pl 53e0f75d2b

KASPER KALINOWSKI: **– Była pani jednym z nielicznych historyków w Stanach Zjednoczonych, którzy badali dokumenty dotyczące niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Kiedy w 1989 r. dostała pani maszynopis ze wspomnieniami Janiny Mehlberg, miała pani wątpliwości, czy są autentyczne. Dlaczego?**

ELIZABETH B. WHITE: – Historia wydała mi się zdumiewająca. Żydówka uratowała tysiące ludzi, podając się za polską hrabinę Janinę Suchodolską. Niemal codziennie przekraczała bramy Majdanka, aby dostarczać więźniom żywność i tuż pod nosem SS szmuglować kontrabandę. Pomyślałam: niemożliwe. Potem jednak Joanna i ja potwierdziłyśmy w źródłach w dziesięciu krajach na czterech kontynentach, że ta historia jest prawdziwa.

Kobieta niezwykła?

JOANNA ŚLIWA: – W tej historii wszystko wydaje się niezwykłe. Nie tylko jej działalność w czasie okupacji, ale również jej życie przed wojną. Urodziła się jako Pepi Spinner w 1905 r. w żydowskiej rodzinie w Galicji Wschodniej w Żurawnie (dziś Ukraina). Ojciec był bogatym właścicielem ziemskim i utrzymywał kontakty ze szlachtą, toteż Pepi znała maniery arystokracji. Miała prywatnych korepetytorów, mówiła po polsku, niemiecku, rosyjsku, angielsku i francusku. Marzyła o karierze w matematyce, a w 1928 r. uzyskała doktorat z filozofii. W 1933 r. wyszła za mąż za Henryka Mehlberga. Zamieszkali we Lwowie, on uczył filozofii, a ona matematyki w liceum żeńskim.

W czasie wojny decyzję o ucieczce podjęli na początku grudnia 1941 r. Przyjaciel rodziny, hrabia Andrzej Skrzyński, zorganizował im fałszywe dokumenty – stali się hrabiostwem Piotrem i Janiną Suchodolskimi. Ściągnął ich do Lublina. Poręczył za Janinę, co umożliwiło jej wstąpienie do Armii Krajowej, a Henrykowi pomógł otrzymać posadę w spółdzielni rolniczej Społem.

Janina dzięki analitycznemu umysłowi i edukacji z sukcesem zwodziła okupantów. To wyjątkowa postać nawet na tle innych bohaterów z okresu Holokaustu. Wiele mówi o niej historia z lata 1943 r. Wynegocjowała wtedy uwolnienie z obozu na Majdanku 2106 polskich chłopów i zapewniła ambulanse do transportu chorych.

Zorganizowała też jedyne uroczyste obchody Bożego Narodzenia w obozie koncentracyjnym.

Elizabeth „Barry" White (z lewej) – historyczka amerykańska, pracowała w United States Holocaust Memorial Museum, gdzie była dyrektorką do spraw badań naukowych w Center for the Prevention of Genocide. Wcześniej w Departamencie Sprawiedliwości zajmowała się ściganiem i oskarżaniem zbrodniarzy nazistowskich oraz osób naruszających prawa człowieka.

Joanna Śliwa – historyczka w Conference on Jewish Material Claims Against Germany w Nowym Jorku, gdzie zarządza też programami akademickimi. Wykładała historię Holokaustu i Żydów na Kean University i Rutgers University. Jej pierwsza książka, „Jewish Childhood in Kraków: A Microhistory of the Holocaust", w 2000 r. zdobyła Ernst Fraenkel Prize przyznawaną przez The Wiener Holocaust Library.

E.B.W.: – Z powodu wysokiej śmiertelności więźniów Majdanek otrzymał jesienią 1943 r. nowego komendanta. Został nim Martin Weiss, który wcześniej służył w Dachau. Jego celem było obniżenie wskaźnika śmiertelności, więc służyła mu działalność Janiny. Gdy zbliżało się Boże Narodzenie, udało jej się przekonać Weissa, aby w Wigilię zgodził się na dostawę, która miała obejmować nawet choinki. Mieszkańcy Lublina przekazali boczek, kiełbasy, szynki, babki, makowce, strudle i inne produkty, których więźniowie obozów nigdy nie dostawali. Udało jej się nawet zastąpić zwykłą zupę barszczem, gołąbkami i kluskami. Dostarczyła również opłatki, aby więźniowie mogli się nimi łamać w Wigilię, oraz opłatki do tajnych mszy.

Wszystkie obozy koncentracyjne były nieludzkie, ale Majdanek znacznie różnił się od obozów w „starej" Rzeszy. Jakie tam były warunki?

E.B.W.: – Majdanek założono jesienią 1941 r., kiedy przywódcy nazistowscy wierzyli, że ZSRR jest bliski upadku, a wojna na wschodzie wkrótce się zakończy. Wybrali teren na obrzeżach Lublina, gdzie nie było praktycznie żadnej infrastruktury. Wojna oczywiście się nie skończyła, a w miarę jej trwania SS miało coraz większe trudności ze zdobyciem materiałów budowlanych. To, co udało się zbudować, było prymitywne. Przez ponad połowę istnienia obozu brakowało bieżącej wody, a ta w studniach była skażona i niezdatna do picia. Wiele baraków to były nieocieplone stajnie, a za latryny służyły betonowe rowy. Więźniowie tygodniami nie mogli się myć ani zmienić ubrań. Jedzenie również było gorsze niż w innych obozach. Dlatego większość umierała po kilku tygodniach od przybycia. Latem 1943 r. Majdanek miał najwyższy wskaźnik śmiertelności ze wszystkich obozów koncentracyjnych, uwzględniając Auschwitz.

W każdym innym obozie program dokarmiania więźniów byłby nie do pomyślenia. Jak udało jej się tego dokonać?

J.Ś.: – Dzięki umiejętnościom negocjacyjnym, charyzmie i kreatywności. Nie możemy też pomijać roli szczęścia. Pomoc więźniom zapewniała Rada Główna Opiekuńcza (RGO), która w Generalnym Gubernatorstwie była organizacją zatwierdzoną przez Niemców do udzielania pomocy etnicznym Polakom. To jedna z największych inicjatyw samopomocy podczas wojny. RGO otrzymało zezwolenie na dostarczanie pomocy więźniom w lutym 1943 r. Sytuacja na froncie się zmieniała, więc Niemcy byli skłonni do zmniejszenia śmiertelności więźniów w swoich obozach. Hrabia Andrzej Skrzyński, szef RGO w dystrykcie lubelskim, powierzył program pomocy właśnie Janinie. Do marca 1943 r. dostarczano ok. 1700 paczek tygodniowo i 6 tys. kilogramów chleba dla 6 tys. więźniów. Do października było to już ponad 1 tys. litrów zupy tygodniowo. Skala pomocy stale się rozszerzała.

Janina wykorzystała oficjalne dostawy do szmuglowania wiadomości do członków ruchu oporu i od nich. Przemycała nawet książki polskich pisarzy, aby podnieść morale. Aż do momentu, gdy Armia Czerwona wyzwoliła obóz w lipcu 1944 r.

E.B.W.: – Kiedy udało jej się przekonać SS do wpuszczania dostaw na teren obozu, możliwe stały się kontakty z więźniami. Do przemycania informacji szczególnie pomocne były kanki na zupy. Miały drugie dno, gdzie umieszczano korespondencję.

Dlaczego nie napisała o uratowaniu ponad 2000 więźniów z Majdanka? ▶

© JAN WOLEŃSKI, PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU (2), WOJCIECH JARGIŁŁO/PAP

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ E.B.W.: – Myślimy, że uważała to za porażkę, ponieważ obiecano jej wypuszczenie 3600. Do tego z uratowanych latem 1943 r. osób 200 zmarło z wycieńczenia i chorób natychmiast po uwolnieniu. Połowę z nich stanowiły dzieci. Ratunek przyszedł zbyt późno.

Jak udało jej się uniknąć aresztowania?

J.Ś.: – Niemcy mieli głęboko zakorzeniony szacunek dla tytułów arystokratycznych, nawet polskich. Hrabinę traktowano z większym respektem. Niemieccy urzędnicy często wstawali, kiedy wchodziła do ich biur, co w innym przypadku byłoby nie do pomyślenia. Dodajmy do tego jej pewność siebie i to, że była doskonałą aktorką.

A edukacja? Pomagała w konspiracji?

E.B.W.: – Specjalizowała się w rachunku prawdopodobieństwa. To z pewnością pomogło jej szacować codzienne ryzyko i decydować, czy szanse na sukces są większe niż ryzyko porażki. W rozprawie doktorskiej argumentowała, że rozumowanie matematyczne nie może opierać się wyłącznie na tradycyjnych zasadach logiki, ale musi czerpać również z innych źródeł. Podkreślała rolę wyobraźni i intuicji. Intuicja pomagała jej ocenić, których niemieckich urzędników uda się przekonać, a wyobraźnia przejawiała się w wymyślaniu sposobów pomocy.

Nie działała sama. Czy możemy oszacować, ile osób liczyła jej siatka?

J.Ś.: – Krąg wtajemniczonych współpracowników nie był liczny. Janinie pomagały najczęściej kobiety. Józefa Olbrycht, dyrektorka komitetu opiekuńczego w obozie przejściowym przy ul. Krochmalnej w Lublinie, brała udział w akcji ratunkowej dla uchodźców z Wołynia, a Irena Antoszewska zarządzała siatką AK organizującą opór w więzieniach i obozach. Była również kierowniczką restauracji, w której od frontu obsługiwano Niemców, a na zapleczu członkowie AK pakowali datki i artykuły spożywcze zebrane od Polaków. Asystentką Janiny była Hanka Huskowska. Janina zabierała ją ze sobą na Majdanek, ponieważ ta piękna młoda kobieta odwracała uwagę strażników, gdy Janina porozumiewała się z więźniami. Tych ludzi znamy z imienia, ale wielu pozostanie anonimowych. Często byli to chłopi oraz mieszkańcy Lublina i okolic, którzy dzielili się tym, co mieli.

Ile osób uratowała? Możemy podać przybliżoną liczbę?

E.B.W.: – Na podstawie zapisów wiemy, że zdołała wydostać z niewoli co najmniej 9707 Polaków. Do listy ocalonych należy jeszcze doliczyć tych, którzy przetrwali dzięki dostarczanym przez nią paczkom z żywnością i lekami. Uratowała również wiele osób z transportów na roboty przymusowe, którzy inaczej trafiliby do Niemiec. Możemy bezpiecznie założyć, że uratowała co najmniej 10 tys. ludzi.

Janina z mężem Henrykiem w latach 50.

Jaki obraz wyłania się z jej pamiętników? Jakim człowiekiem była?

E.B.W.: – Rzuca się w oczy jej błyskotliwość. Potrafiła poradzić sobie w każdej sytuacji i właściwie ocenić ryzyko. Napędzała ją pasja do uratowania tylu ludzi, ilu tylko się da, oraz wielkie współczucie dla cierpienia Polaków. W pamiętniku napisała, że starała się dać więźniom nadzieję, ponieważ aby przetrwać, potrzebowali nie tylko jedzenia. Starała się wspierać tych, którzy załamali się na torturach i wydali kolegów. Była świadoma, że żyją w „piekle wstydu". Próbowała ich przekonać, że poza obozem są postrzegani jako męczennicy, a nie zdrajcy. Musiała być niezwykle charyzmatyczna, skoro potrafiła przekonać wrogów do zgody na jej propozycje.

Po wojnie w 1950 r. uciekła z Polski przez Berlin Zachodni. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych pracowała dla instytutu badawczego, który prowadził ściśle tajne prace dla Sił Powietrznych USA. Personel był w większości młodszy od niej, postrzegano ją jako „matkę". To obraz osoby opiekuńczej i bardzo ciepłej, co potwierdzają rozmowy z osobami, które ją znały.

Dlaczego po wojnie milczała o swoich dokonaniach?

J.Ś.: – To częste u ocalałych z Holokaustu. Większość z nich nie wracała do wspomnień, chciała zapomnieć i żyć zwyczajnie. Obecnie jesteśmy przyzwyczajeni do relacji ocalałych, ale w latach 60. to był bardziej wyjątek niż reguła. Sytuacja zaczęła się zmieniać po procesie Eichmanna w 1961 r. Wtedy na pierwszy plan wysunęły się głosy żydowskich ofiar.

Jeszcze w czasie, gdy mieszkała w Polsce, nie złożyła zeznania nawet w Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej, ponieważ groziłoby jej aresztowanie, a nawet egzekucja, gdyby NKWD odkryła jej służbę w Armii Krajowej. Musiało upłynąć wiele lat, by w końcu opowiedziała o tym, czego doświadczyła i czym się zajmowała w czasie wojny. Pamiętnik napisała w latach 60., gdy uzyskała tytuł profesora matematyki w Illinois Institute of Technology. To również warte podkreślenia – była wtedy na wydziale jedyną kobietą na stanowisku profesora. Zmarła w 1969 r.

E.B.W.: – Jej mąż napisał przedmowę do pamiętnika. Podkreślił jej niezwykłą odwagę, wspomniał również, że Janina kierowała się matematyczną zasadą: „Jedno życie jest mniej warte niż życie wielu ludzi". Postanowiła, że jeśli jej życie ma mieć jakąkolwiek wartość, musi poświęcić je na walkę z wrogiem i ratowanie więźniów. W jej wspomnieniach przebija się prawdziwa determinacja, ale również strach.

Zależy nam, aby była tak znana, jak na to zasługuje.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© US HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM/JTA

eprasa.pl 53e0f75d2b

Rzym od dołu

Guy de la Bédoyère, **Populus. Jak żyli i umierali starożytni Rzymianie**, przeł. Magdalena Rychlik, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, s. 505

Archeolog i historyk Guy de la Bédoyère opowiada o piekarzach, prostytutkach, sprzedawcach ryb, niewolnikach i wyzwoleńcach. Przetrwali w historii dzięki przypadkowym śladom: inskrypcjom, graffiti, listom z Vindolandy czy wierszom Katullusa i Juwenalisa. Na tej podstawie autor rekonstruuje świat, w którym luksus sąsiadował z brudem, a śmiech z przemocą, świat, w którym kobiety sprzedawały zioła pod akweduktami, dzieci bawiły się w ruinach term, rzemieślnicy marzyli o własnym grobie przy via Appia.

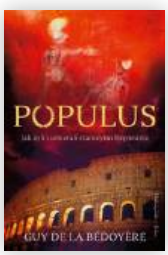

To Rzym wykorzystywanych kobiet i niewolników, obsesji na punkcie seksu i okrucieństwa, ale też przywiązania do rodziny i pobożności. W rozdziałach o biesiadach i łaźniach pobrzmiewa zarówno zachwyt nad wynalazczością Rzymian, jak i ironia wobec ich rozrzutności. Nie jest to jednak książka dla tych, którzy szukają studium społecznego, to raczej erudycyjny spacer po Rzymie, pełen anegdot i ciekawostek. Autor nie analizuje mechanizmów władzy, tylko przygląda się codzienności z empatią i ironią. „Populus" czyta się lekko jak reportaż z ulicy, to książka o pamięci i o tym, że historia to nie tylko marmur Cezarów, lecz także glina piekarza Euryzacesa, który chcąc być zapamiętanym, wybudował sobie grobowiec w kształcie pieca chlebowego.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Król międzymorza

Stanisław A. Sroka, **Ludwik Węgierski**, seria: Poczet Władców Polski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025, s. 440

Wydawnictwo PIW ma wprawę w publikacji dużych serii, takich jak „Rodowody Cywilizacji" czy „Biblioteka Myśli Współczesnej". Właśnie zainaugurowało biografiami Bolesława Chrobrego i Ludwika Węgierskiego nowy cykl „Poczet Władców Polski". Planowane wydanie 42 biografii (do 2032 r.) już na starcie wzbudziło kontrowersje, bo zabrakło Wacława II i Henryka III Walezego. Książki mają uwzględniać najnowsze badania, w cyklu znajdą się więc jedynie dwa wznowienia. Porządnego życiorysu Ludwika Węgierskiego dotąd brakowało. Biografia napisana w XIX w. odnosi się jedynie do lat panowania w Polsce. Jak twierdzi specjalizujący się w stosunkach polsko-węgierskich prof. Stanisław A. Sroka, przeszkodą był język węgierski. Trzeba przyznać, że życiorys Ludwika Andegawena jest wciągający. Poznajemy króla, ale też czytamy o aspektach średniowiecznego życia – podróżach, cenach posiłków i noclegów w różnych częściach Europy.

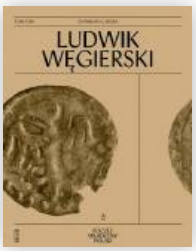

W Polsce ten władca nie był lubiany: panował nad Wisłą krótko i rzadko bywał w Krakowie. Trzeba jednak pamiętać, że jego rządy rozciągały się niemal od Bałtyku po Adriatyk. I tu drobna uwaga; z pewnością nie zaszkodziłyby książce, jak też całej wydawniczej serii, mapy ilustrujące władztwo oraz drzewa genealogiczne.

MAREK SOBCZAK

Maffie: wzlot i upadek

Andrzej Krawczyk, **Edward Benesz. Polityk z Europy Środkowej,** Universitas, Warszawa 2025, s. 248.

Jego imię nosi wiele ulic i placów w Czechach. Edward Benesz był wieloletnim premierem, prezydentem, ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji, jednym z jej ojców założycieli. Aż dziw, że brakowało jego polskiej biografii, bo to kawał środkowoeuropejskiej historii. I bardzo dobrze, że podjął się tego zadania Andrzej Krawczyk, historyk i były ambasador RP w Pradze. Zna się on bowiem na swoim rzemiośle (wcześniej napisał zbiorową biografię czechosłowackich prezydentów). Opowiada najważniejsze epizody z dziejów naszych południowych sąsiadów. Stawia dramatyczne pytania, np. czy Benesz jeszcze przed konferencją w Monachium w 1938 r. zasugerował Francuzom i Brytyjczykom oddanie spornych terytoriów Niemcom, wobec czego konferencja nie miała decydującego znaczenia, lecz była spektaklem dla zachowania twarzy wobec świata. Czy będąc w Londynie w czasie drugiej wojny światowej, współpracował z Sowietami, zrywając prace nad stworzeniem Konfederacji Polsko-Czechosłowackiej? Dlaczego dał się Stalinowi owinąć wokół palca? Wzlot Benesza był spektakularny. Ten świetnie wykształcony we Francji socjolog razem z „ojcem narodu" Tomaszem Masarykiem założyli jeszcze w czasie pierwszej wojny sieć, jak ją nazwali, *Maffie*, dla odróżnienia od znanego związku przestępczego pisaną przez dwa f. To jej zasługą było wybicie się Czechosłowacji na niepodległość po drugiej wojnie.

MARCIN ZAREMBA

Potomkowie Hellenów

Roderick Beaton, **Grecy. Historia globalna,** przeł. Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Port, Warszawa 2025, s. 621

To rzecz o wiele ambitniejsza niż kolejna opowieść o świetności Aten. Stawia mianowicie pytanie, czego możemy się nauczyć, korzystając z doświadczeń wspólnoty piszącej i mówiącej po grecku od trzech i pół tysiąca lat. W gruncie rzeczy jest to historia tożsamości: jej budowania, rozmontowywania, modyfikowania i wymyślania na nowo na przestrzeni dziejów. Od Achajów i Hellenów przez późniejszych Romajów (Bizantyńczyków), a skończywszy na bliższych współczesności Grekach – opisywanych tu ludzi nie łączą ani wspólne pochodzenie, ani więzy krwi. Rolę spoiwa odgrywały raczej opowieści: w starożytności była to „grecka wolność", a później opowieść o jedynym prawdziwie chrześcijańskim (ortodoksyjnym) cesarstwie. Dopiero w XIX w. nastąpił przewrót i chrześcijańscy Romajowie znów zobaczyli w sobie potomków żołnierzy spod Salaminy.

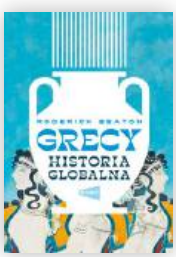

Powstała w dobie wojny o niepodległość (1822–32) Republika Grecka nazwała się Helladą (Hellas), a jej mieszkańcy Hellenami. Niemniej greckość jeszcze długo miała kosmopolityczny, globalny komponent, co nie zmieniło się do dziś. Z tego właśnie powodu Konstandinos Kawafis mógł uchodzić za największego nowożytnego poetę greckiego, choć większość życia spędził w Aleksandrii. Ta książka jest pouczającą odtrutką na wszelkie narracje o rzekomo niezmiennych tożsamościach.

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (4)

eprasa.pl 53e0f75d2b

film

Głód doznań 4/6

Zgiń kochanie (Die My Love), reż. Lynne Ramsay, prod. USA, 118 min, w kinach od 12 grudnia

Biorąc udział w tym budzącym kontrowersje projekcie, **Jennifer Lawrence** znów zasłużyła na nominację do Oscara. Gra niestabilną emocjonalnie pisarkę, której zachowanie ulega zmianie po urodzeniu synka. Psychiatra oraz filmowy mąż bohaterki, muzyk (**Robert Pattinson**), diagnozują pogłębiającą się depresję poporodową. Po przeprowadzce do położonej na prowincji dużej posiadłości, gdzie prawdopodobnie ktoś z jej bliskich popełnił samobójstwo, pisanie zaczyna ją nudzić. Jej potrzeby erotyczne rosną. Problemem okazuje się też więdnąca relacja z partnerem. Przeskakująca między różnymi etapami małżeńskiego pożycia fabuła konsekwentnie naprowadza na główny trop: kobieta zawsze miała obsesję na punkcie seksu, ale po emocjonalnym odsunięciu się od niej męża frustracja tylko w niej narasta, co zostaje zilustrowane śmiałymi scenami samozaspokajania, kaleczenia ciała, autoagresji. Oraz gęstniejącą niczym w tanim horrorze atmosferą z dużą ilością freudowskiej symboliki – obrazami płonącego lasu, zmysłowych ogierów, czarnoskórych kochanków itd.

Film Lynne Ramsay to skomplikowany obraz kobiecości wpisany w ramy thrillera psychodelicznego

Wyreżyserowany przez Szkotkę Lynne Ramsay („Musimy porozmawiać o Kevinie", „Nigdy cię tu nie było") psychodeliczny dramat mierzy się z dwoistością kobiecej natury. Instynkt macierzyński, miłość, opiekuńczość kontrastują z rozbuchaną wyobraźnią, niespełnieniem, głodem ekstremalnych doznań, okrucieństwem. „Zgiń kochanie" powstał na kanwie głośnej debiutanckiej powieści Argentynki Ariany Harwicz, podobnie jak Ramsey poruszającej tematy uznawane za tabu, podważającej tradycyjne role społeczne. Obserwacja popadającej w paranoję młodej matki raczej nie wzbudzi przyjemnych doznań. Obnażając jej brak moralnych hamulców i wewnętrzną dewastację, film staje się swego rodzaju eksperymentem moralno-wizualnym, jak kiedyś „Wstręt". Tak czy inaczej, tam, gdzie mówienie o ciemnych stronach macierzyństwa wciąż uchodzi za obrazoburstwo, ma szansę wywołać ferment.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Być jak George Clooney 4/6

Jay Kelly, reż. Noah Baumbach, prod. USA, 132 min, Netflix

film

Autotematyczne filmy hollywoodzkie to już w zasadzie osobny gatunek. „Jay Kelly" spełnia jego wymagania zarówno jako spojrzenie za kulisy wielkich produkcji, jak i próba dostrzeżenia człowieka w gwiazdorze. Tyle że sam tytułowy bohater nie czuje się prawdziwą osobą. Tak długo grał różne role, na planie i poza nim, że stracił z oczu rzeczy najważniejsze, wypiera z pamięci błędy przeszłości. Przypadkowe spotkanie z kolegą ze studiów uruchamia w Jayu falę wspomnień i coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Wyrusza więc do Europy, niby po to, by odebrać nagrodę na jednym z festiwali, lecz w rzeczywistości chce odbudować relacje z podróżującą po Włoszech córką. **George Clooney** gra Jaya Kelly'ego wybornie, buduje tę postać także z własnych doświadczeń i lęków. Jego bohater, choć pełen wdzięku, jest zmęczony wiecznym udawaniem, a jednocześnie nie potrafi już żyć inaczej. Film Baumbacha to satyra łagodna, pełna zaskakującej czułości wobec bohatera, który bywa, jak przystało na gwiazdora, chimeryczny i nieznośny (jedna rzeczniczka w chwili złości nazywa go „sześćdziesięcioletnim dzieckiem"). Czasami zbyt wiele w dialogach bon motów na temat zawodu, scenariusz wpada w rutynę, ale subtelna reżyseria i świetne aktorstwo – znakomicie wypada Adam Sandler jako menedżer głównego bohatera – pozwalają o tym zapomnieć. Czy „Jay Kelly" mówi coś nowego o Hollywood? Nie. Ale być może mówi o George'u Clooneyu więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© KIMBERLY FRENCH, PETER MOUNTAIN/NETFLIX. HAWA, KINGA KARPATI & DANIEL ZAREWICZ, PAT MIC

eprasa.pl 53e0f75d2b

scena

Z perspektywy piramidy 5/6

Piramida zwierząt, reż. Michał Borczuch, Stary Teatr w Krakowie

Zaczyna się od bodaj 40-minutowego monologu (wspaniałego!) Małgorzaty Zawadzkiej w roli Katarzyny Kozyry. Twórczyni głośnych instalacji i performansów jest w spektaklu u progu kariery, jedzie pociągiem, a jej myśli krążą między domem (synek), chorobą i perspektywą śmierci (leczy się onkologicznie) a sztuką. Gdzieś pomiędzy rodzi się pomysł słynnej i wzbudzającej do dziś kontrowersje instalacji „Piramida zwierząt". W kolejnych scenach wchodzimy do kierowanej przez prof. Grzegorza Kowalskiego (**Roman Gancarczyk**) „Kowalni" na warszawskiej ASP, pracowni, w której wśród rozmów o życiu, emocjach i o niczym tworzy się idea sztuki krytycznej; jest 1993 r. Głośnych dzieł właściwie nie oglądamy, bo nie one są tu najważniejsze. Kontekst artystyczny i społeczny jest szczątkowy; pierwszy reprezentuje artystka w klasycznym stylu, drugi – Doktorek (Michał Badeński) jako głos zdroworozsądkowej klasy średniej.

Pogaduchy i interakcje spektaklowych artystów przywołują inny spektakl – „Factory 2", powidok artystycznej Fabryki Andy'ego Warhola, zrealizowany przez Krystiana Lupę na tej samej Scenie Kameralnej Starego w 2008 r. Dołączając do tej gry lustrzanych odbić, Borczuch pyta o ducha sztuki i jej cel, o artystyczną bezkompromisowość graniczącą z pychą i narcyzmem. Co wolno artyście? Jak dziś robić sztukę krytyczną, w czasach wszechogarniającego kapitalizmu, ale też wrażliwości i empatii oraz politycznej poprawności.

ANETA KYZIOŁ

scena

Zemsta skrzywdzonej 5/6

Richard Strauss, **Salome**, reż. Mariusz Treliński, kier. muz. Yaroslav Shemet, Opera Wrocławska

Początkowo miało to być odświeżenie realizacji sprzed dekady, którą reżyser przedstawił najpierw w praskim Národním Divadle, a potem w warszawskiej Operze Narodowej. Jednak warunki we Wrocławiu są zupełnie inne, scena o wiele mniejsza (Boris Kudlička zmodyfikował scenografię), a i Treliński przez ten czas bardziej docenił dzieła Straussa i w większym stopniu dał wybrzmieć muzyce. Tytułową bohaterkę od początku widział jako ofiarę pedofilskich zachowań ze strony ojczyma, Heroda, a już w poprzedniej wersji oglądaliśmy zamiast tańca siedmiu zasłon – scenki z potwornej przeszłości Salome. Teraz próbuje podejść jeszcze bliżej do emocji bohaterki, którą widzi nie jako rozkapryszoną i zepsutą księżniczkę, lecz jako skrzywdzoną kobietę, która pragnie się zemścić. W tej koncepcji Jochanaan (obecny na scenie tylko jako głos) traci życie zarówno jako reprezentant rodzaju męskiego, jak i ktoś, kto użył wobec niej okrutnej przemocy słownej. Rola Salome jest więc bardziej pogłębiona psychologicznie; rewelacyjnie wykonuje ją Natalia Rubiś (nominowana do Paszportu POLITYKI), spełniając wysokie wymagania wokalne i aktorskie. Świetni, groteskowi są Herod (**Norbert Ernst**) i Herodiada (Barbara Bagińska); inne role również są satysfakcjonujące. Po raz pierwszy wrocławski zespół operowy poprowadził Yaroslav Shemet, dzięki któremu muzyka płynęła pięknie, tak jak na to zasługuje.

DOROTA SZWARCMAN

Miłość z zasadami 5/6

Kocham balet, choreografia Ramona Nagabczyńska, Komuna Warszawa

scena

Aleksandra Borys, Karolina Kraczkowska, Ramona Nagabczyńska, Iza Szostak – cztery tancerki, które mają za sobą edukację klasyczną (szkoły lub ogniska baletowe), porzuconą na rzecz tańca współczesnego, dwie dekady później wracają do baletowych pas, plié, pointe itd. Są w wieku, w którym baleriny przechodzą na emeryturę, ale jako performerki i choreografki wciąż mają wiele możliwości tworzenia i długą przyszłość artystyczną. Ta „zwycięska" perspektywa powoduje, że spektakl „Kocham balet" nie jest jednoznaczny – to nie jest historia o szkolnych traumach, choć szkoły baletowe przecież nie oszczędzają/ły swoich uczniów i uczennic – mieni się wieloma odcieniami emocji i jest porywający. Jest tu echo brutalnej dyscypliny i dawnych upokorzeń, ale też sporo śmiechu z kampowych fabuł klasycznych baletów i namysł nad paradoksem: tancerki mają być jednocześnie zwiewne i bezcielesne, a zarazem podskórnie mają być obiektami seksualnych fantazji. Głównym elementem scenografii jest stos point usypany w kształt łabędzia. Performerki wybierają z niego buty, które następnie muszą rozbić i uformować tak, by pasowały do stopy. W uderzaniu butami o podłogę i gięciu ich jest złość, jest wspomnienie dawnego bólu, ale jest też wysiłek i osobisty proces. W końcu zakładają pointy i tańczą fragmenty „Jeziora łabędziego" już jako samoświadome, dojrzałe kobiety, z radością i przyjemnością. Mogą kochać balet na własnych zasadach. AK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Smutek jak miód 5/6

László Krasznahorkai, **A świat trwa**, przeł. Elżbieta Sobolewska, Czarne, Wołowiec 2025, s. 340

Pierwsza po Nagrodzie Nobla wydana po polsku książka László Krasznahorkaiego może nas upewnić, że jest to literatura radykalna. Krasznahorkai tworzy swój gatunek – jego krótkie prozy to bardziej medytacje niż opowiadania. A jednocześnie są one tak nasycone i gęste, że przenosimy się za każdym razem w jakąś nieokreśloną rzeczywistość, trochę jak z Lyncha. Tym, co spaja te krótkie utwory, jest podróż: dworce kolejowe, szosy, na różne sposoby opuszczamy też Ziemię, wszystko staje się przygotowaniem do pożegnania. „Trzeba stąd odejść, to nie jest miejsce, w którym da się żyć" – czytamy w pierwszej opowieści. Dostajemy też przypowieść o zamknięciu kościoła i rozebraniu ołtarza. Nie będzie wiecznej szczęśliwości i nowego życia, bo ci, którzy prosili o pomoc, nie uzyskali jej. Dlatego wspólnota wiernych odwraca się od wiary. Każdy z tych tekstów wymaga uwagi i zatrzymania (choć traktują o ruchu), bo każdy jest gęsty (choć napotkamy też puste strony). Przewodnikami są Beckett, Nietzsche i Kafka (mimo że nie jest wspomniany), ale przede wszystkim prowadzą nas same gęste zdania, takie jak to o oblepiającym miodzie smutku: „Jak śmiercionośny miód, taki był ten smutek". I niosą nas obrazy, takie jak ten z samotnym psem na środku szosy. Jego spojrzenie odprowadza bohatera tuż przed katastrofą. Ta książka jest zaproszeniem do wejścia w głąb, w przestrzeń wewnętrzną, w której jesteśmy sami. Krasznahorkai proponuje, żeby spojrzeć na rzeczywistość i na nas samych bez żadnych osłon; w tej pustce każdy może zobaczyć coś innego.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

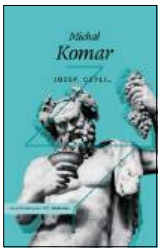

Masz pojęcie? 5/6

Michał Komar, **Józef, czyli…**, Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2025, s. 418

Tytułowy Józef, reżyser, wpada w kołowrót dziwnych wypadków. Na zwieńczenie kariery marzy mu się inscenizacja „Burzy" Szekspira. W kraju trwają tymczasem przygotowania do Międzynarodowego Kongresu Cywilizacji Życia i Prawdy. Władza chce Józefa propagandowo wykorzystać, a w zamian sfinansować spektakl – wilk syty i owca cała. Ale Józef, ciągle idealista, odmawia. W odwecie rusza przeciw niemu kampania nienawiści w sieci. Pomawiany o kradzież scenografii, nie wie, jak się wybronić, i nawet nie próbuje, historia ma już i tak rekordowe zasięgi. W międzyczasie o obrazę cnót kobiecych internauci oskarżają Wyspiańskiego i domagają się sądu. W powieści oglądamy Polskę w wersji turbo, współczesną, ale skąpaną w grotesce. Sumieniem narodu i osobliwym prorokiem jest tu Patron Państwa, tak się składa, że szkolny kolega Józefa, Lucuś, który ma właściwe „pojęcie o wyobrażeniu". Na ulicach zwalczają się wzajemnie Komandosi Zbawiciela i Husarze Maryi, wszyscy pragną zarazem męczeńskiej śmierci. Co bardziej obrotni wyczuwają koniunkturę, jedni oferują czułość, inni braterstwo, ktoś projektuje mauzoleum dla samobójców… „Badania dowodzą, że w ciągu dwóch lat rynek akcesoriów bogobojnych będzie śmiało konkurował z rynkiem akcesoriów erotycznych". Kołowrót kręci się jak szalony, świetni są bohaterowie drugiego i trzeciego planu: restaurator Bogumił, pani Flora, wdowa po amerykańskim milionerze. Nieprzeciętna jest też erudycja Michała Komara, który czerpie z mitów i literatury. W sumie: tragedia trochę orwellowska, trochę szekspirowska, na pewno commedia dell'arte.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

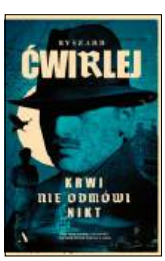

Śmierć w Posen 4/6

Ryszard Ćwirlej, **Krwi nie odmówi nikt**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 326

Cykl o Antonim Fischerze, poznańskim policjancie z czasów dwudziestolecia międzywojennego, już z poprzednią powieścią („Na trwogę bije dzwon") wkroczył w nową fazę. Hitlerowska fala zalała Polskę, Fischer cudem uniknął śmierci, ale został zmuszony do współpracy z okupantami. I na rozkaz gestapo pomaga wyjaśnić sprawę śmierci trzech Niemców, którzy zginęli w zderzeniu z pociągiem. A z ich samochodu zaginęła teczka z dokumentami, które mogą mieć wpływ na przebieg działań wojennych. Poszukiwana aktówka trafiła w ręce cwanego kasiarza Anatola Grubińskiego, który będzie musiał nawiązać kontakt z polskim wywiadem. Ryszard Ćwirlej konstruuje sprawne intrygi (zwłaszcza w kryminałach retro), pisze świetne dialogi, a mrok powieści rozjaśnia często wisielczym humorem – to wszystko wiadomo od dawna, autor ma wszak na swoim koncie kilkadziesiąt książek. Wojenna seria z Fischerem pozwala mu dodatkowo eksplorować terytorium, na którym jako twórca literatury gatunkowej czuje się chyba dość pewnie: strefę moralnej szarości, w której bohaterowie podejmują ważne decyzje, często wbrew swoim przekonaniom. Poznań czasów wojny – czy raczej Posen – jest dla takiego dramatu idealną scenografią, z zatartą granicą między tym, co polskie, a tym, co niemieckie; tym, co jest patriotyzmem, a co zdradą. „Krwi nie odmówi nikt" (tytuł to rzecz jasna cytat z wiersza Broniewskiego) staje się dzięki temu czymś więcej niż tylko solidnie napisanym kryminałem retro.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© PAP/EPA/GYULA CZIMBAL, ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS, MICHAŁ MAZUREK, MP (6)

eprasa.pl 53e0f75d2b

galeria

Po zęby 4/6

Zbrojownia, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków, ekspozycja stała

Trudno wyobrazić sobie szanujący się zamek królewski bez takich atrybutów jak mury i wieże obronne, paradna brama wjazdowa, sala tronowa, skarbiec i… zbrojownia. Ta wawelska prezentowała się zwiedzającym w niezmienionym kształcie przez 60 lat. Teraz po dłuższej przerwie została otwarta ponownie w nowej atrakcyjnej aranżacji. Miłośnicy militariów znajdą tu wiele eksponatów-rarytasów. Jak choćby kolekcję żeliwnych i spiżowych luf armatnich, z jedną z najstarszych w zbiorach polskich, pochodzącą z 1506 r. Są zbroje, w tym turniejowa z 1490 r., husarska, ale też słynny prezent od premiera Viktora Orbána (jeszcze z czasów rządów PiS), czyli młodzieńcza paradna zbroja Zygmunta Augusta. Długo można by wymieniać karaceny, tarcze, kopie, rapiery, szpady, sztucery, łuki, kusze czy kordelasy. Broń na pole bitwy, broń na polowania i broń na pokaz, powszechną i kolekcjonerską. Dla każdego coś zbrojnego. Zebrane militaria kreują różne narracje: o ich wartości historycznej, symbolicznej, artystycznej, a nawet – materialnej. Ciekawostką wystawy są – to już się staje specjalnością Wawelu – tzw. współczesne interwencje. Jedna z nich ma szanse zainteresować znużone towarzyszki zwiedzających wystawę miłośników militariów: to spektakularna suknia haute couture firmy Balenciaga, inspirowana zbroją maksymiliańską z początku XVI w.

PIOTR SARZYŃSKI

muzyka

Melancholia zwycięzcy 4/6

Eric Lu, **Chopin**, Deutsche Grammophon

Jakże inny jest zdobywca I nagrody na tegorocznym Konkursie Chopinowskim od tego sprzed czterech lat. Tamten, Bruce Liu, o pogodnej naturze i wirtuozowskiej technice, dobrał też adekwatny do swojego temperamentu repertuar, uwzględniając utwory Chopina pisane w jaśniejszych momentach życia. Eric Lu jest jego przeciwieństwem: pierwszym wrażeniem, jakie się odnosi, obcując z jego grą, jest melancholia, drugim – pewien chłód. Płyta dla Deutsche Grammophon zawiera nagrania konkursowe. Rozpoczyna się najpiękniej przez niego zagranym Walcem cis-moll, który – grany też na bis na koncercie laureatów – można widzieć jako emblemat artysty. Nokturn cis-moll, Mazurki z op. 34, Barkarola i Sonata b-moll świadczą o tym, że i Lu wie, jak dobierać utwory do swojego usposobienia: większość ma komponentę smutku. Sonata b-moll jest momentami złowroga, momentami chłodna, a Marsz żałobny kroczy powoli, w udręce. Jest w grze pianisty trochę potknięć wynikających z jego nie najlepszej wówczas formy, ale ujmuje on przede wszystkim pięknym dźwiękiem – co jest zasługą również jednego z jego pedagogów, Danga Thai Sona.

DOROTA SZWARCMAN

nie przegap

Kasia Lins, **Obywatelka K.L.**, Polydor

Wokalistka i pianistka z coraz ciekawszymi płytami autorskimi na koncie robi sobie przerwę od własnego repertuaru, sięgając po piosenki Grzegorza Ciechowskiego. Materiał wybrany z całego okresu działalności Republiki i Obywatela G.C. akcentuje liryzm i erotykę – z grzechem i winą w tle. W styl Kasi Lins wpisuje się dobrze. Muzycznie jest bez zaskoczeń, „Obywatelka K.L." oznacza raczej subtelną – i wieloznaczną – zmianę perspektywy w tekstach. BCH

Wszyscy jesteśmy Belén, reż. Katarzyna Minkowska, Teatr im. Jaracza w Olsztynie

Samoistne poronienie kończy się dla młodej kobiety więzieniem za zabójstwo. Wtedy do akcji wkraczają prawniczki, dziennikarki i kobiece organizacje społeczne, także katolickie, a efektem jest uchwalenie ustawy o legalnej aborcji. Nominowana do Paszportu POLITYKI reżyserka łączy w spektaklu realizm ze scenami musicalowymi. A przenosząc na scenę reportażową książkę Any Eleny Correi o zwycięskiej walce argentyńskich kobiet, daje Polkom przykład i nadzieję. AK

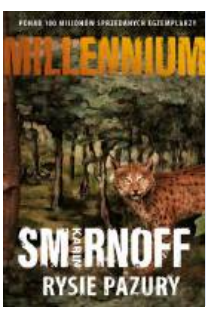

Karin Smirnoff, **Rysie pazury**, przeł. Inga Sawicka, Czarna Owca

Dalszy ciąg historii z północy. 13-letnia Svala, bratanica Lisbeth Salander i równie jak ona wyrazista osobowość, jest w połowie Saamką. To okaże się istotne dla opowieści: główny „złol" cyklu Smirnoff jest rasistą, współzałożycielem partii, która dzięki dużym pieniądzom chce wprowadzić supremację białego człowieka. Przed przeczytaniem trzeba znać poprzednią część cyklu „Krzyk orła"; dalszy ciąg nastąpi. DS

eprasa.pl 53e0f75d2b

PASZPORTY POLITYKI 2025

Nominacje: książka

Ponadto zgłoszeni zostali:

Emilia Konwerska
Antonina Tosiek
Marcin Podolec
Arek Kowalik
Kora Tea Kowalska
Dawid Kujawa
Elżbieta Łapczyńska
Krzysztof Marciniak
Daria Mikulska
Katarzyna Sobczuk
Aleksandra Paduch
Maciej Sieńczyk
Ewa Stusińska
Ewa Tondys-Kohman

© LESZEK ZYCH

Stanisław Łubieński

Urodzony w 1983 r. kulturoznawca, ukrainista, z zamiłowania przyrodnik. Nominowany do Paszportu POLITYKI za „Drugie życie Czarnego Kota" (wyd. Agora). To już jego druga nominacja – w 2017 r. wyróżniliśmy go za książkę „Dwanaście srok za ogon" (wyd. Czarne), za którą otrzymał też nagrodę Nike Czytelników. Jest również autorem reportażu historycznego „Pirat stepowy" o życiu Nestora Machno, przetłumaczonego na języki chorwacki i ukraiński. Współpracował z „Gazetą Wyborczą", „Tygodnikiem Powszechnym" i „Dwutygodnikiem". Jest współautorem cyklu filmów „Warszawski Tygiel Kulturalny", opowiadających o życiu imigrantów w Warszawie. Filmy otrzymały nagrodę S3KTOR 2011 za najlepszą warszawską inicjatywę pozarządową w kategorii „Projekty interdyscyplinarne".

Od dziecka interesuje się przyrodą, a w szczególności ptakami. Prowadzi blog „Dzika Ochota" i organizuje spacery przyrodnicze po Warszawie, jest gospodarzem audycji „Księstwo ptaków" w radiowej Trójce i prezesem Zarządu Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. W 2020 r. ukazała się jego „Książka o śmieciach" (Agora), a w 2025 r. nominowane „Drugie życie Czarnego Kota", książka, w której esej historyczny, felieton i opowieść przyrodnicza łączą się, tworząc niezwykłą, osobistą opowieść. Łubieński wędruje po centrum i obrzeżach swojej rodzinnej Warszawy, ale – jak czytamy w najbardziej poruszającym rozdziale „Przyroda najbliższa" – w pewnym momencie jego spacery stają się coraz krótsze. To dlatego, że pies Fuks, z którym wyprawiał się daleko, zaczął chorować. Jesteśmy świadkami odchodzenia przyjaciela. Zamiast na odległe torowiska, dochodzą do wiązów przed domem. Potem zostaje już tylko znoszenie pieska po schodach. I pożegnanie: „Pachnie moim przyjacielem, ziemią, grzybami, wiatrem, ciepłem". Ale to nie jest jedyne pożegnanie w tej książce – miesiąc później odchodzi ojciec Tomasz Łubieński. Historyczne miejsca, które odwiedza Stanisław, wcześniej opisywał i badał jego ojciec historyk. „Drugie życie Czarnego Kota" (Czarny Kot to najsłynniejsza warszawska samowola budowlana; hotel kilka lat temu w końcu rozebrano) to książka o pożegnaniach i spotkaniach, a przede wszystkim o trwaniu przyrody.

PARTNER KATEGORII
Sopot

eprasa.pl 53e0f75d2b

Paszporty
Polityki
2025

PRZYZNAJ PASZPORT CZYTELNIKÓW POLITYKI!

Do 17 grudnia zagłosuj
w plebiscycie na stronie
polityka.pl/paszporty
i odbierz nagrodę!

facebook.com/paszportypolityki

#kulturajutra

Zobacz szczegóły:

Współorganizator Gali

TVP

Partnerzy Główni

TOTALIZATOR SPORTOWY

7 LAT

zaiks Stowarzyszenie Autorów ZAiKS

PZU FUNDACJA

ORLEN

Partner Oficjalny

Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka: Sopot

Sztuki wizualne: KRUK

Film: KUJAWY POMORZE; FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE

Scena: Białystok

Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny

tokfm

eprasa.pl 53e0f75d2b

Paweł Rzewuski

Autor nominowany do Paszportu za powieść „Krzywda" (wyd. ArtRage). Oprócz tego, że jest pisarzem, bywa także publicystą, scenarzystą i menedżerem kultury. Rocznik 1990; skończył studia filozoficzne i historyczne na Uniwersytecie Warszawskim oraz podyplomowe studium dyplomacji na Europejskiej Akademii Dyplomacji. Jego dorobek obejmuje zarówno beletrystykę, jak i literaturę faktu oraz publikacje stricte naukowe. Jako badacz obecny jest w czasopismach akademickich takich jak „Kronos", „Rocznik Historii Filozofii Polskiej" oraz „Studia z Historii Filozofii". W swojej twórczości popularnonaukowej i eseistycznej koncentruje się na historii filozofii polskiej, z naciskiem na okres I Rzeczpospolitej i dwudziestolecia międzywojennego. Temu drugiemu poświęcił esej „Filozofia Piłsudskiego", będący rekonstrukcją światopoglądu Józefa Piłsudskiego (publikacja ta zapewniła mu nominację do nagrody Identitas), oraz popularnonaukową książkę „Grzechy Paryża Północy". Dwudziestolecie międzywojenne powróciło również w jego działalności prozatorskiej – za osadzoną w tych czasach powieść „Syn Bagien" otrzymał nominację do Nagrody Wielkiego Kalibru; obecnie kończy prace nad drugim tomem. I Rzeczpospolitą zaczął interesować się w trakcie studiów filozoficznych. W 2022 r. opublikował rozprawę doktorską poświęconą myśli politycznej I RP („Monarchia mixta, czyli poszukiwanie suwerena"). Temat Rzeczpospolitej Obojga Narodów powraca w powieści „Krzywda", która odsłania oblicze Polski – buzującego tygla narodów i wyznań, wstrząsanego kolejnymi wojnami, rokoszami, zajazdami.

Jak pisał w POLITYCE Jakub Demiańczuk: „»Krzywda« łączy historyczne realia z horrorem, inspirowanym zarówno słowiańską mitologią, jak i klasyką gatunku. Pięć spiętych narracyjną klamrą opowiadań o Stanisławie Wróblewskim herbu Krzywda, szukającym zemsty na swoim okrutnym bracie Gedeonie, układa się w całość gęstą i ciemną niczym piekielna smoła, pisaną z pasją i bez kompleksów. Rzewuskiemu udało się przy tym zachować równowagę między językową stylizacją a czytelnością przekazu, wiernością historycznym realiom a gatunkową swobodą".

Ishbel Szatrawska

Urodziła się w Olsztynie, mieszka i pracuje w Krakowie. Autorka sześciu dramatów i dwóch powieści, za ostatnią zatytułowaną „Wyrok" (wyd. Cyranka) otrzymała nominację do Paszportu POLITYKI. Trzy lata wcześniej nominowaliśmy ją za dramat „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia" (Cyranka), który został uhonorowany m.in. Nagrodą Empiku oraz „Wawrzynem" Literacką Nagrodą Warmii i Mazur. Zadebiutowała w 2019 r. dramatem „Objects in Mirror Are Closer Than They Appear" w e-antologii „Nasz głos" wydanej przez Narodowy Stary Teatr w Krakowie. Kolejne dramaty publikowała w „Dialogu": „Polowanie" i „Totentanz. Czarna noc, czarna śmierć", który znalazł się w finale Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej i na longliście Berliner Theatertreffen. Kolejne jej dramaty to: „Kateriny brak" i „Wolny strzelec". W 2023 r. ukazała się jej powieść „Toń" (Cyranka) nominowana do Nagrody Conrada i Nike, przełożona na niemiecki i uhonorowana Nagrodą Wawrzyn. Szatrawska była stypendystką m.in. niemieckiej Stiftung Genshagen oraz szwajcarskiej Landis & Gyr Stiftung, a także programu Connecting Emerging Literary Artists (CELA). Współpracuje także z innymi artystami przy różnorakich projektach. Była m.in. współadaptatorką „Krzyżaków" Sienkiewicza w reż. Jana Klaty w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie oraz autorką tekstu w projekcie Michała „Nihila" Kuźniaka i Dominika Gaca towarzyszącym wystawie „Sto nocnych zjaw" w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha.

Nominowana proza „Wyrok" rozgrywa się w czasie wojny, ale jej samej właściwie nie ma, front jest daleko. Dwóch wynajętych ludzi z bandycką przeszłością idzie wykonać wyrok na szpiclu. Ta opowieść zaskakuje na tle współczesnej polskiej prozy i może przywoływać przede wszystkim skojarzenie z prozą wojenną spod znaku Jana Józefa Szczepańskiego czy Jarosława Iwaszkiewicza. Albo – z brutalizmem Cormaca McCarthy'ego. To opowieść, może wręcz przypowieść, która przenosi nas w krajobraz błota, śniegu, pustki i jednocześnie unosi rytmem zdań, bardzo dobrze skonstruowaną melodią języka. Szatrawska pokazuje czas rozpuszczonych instynktów z wojną w tle. Niby odległe, ale nie tak bardzo.

© LESZEK ZYCH (2)

eprasa.pl 53e0f75d2b

KUBA BADACH

JAZZY ✦ CHRISTMAS

02.01 ✦ Kraków
ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE

10.01 ✦ Warszawa
COS TORWAR

21.01 ✦ Gdynia
TEATR MUZYCZNY

06.01 ✦ Katowice
NOSPR

18.01 ✦ Poznań
SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER

24.01 ✦ Wrocław
NFM

GOŚCINNIE WYSTĄPIĄ:

Matt *Dusk* ✦ Natalia *Kukulska* ✦ Andrzej *Lampert*
Bernard *Maseli* ✦ Dorota *Miśkiewicz* ✦ Henryk *Miśkiewicz*
Andrzej *Piaseczny* ✦ Dominik *Wania*

Bilety dostępne na eventim.pl

GOOD TASTE

eprasa.pl 53e0f75d2b

PASZPORTY POLITYKI 2025

Nominacje: kultura cyfrowa

© LESZEK ZYCH (3)

11 bit studios (Tomasz Kisilewicz)

Jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy w różnych jego momentach podejmowali inne kluczowe decyzje? Czym i jak bardzo różniłyby się nasze odmienne wersje? „The Alters" opowiada historię Jana Dolskiego, rozbitka na obcej planecie, który, aby przetrwać i odnaleźć drogę do domu, zmuszony jest stworzyć tytułowych altersów: alternatywne wersje samego siebie. Ludzi, którzy podjęli w życiu nieco inne decyzje, dzięki czemu ich losy potoczyły się w inny sposób. W rezultacie gracz tworzy pomocników o różnorodnych, niezbędnych do przetrwania umiejętnościach, ale również o innych, nieraz trudnych do zrozumienia i opanowania osobowościach. To gra o tym, jak nasze decyzje kształtują przebieg naszego życia – o konsekwencjach i o tym, jak potrafimy sobie z nimi radzić. W nieoczywisty sposób łączy ze sobą gatunki, aby opowiedzieć emocjonalną historię o bardzo ludzkim wymiarze.

„The Alters" nie powstałaby, gdyby jej pomysłodawca i reżyser Tomasz Kisilewicz nie zakochał się w „This War of Mine" warszawskiego studia 11 bit studios. To zmieniło jego życiowy kurs. Był wtedy architektem, pracował w Korei Południowej, postanowił jednak wrócić do Polski i zrobić wszystko, aby dołączyć do ludzi, który stworzyli tak wyjątkowy tytuł. Z 11 bit studios związany jest od 2017 r. Zaczynał jako artysta 3D, pomagał współtworzyć „Frostpunk" i dodatki fabularne do ukochanego „This War of Mine", od 2018 r. w roli głównego grafika (ang. *lead artist*). W 2020 r. rozpoczął pracę nad zupełnie nową grą, której nadał kryptonim „Project Dolly", nawiązujący do słynnej sklonowanej owcy. Pięć lat później rzecz ujrzała światło dzienne – już jako „The Alters".

W projektowaniu gier Kisilewicz, jak sam deklaruje, stawia przede wszystkim na połączenie głębi mechanicznej z głębią narracyjną, traktuje gry jako coś więcej niż interaktywny film czy książkę – raczej jako medium na wskroś nielinearne, które powinno dawać graczom maksimum sprawczości i swobody ekspresji poprzez zawarte w grze systemy. Reżyser podkreśla, że „The Alters" to dzieło zbiorowe: „Tak jak Jan Dolski nie poradziłby sobie sam na nieprzyjaznej planecie, tak gra nie powstałaby bez całego zespołu niesamowitych, kreatywnych ludzi o różnych specjalizacjach i talentach".

Ponadto zgłoszeni zostali:

Fundacja SpeakLeash (model językowy Bielik)
Patryk Grandt (Vixa Games, „Dust Raiders")
Paweł Janicki (Kenosofia)
Przemysław Jasielski (Zestaw Do Kontroli Wymiaru Sprawiedliwości)
Szymon Łukasik („Bad Cheese")
Ninth Exodus („Peripeteia")
Patchlab Digital Art Festival, **Reikon Games** („Metal Eden")
Mateusz Skutnik („Daymare Town").

tokfm

Więcej o nominacjach do Paszportów usłyszysz w programie Marty Perchuć-Burzyńskiej „Kultura osobista" **10 grudnia** i **11 grudnia** po serwisie **o godz. 11.40**

eprasa.pl 53e0f75d2b

Centrum Archiwistyki Społecznej (Katarzyna Ziętal, Ewa Majdecka)

Utrata pamięci to głęboki deficyt, człowiek nim dotknięty traci nie tylko kluczową część tożsamości, ale także zdolność do pełnowymiarowego funkcjonowania w społeczeństwie. Pamięć potrafi być zasobem niebezpiecznym, o czym wiedzą rzesze Ślązaków, Ukraińców przesiedlonych w ramach akcji „Wisła", Mazurów, Warmiaków, żołnierzy podziemia i innych mieszkańców Polski, którzy przez dziesięciolecia ukrywali historie osobiste i rodzinne w obawie przed prześladowaniami ze strony komunistycznego państwa. Pamięć to także czynnik polityczny, coraz częściej wciągany do walki o władzę.

W Polsce, kraju, który po wojnie zmienił granice, pamięć społeczna lokalnych wspólnot jest często równie krucha, jak ich mieszkańców. A wielość losów osób tworzących te wspólnoty przekłada się na złożoność lokalnych historii, czyniąc je fascynującymi opowieściami, które są podstawą zbiorowych tożsamości. Pod warunkiem że ta pamięć staje się wspólną własnością, społecznie wytwarzaną i chronioną. Wie o tym Fundacja Ośrodka „Karta", od dekad tworząca, chroniąca i udostępniająca repozytorium pamięci o Polsce i jej mieszkańcach. Z inicjatywy „Karty" oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2020 r. powstało Centrum Archiwistyki Społecznej z misją wspierania oddolnego ruchu ludzi tworzących lokalne archiwa – nośniki pamięci lokalnych wspólnot. „Wspólnie z prawie 800 archiwami społecznymi z całej Polski rozbudzamy zainteresowanie historią społeczną, aby móc lepiej rozumieć przeszłość i teraźniejszość" – piszą animatorzy CAS, którymi kieruje Katarzyna Ziętal. Za technologiczny wymiar misji odpowiada Ewa Majdecka, kierowniczka Działu Rozwoju Narzędzi Cyfrowych.

Portal zbioryspołeczne.pl – za który nominujemy CAS do Paszportu – integruje zasoby, umożliwiając każdemu zainteresowanemu dostęp. Podstawą tego niezwykłego repozytorium jest Otwarty System Archiwizacji (OSA), narzędzie umożliwiające twórcom lokalnych archiwów społecznych budowanie zbiorów cyfrowych treści, na które składają się zdigitalizowane fotografie, dokumenty, zapisy filmowe i dźwiękowe. Społeczna pamięć zapisana w bitach.

Questline (Aleksandra Burdka, Kamil Krupiński, Marcin Świerkot)

Gra „Tainted Grail: The Fall of Avalon" to bodaj najciekawsza polska wariacja na temat legend arturiańskich od czasów wiedźmińskiej sagi Sapkowskiego. Według mitologii celtyckiej Avalon to rajski świat umarłych. W interpretacji twórców z wrocławskiego studia Questline sporo tu bytów aktywnych pośmiertnie, są to jednak głównie dzierżące miecze szkielety i zombie. Obecna jest też magia i zgodnie z przekazem znajduje się tutaj grób króla Artura. Jednak wrocławska wizja Avalonu mocno odbiega od wizji z legend. Tu świat pochłania tajemnicza plaga, a Artur Pendragon planuje powrót do świata żywych. Brzmi to może jak klasyczny motyw z kanonu fantastyki, ale „Tainted Grail: The Fall of Avalon" to przede wszystkim dobrze napisana, zajmująca opowieść.

Aleksandra Burdka to filozofka z wykształcenia i producentka z powołania. Łączy fascynację filozofią niemiecką (Hegel, Heidegger) i francuską (Derrida) z miłością do twórczości Franza Kafki, dzięki badaniom nad fenomenologicznymi ujęciami narracji. Pasja do gier sprawiła, że związała swój los z Awaken Realms i zespołem Questline. Przy pracy nad „Tainted Grail..." koordynowała jako producentka wykonawcza prawie 60-osobowy zespół, co uważa za jedno ze swoich najcenniejszych doświadczeń.

Kamil Krupiński kiedyś pisał o grach do magazynu „CD-Action", teraz gry robi. Zaczynał od projektowania narracji w Techlandzie, przeszedł przez produkcję w Draw Distance, dziś jest reżyserem w Questline. Jak mówi: „Kiedyś zdzierałem sobie gardło w piwnicach, teraz robię muzykę elektroniczną w domu jako Death Verified. W wolnym czasie piszę strasznie długie teksty o religii i black metalu, bo podobno trzeba mieć jakieś dziwne hobby w życiu".

Marcin Świerkot jest założycielem i CEO Awaken Realms, które z małego studia malarskiego figurek przekształcił w czołowego producenta gier planszowych i komputerowych. Pracował przy takich tytułach planszowych jak „Nemesis", „Tainted Grail" czy „This War of Mine: TBG" oraz przy grach wideo z cyklu „Tainted Grail". Jest również założycielem i CEO Gamefound, platformy finansowania społecznościowego w branży gier. Łączy pasję z kompetencjami biznesowymi. Absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Prywatnie – miłośnik gier, fantasy, boksu i tańca.

eprasa.pl 53e0f75d2b

PASZPORTY POLITYKI 2025

33 LATA PASZPORTU 2025

Nominacje: muzyka poważna

Yehuda Prokopowicz

Jeden z najmłodszych członków polskiej ekipy na tegorocznym Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim okazał się czarnym koniem. I choć do finału nie wszedł (zabrakło mu punktu), jury doceniło jego piękne mazurki, za które otrzymał Nagrodę Polskiego Radia. Ogłoszenie wyników III etapu skomentował krótko na Facebooku: „Za 5 lat polonez już będzie lśnił", wywołując podziw i sympatię internautów.

Urodził się w 2005 r. w Netanii i mieszkał w Izraelu przez pierwsze osiem lat życia. Tam jego najstarsza siostra Veronika, również pianistka, zaczęła uczyć grać swoje rodzeństwo (dwie siostry, dwóch braci). „Byłem najgorszy, ale okazałem się najlepszy" – żartuje Yehuda, najmłodszy (wówczas czteroletni), ale za to najbardziej wytrwały. Po przeprowadzce z rodziną do Krakowa przedmiotów ogólnych uczył się w systemie domowym, dzięki czemu miał więcej czasu na muzykę. W 2018 r. trafił do cenionego pedagoga prof. Stefana Wojtasa, a po jego śmierci, już na studiach w Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego – do dr. Krzysztofa Książka. Uczęszczał też na kursy mistrzowskie do profesorów Lidii Grychtołówny, Aleksandra Kobrina, Eldara Nebolsina, Katarzyny Popowej-Zydroń i Zbigniewa Raubo. Jest laureatem ponad 30 konkursów, m.in. Grand Prix na Konkursie im. Ignacego Jana Paderewskiego w Piotrkowie Trybunalskim (2021 r.), III nagrody i nagrody specjalnej na XXVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Szafarni (2021 r.), Nagrody Chopinowskiej i V nagrody na konkursie „Arthur Rubinstein in memoriam" w Bydgoszczy (2024 r.) oraz VI nagrody na 53. Ogólnopolskim Konkursie Chopinowskim (2025 r.). Był stypendystą programu Młoda Polska (2024 r.); jest też wieloletnim beneficjentem programu stypendialnego Fundacji Pro Musica Bona. W latach 2018–24 z Erykiem Koszelą współtworzył ProKosz Piano Duo; młodzi pianiści również wygrali szereg konkursów kameralnych, m.in. w Warszawie, Zamościu, Krakowie (2022 r.) i Rzymie (2023 r.).

Yehuda na estradzie sprawia wrażenie, jakby trema była mu całkowicie obca, słynne już stały się jego spojrzenia w stronę publiczności przed rozpoczęciem gry. Dba o wizerunek, jest elegancki, szczególnie lubi kapelusze. Oczywiście nie na koncertach.

© LESZEK ZYCH (3)

Ponadto zgłoszeni zostali:

Piotr Alexewicz (pianista)
Justyna Banaszczyk i Darek Pietraszewski (wydawcy, Pointless Geometry)
Aleksandra Demowska-Madejska (altowiolistka)
Mateusz Dubiel (pianista)
Lubomir Grzelak (kompozytor)
Paweł Horodyski (bas)
Paweł Kapuła (dyrygent)
Marta Kluczyńska (dyrygentka)
Rafał Kłoczko (dyrygent)
Karol Mossakowski (organista)
Szymon Mechliński (baryton)
Tomasz Ritter (pianista)
Maria Sławek (skrzypaczka)
Jacek Sotomski (kompozytor)
Jakub Stefek (organista)
Dorota Szczepańska (sopranistka)

PARTNER KATEGORII

ART & SCIENCE

eprasa.pl 53e0f75d2b

Natalia Rubiś

Pochodzi z Raby Wyżnej i podkreśla, że to miejsce ją ukształtowało. Wychowała się na muzyce góralskiej, jako dziecko śpiewała w trzech chórach i w dwóch zespołach ludowych. Do dziś ma żywy kontakt ze swoimi rodzinnymi stronami, daje tam koncerty, a w 2020 r. otrzymała tytuł Wiyrchowej Orlicy za działalność na rzecz promocji Podhala. Może dlatego szczególnie lubi rolę Moniuszkowskiej Halki – bo też jest dziewczyną z gór.

Jest absolwentką wrocławskiej Akademii Muzycznej i programu operowego w Yale School of Music, studiowała też w Hochschule für Musik w Dreźnie. Dzięki profesorowi z Wrocławia Bogdanowi Makalowi poznała męża, tenora Krystiana Adama Krzeszowiaka, który już wówczas robił karierę międzynarodową. Odwiedziła go w Halle w 2014 r., gdzie występował w operze „Giove in Argo" Haendla, wskoczyła w nagłym zastępstwie w rolę Calisto i w ten sposób zadebiutowała na scenie międzynarodowej. Śpiewała także w Madrycie, Pradze, Barcelonie i Wiedniu, a w Polsce – na najważniejszych scenach operowych i filharmonicznych, na Wielkanocnym Festiwalu Beethovenowskim (gdzie regularnie uczestniczy w cyklu wykonań mało znanych oper, prowadzonym przez Łukasza Borowicza) oraz na festiwalu Chopin i Jego Europa. Wykonuje też muzykę oratoryjną. Jej wszechstronny repertuar rozciąga się od baroku i oper Mozarta aż po dzieła Krzysztofa Pendereckiego – w sezonie 2024/25 w Operze Narodowej podziwialiśmy ją w wymagającej pod względem zarówno wokalnym, jak i aktorskim partii Benigny w „Czarnej masce". Otrzymała za nią nominację do nagrody „O!Lśnienia".

Najnowsze sukcesy, wysoko oceniane przez krytykę, to tytułowe role w „Aidzie" Verdiego i „Ariadnie na Naksos" Richarda Straussa w Operze Krakowskiej czy w „Salome" Richarda Straussa w Operze Wrocławskiej. Zachwyca zarówno głosem, jak i aktorstwem. Była finalistką konkursu Belvedere w Moskwie, jest laureatką m.in. nagrody specjalnej na Konkursie im. Marii Malibran w Mediolanie (2013 r.) i II nagrody na II Międzynarodowym Konkursie im. Antoniny Campi w Lublinie (2019 r.).

Gala wręczenia
Paszportów POLITYKI:
11 stycznia 2026 r.
(transmisja na TVP2 oraz
na profilach POLITYKI
w mediach społecznościowych)
Pozostałe nominacje
i lista zgłaszających:
polityka.pl/paszporty
Materiały dla mediów:
paszportypolityki.pl

Aleksandra Słyż

Nominowana już po raz drugi, więc przypomnijmy: pochodzi z Ełku, gdzie urodziła się w 1995 r. Tam rozpoczęła edukację muzyczną, początkowo na wiolonczeli. Na studia zdawała na poznański Uniwersytet Adama Mickiewicza na reżyserię dźwięku, co dało jej inną perspektywę na tworzenie muzyki: nauczyła się tam, jak tworzyć i przetwarzać nagrania. Już po roku zdała również na kompozycję do poznańskiej Akademii Muzycznej. Od początku interesowała ją zarówno sama elektronika, jak i łączenie jej z instrumentami. Współpracowała też z Wydziałem Animacji Uniwersytetu Artystycznego, co dało jej szersze spojrzenie na związki dźwięku z obrazem i przestrzenią.

Na Erasmusa pojechała do Royal College of Music w Sztokholmie; tamtejsza scena elektroakustyczna bardzo jej odpowiadała. Zainteresowała ją estetyka *drone*, czyli minimalistycznych, statycznych, ale stopniowo zmieniających się brzmień, i *glitch*, czyli dźwięków elektronicznych wynikających z błędów systemu, nawiązująca do muzyki syntezatorowej lat 90. Po stażu wróciła na studia magisterskie do Poznania, ale kontynuowała równolegle studia w Sztokholmie. Jej kompozycje były wykonywane na takich festiwalach, jak Warszawska Jesień, Ad Libitum, Sacrum Profanum, Unsound (także nowojorski), Sanatorium Dźwięku, a za granicą – Between Festival (Sztokholm), CTM Festival (Berlin), Idealistic Festival (Kopenhaga), ORF Musikprotokoll (Graz).

Jej dzieła to gra z czasem, ale też z zależnościami między dźwiękiem i ruchem. Na debiutanckim albumie „Human Glory" (2020 r., Pointless Geometry) znalazły się utwory stworzone za pomocą czujników ruchu. Na drugim, „A Vibrant Touch" (2022 r., Warm Winters Ltd.), dźwiękom elektronicznym towarzyszą instrumenty. Z czasem zwróciła się w stronę wizualną, tworząc wspólnie z dwójką tancerzy utwór „SYNESTE7JA.1" oraz „Under/Water". W ostatnim roku dała się zauważyć m.in. dzięki monodramowi „Ghosting" z Alex Freiheit (wyszedł też na płycie) oraz muzyce na orkiestrę instrumentów futurystycznych (tzw. *intonarumori*, konstrukcje Luigiego Russolo), stworzonej dla Sanatorium Dźwięku.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Najtrudniej zagrać siebie

W filmach dajemy miejsce ludziom, którzy stoją na krawędzi, i staramy się nie czuć od nich lepsi – mówi Agnieszka Grochowska, odtwórczyni głównej roli w dramacie społecznym „Brat".

Agnieszka Grochowska (ur. w 1979 r.) – aktorka, laureatka wielu nagród, m.in. trzykrotnie uhonorowana w Gdyni. Często gra za granicą, głównie w Skandynawii i w Niemczech. Ukończyła warszawską Akademię Teatralną; jest związana m.in. z Teatrem Studio. Rozgłos zyskała, występując w filmach „Warszawa" i „Pręgi". Zagrała m.in. w „Wałęsa. Człowiek z nadziei", „W ciemności", „Fucking Bornholm", „Obce niebo", „Żeby nie było śladów", „Kos".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– „Interesuje mnie już tylko przekraczanie granic, zmiana, popełnianie błędów, dużo bardziej niż lęk przed nimi" – powiedziałaś pięć lat temu w wywiadzie dla „Elle". Podtrzymujesz tę deklarację?**

AGNIESZKA GROCHOWSKA: – Tak. Interesuje mnie robienie rzeczy, których jeszcze nie próbowałam. W tym czasie sporo się wydarzyło. Za namową Mateusza Rakowicza odbyłam 10-miesięczne treningi kick-boxingu, co kompletnie zmieniło moje życie. On wiedział, że jestem w miarę odważna, że poszukuję nowych rzeczy, ale nawet jego zdziwiła moja zajadłość i to, że nie odpuszczam. Nadal trenuję. Wyjeżdżając na wakacje, zabieram ze sobą skakankę. Kaskaderzy i kaskaderki poradzili mi, że jak nie będzie sprzyjających warunków do uprawiania sportu, to przynajmniej sobie poskaczę. Utrzymuję formę. Przestałam się bać, że czegoś mogłabym nie zrobić. Pod wieloma względami jestem silniejsza niż wtedy, kiedy miałam 35 lat.

Jak się gra graniczne doświadczenia, nie znając ich z własnego życia? Weźmy „Obce ciało" Zanussiego, w którym pojawiasz się z pejczem w roli perwersyjnej seksualnej dominy.

To fantazja reżysera. Jedyny przypadek w moim życiu, gdy ktoś przełożył zdjęcia o pół roku, by na mnie poczekać. Byłam świeżo po porodzie, opiekowałam się trzymiesięcznym dzieckiem. Praktycznie nie wychodziłam z domu. Postawiłam swoje warunki, a pan Krzysztof się zgodził. Co do grania tego typu charakterów, wydaje mi się, że jest w nas wiele wariantów. Mierząc się z taką rolą, staram się niczego nie oceniać. Dotyczy to również matki dwóch dorastających chłopaków, którą gram w „Bracie". To nie było proste doświadczenie.

W tym wypadku miałaś skąd czerpać inspirację. Też wychowujesz dwóch synów.

Ale nie wymierzam kar cielesnych. Nie biję swoich dzieci kablem. Psychika ludzka jest skomplikowana i chyba dlatego robimy filmy. Mierzymy się z tym, badamy granice. Często dajemy miejsce ludziom, którzy stoją na krawędzi, i za wszelką cenę staramy się nie czuć od nich lepsi.

Oglądając cię na ekranie, odniosłem wrażenie, że stopiłaś się z tą rolą. ▶

© WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl 53e0f75d2b

Paszport Czytelników POLITYKI

FILM

1. Emi Buchwald
2. Kordian Kądziela
3. Eryk Kulm

SCENA

4. Mikita Iłyńczyk
5. Katarzyna Minkowska
6. Ramona Nagabczyńska

MUZYKA POPULARNA

7. Marcel Baliński
8. Sw@da i Niczos
9. WaluśKraksa-Kryzys

SZTUKI WIZUALNE

10. Agata Ingarden
11. Ant Łakomsk
12. Patryk Różycki

KSIĄŻKA

13. Stanisław Łubieński
14. Paweł Rzewuski
15. Ishbel Szatrawska

MUZYKA POWAŻNA

16. Yehuda Prokopowicz
17. Natalia Rubiś
18. Aleksandra Słyż

KULTURA CYFROWA

19. 11 bit studios
20. Centrum Archiwistyki Społecznej
21. Questline

Paszporty Polityki 2025

Weź udział w plebiscycie i wygraj w konkursie

W tym roku już po raz trzeci zapraszamy naszych czytelników i czytelniczki do wyboru jednego z laureatów Paszportów POLITYKI. Wybierz **tylko jedną z powyższych** tegorocznych nominacji i napisz krótkie uzasadnienie wyboru.

Zwycięzca głosowania zostanie laureatem Paszportu Czytelników POLITYKI 2025 i odbierze nagrodę na gali Paszportów POLITYKI.

Nagrodą w konkursie dla uczestnika, który oddał głos na laureata Paszportu Czytelników, a jego uzasadnienie wyboru zostało uznane za najciekawsze przez organizatorów konkursu, jest podwójne zaproszenie na Galę Paszportów POLITYKI (**11 stycznia 2026 r. w Warszawie**), a także opublikowanie uzasadnienia w tygodniku POLITYKA.

Aby wziąć udział w plebiscycie i konkursie, należy wyciąć kupon, wypełnić go i wysłać do 17 grudnia 2025 r. na podany na kuponie adres z dopiskiem: Paszport Czytelników.
Zagłosować można także elektronicznie na stronie: **polityka.pl/paszporty**.

Zagłosować można tylko raz – papierowo lub elektronicznie.
Regulamin plebiscytu dostępny jest na stronie **polityka.pl/paszporty**.

Więcej o nominowanych na stronach 80-87 oraz na polityka.pl/paszporty

KUPON KONKURSOWY

MÓJ KANDYDAT/KA DO PASZPORTU CZYTELNIKÓW – NUMER NA LIŚCIE: .....

UZASADNIENIE: .....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

Wycięty i wypełniony kupon należy włożyć do koperty i wysłać na adres redakcji: POLITYKA, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa 79, skr. pocztowa 13, do 17 grudnia 2025 roku (decyduje data stempla pocztowego).

TWOJE DANE:

Imię i nazwisko .....

Telefon: ..... E-mail:.....

Wysłanie kuponu jest równoważne z akceptacją regulaminu konkursu. Regulamin dostępny jest na stronie internetowej **polityka.pl/paszporty**

Administratorem danych osobowych konkursu „Paszport Czytelników POLITYKI" zwanego dalej „Konkursem" jest Organizator – Polityka Sp. z o. o. SKA z siedzibą w Warszawie, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa, wpisana do rejestru przedsiębiorców prowadzonego przez Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy w Warszawie XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego KRS 0000445981, NIP 7010363179, REGON 00216994400000.
1. Dane będą przetwarzane w celu realizacji Konkursu. Podstawą przetwarzania jest realizacja prawnie uzasadnionych interesów administratora w postaci realizacji Konkursu (przyrzeczenie publiczne) m.in. wydania nagród i komunikacji z Uczestnikiem, w tym w celu promocji własnych produktów administratora danych (art. 6 ust. 1 lit. f Ogólnego rozporządzenia o ochronie danych).
2. Uczestnikom Konkursu przysługuje prawo do żądania dostępu do swoich danych osobowych, ich sprostowania, usunięcia lub ograniczenia przetwarzania, a także prawo wniesienia sprzeciwu wobec przetwarzania danych opartych o prawnie uzasadniony cel administratora oraz wniesienia skargi do organu nadzorczego, którym jest Prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych.
3. Podanie danych osobowych jest dobrowolne, ale niezbędne do realizacji celów wskazanych w ust. 2 powyżej.
4. Dane będą przekazywane podmiotom współpracującym z Organizatorem, w tym świadczącym usługi pocztowe i hostingowe.
5. Dane przetwarzane będą przez okres niezbędny do realizacji Konkursu, a potem przez okres niezbędny do zabezpieczenia roszczeń i wykonania obowiązków określonych w przepisach prawa.

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ Maciej Sobieszczański, który reżyserował „Brata", nadał bohaterce moje imię. Sądzę, że celowo. To rodzaj zwierciadła, głębokiej konfrontacji. Moja dzielność jako rodzica, ale też wątpliwości i błędy miały stać się jej częścią. Jest jeszcze jedna piękna rzecz w tym filmie. Że mimo całego zawirowania, presji, przemocy, ta rodzina się podnosi. Tkwiąc w beznadziejnej sytuacji, wydawałoby się – straceni, nie poddają się, walczą.

„Brat" nie jest komedią, tylko mocnym dramatem społecznym z konfliktem niemal jak w tragedii antycznej. Czy w takiej konwencji trudniej pracuje się z dziećmi?

Wszystko układało się inaczej niż zwykle i „Brat" nie powinien się był właściwie udać. Dwie główne role zagrali chłopcy. Mieliśmy zaledwie 19 dni zdjęciowych. Wiele scen było realizowanych w jednym ujęciu. Ale tak dobry efekt końcowy nie jest przypadkowy. Za wszystkim stoi reżyser. Maciej nigdy na nic nie patrzy powierzchownie. Szukał Filipa i Tytusa osiem miesięcy. Wybrał ich z ponad pięciuset kandydatów. Potem były wielomiesięczne próby. Maciek dał chłopcom przestrzeń, uwagę i wziął za nich pełną odpowiedzialność. Potem spotykaliśmy się w szkole Wajdy i w bloku w Żyrardowie, gdzie zamierzaliśmy kręcić. Przed wejściem na plan wszystko zostało dokładnie ustalone. Praca z Filipem i Tytusem była wyjątkowa. Myślę, że wiele można się od nich nauczyć. Obaj są sportowcami – Filip Wiłkomirski jest mistrzem Polski w dżudo w swojej kategorii. Wiedzą, czym jest dyscyplina, hart ducha. Biją się o siebie, nie odpuszczają.

Filmowa matka jest surowa, nieugięta. Prywatnie też taka jesteś?

Jestem zupełnie inną mamą. Myślę, że uważną, na pewno troskliwą, zastanawiającą się na miliardy sposobów, czy to, co robię, nie będzie miało negatywnych konsekwencji. Choć przecież nie jestem w stanie wszystkiego przewidzieć. Wydaje mi się, że powinnam być ostrzejsza, bardziej bezkompromisowa, mocniej wyznaczać granice.

Wolisz grać silne kobiety, takie jak Danuta Wałęsa, bo też jesteś typem buntowniczki?

Przyjmując rolę w filmie Andrzeja Wajdy, myślałam o tym chyba inaczej. Wtedy pani Danuta musiała walczyć o to, żeby jej głos został usłyszany. Kręcenie filmu zbiegło się z publikacją jej książki. W „Marzeniach i tajemnicach" ona się wyzwalała, wychodziła z cienia swojego sławnego męża: prezydenta, noblisty, legendy Solidarności. Odzyskiwała swój głos, sama sobie zwróciła miejsce. Dzięki temu miała realny wpływ na rozbudowanie naszego scenariusza i na moją rolę w filmie Wajdy. Zmieniła go. Im dłużej jestem aktorką, tym bardziej podobają mi się propozycje niedające się zamknąć w jednym słowie, łamiące znaną mi perspektywę.

Zatrzymajmy się i podsumujmy. Matka, która jest zdolna do bicia dzieci, to nie jesteś ty. Szefowa korpo uprawiająca sadomaso to nie jesteś ty. Emancypująca się Danuta Wałęsa – też nie ty. Z jaką zagraną do tej pory postacią najbardziej się identyfikujesz?

A dlaczego to miałabym być ja? Właśnie o to chodzi, że to nie jestem ja, a jednocześnie prawdopodobnie w każdej z nich trochę mnie się objawia. Filmy, w których się pojawiam, również mnie zmieniają, rozwijają, coś mi uświadamiają także na temat relacji z innymi. Najtrudniej jest prawdopodobnie zagrać siebie. Jeśli miałabym wybrać jedną postać, pewnie najbliżej mi do pułkownikowej z „Kosa" Pawła Maślony. Szczerość, jakiś rodzaj prawości. Duży temperament, hardość. Upraszczam. Każdy ma jasną i ciemną stronę. Ale myślę, że tak jak ona próbuję zachować integralność. W moim przypadku polega to na tym, że próbuję pozostać sobą. Ta sama osoba na czerwonym dywanie i w kawiarni rano w swojej dzielnicy. Nie tworzyć persony, która się rozdwaja, roztraja w zależności od sytuacji.

Skąd w tobie potrzeba grania w kinie familijnym? „Akademia pana Kleksa", „Dziadku, wiejemy" nie są propozycjami ryzykownymi.

Miło jest zagrać w filmach, które mogą obejrzeć twoje dzieci. A na serio, w tym samym roku, w którym zagrałam w dwóch częściach „Akademii pana Kleksa", zrobiłam jeszcze „Dzień Matki", „Kosa" i „Skołowanych". W „Dziadku, wiejemy" nie mogłam sobie odmówić przyjemności spotkania z Janem Peszkiem. Po filmie sensacyjnym, w którym walczę na pięści, widzowie mogli mnie zobaczyć jeszcze w dramacie kostiumowym, melodramacie i bajce. Ciągnie mnie do różnorodności, przygody. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek się to zmieniło.

Zawsze wyglądałaś młodziej o co najmniej dziesięć lat. Jednak aktorki w twoim wieku zaczynają się skarżyć, że otrzymują coraz mniej ciekawych propozycji. Ciebie to nie dotyczy?

Kadr z filmu „Brat" w reż. Macieja Sobieszczańskiego

Na razie nie zdążyłam się przestraszyć. Gram różne rzeczy. Od „Wałęsy" – coraz bardziej wymagające. Pokusa, aby ciągle się sprawdzać, wypchnęła mnie kiedyś za granicę. Wygrywałam castingi poza Polską, zdobywałam nowe doświadczenia, z drugiej strony startowałam ciągle od zera, bo ludzie tam mnie nie znali. Nie dało się odcinać kuponów, musiałam wszystkim naokoło udowadniać, że jednak coś potrafię. Przeskakując z planu na plan z Zurichu do Oslo czy potem do Berlina, spotykałam ludzi, których nigdy na oczy nie widziałam. To zmuszało do nieustannej mobilizacji.

Atmosfera wiecznego zagrożenia, sprawdzania się, udowadniania sobie i innym, że jesteś dobra – odpowiadało ci to?

Tak, bo w jakimś sensie ona mnie budowała. Nie miałam czasu się bać, myśleć że nie dam rady. Dostając szansę, robiłam wszystko, żeby ją wykorzystać. Przyjęcie do grona aktorów Andrzeja Wajdy zadziałało jak trampolina. Dawało moc. To, że tak młodej osobie Wajda powiedział, że widzi w niej niezłomnego ducha, miało kolosalne znaczenie. Ośmieliło mnie do podejmowania wyzwań. Pewnie nie uda się tej intensywności utrzymać zawsze. Konieczne będą przerwy, spróbowanie czegoś innego. Jest mnóstwo wariantów do wyboru.

eprasa.pl 53e0f75d2b

© ŁUKASZ BĄK

Są różne przykłady aktorek, które pokierowały swoim losem w zaskakujący sposób. Niektóre kończą z aktorstwem przed czterdziestką, inne grają co najmniej do dziewięćdziesiątki. Nie wiem, czy to dobry pomysł eksploatować się tak długo. Po mocniejszych doświadczeniach czy po graniu w wielu filmach z rzędu potrzebny jest dłuższy odpoczynek. Nie da się być w pracy non stop. To zbyt poważne obciążenie psychiczne i fizyczne.

W liceum uczyłaś się niemieckiego, angielskiego, trochę rosyjskiego. Twój plan był taki, żeby wyfrunąć stąd i powalczyć o coś więcej, zrobić karierę zagraniczną?

To nie była świadoma strategia. Nie miałam sprecyzowanego celu, żeby wejść w europejski obieg i stać się np. Sandrą Hüller, którą obserwuję od „Toniego Erdmanna". Za każdym razem się nią zachwycam. To wynikało z czystej chęci prowadzenia ciekawego życia, pokonywania własnych lęków, zrobienia czegoś na przekór. Z pełną świadomością, że można popełnić błąd. Raczej tak o tym myślałam, a nie, że zajdę nie wiadomo gdzie. Potem doszły do tego dzieci i musiałam to jakoś wypośrodkować.

Ale niewiele brakowało, byśmy cię zobaczyli w „Nowym papieżu" Sorrentino. Po „Hani" Janusza Kamińskiego zainteresował się tobą Spielberg.

Moim zdaniem nie byłam gotowa, żeby tam wejść. Mentalnie było to poza moim zasięgiem. Wróciłam do Polski, zrobiłam potem „W ciemności", „Wałęsę. Człowieka z nadziei", dziesiątki filmów. Czy wykorzystałam swoją szansę? Sukces i uznanie na pstrym koniu jeżdżą. Ile w tym jest szczęścia, rozumu, ciężkiej pracy, przypadku – nie wiadomo. Generalnie, póki chce mi się chcieć i nie przestaję mieć wątpliwości, jest dobrze. Naprawdę jestem zadowolona, a nawet szczęśliwa. Jeśli przyjdzie taki moment, że nie zerwę się z łóżka o piątej rano, żeby pędzić na plan, przestanę to robić.

A dlaczego ci się chce? Potrafisz na to odpowiedzieć?

Bo interesuje mnie dialog z widzem. Grając, buduję rodzaj pomostu między własnym doświadczeniem a tym, co przeżywają inni. Tworzy się sieć porozumienia, pewna wspólnota w sztuce. Skraca się dystans. Czuję się wtedy naprawdę blisko ludzi. Dla mnie jest w tym coś niesamowicie wzruszającego. Momentami mam wrażenie, że jeśli coś może nas uratować, to właśnie taki rodzaj bezinteresownego spotkania.

Czy ponosisz jakieś koszty bycia osobą znaną w Polsce?

Nie mam takiego poczucia. Moja rozpoznawalność budowała się wiele, wiele lat, jakoś tak kropelkowo, powiedziałabym. Największa fala popularności przyszła wraz z komedią romantyczną „Tylko mnie kochaj", którą w 2006 r. obejrzało ponad 2 mln widzów. Miło było poczuć sympatię mas. W miarę szybko jednak nauczyłam się nie za bardzo przejmować pochlebstwami, tak samo zresztą jak skrajnie negatywnymi opiniami. Staram się nie czytać komentarzy w mediach społecznościowych. Wolę nie wiedzieć, co na mój temat pisze internet. Nie chciałabym, aby wywierało to realny wpływ na moje życie. Rozsądek i własna ocena – tym się kieruję. Tak jest bezpieczniej.

Twoje koleżanki, m.in. Magda Cielecka i Maja Ostaszewska, stały się twarzami feministycznej rewolucji. Biorą udział w manifestacjach, nie ukrywają swoich liberalnych poglądów. Taki aktywizm jest ci bliski?

Nie ukrywam swoich poglądów. Jednocześnie mam pewien problem z relacjonowaniem na bieżąco swojego życia w internecie. Z drugiej strony – nie sądzę, żebym nie zabrała głosu w jakiejkolwiek ważnej kwestii ostatnich łat. Prawa kobiet, granica, ludobójstwo w Gazie. Niestety jest ich bardzo, bardzo dużo.

Na czym polega twoim zdaniem to szczęśliwe życie?

Nie mamy innego wyjścia, niż żyć w zgodzie ze sobą. I w sumie chyba nie mamy innego obowiązku, niż się dowiedzieć, co to tak naprawdę dla nas znaczy. Uczymy się tego przez całe życie. Przez pewne rzeczy trzeba po prostu przejść. Każde pokolenie dokonywało – chcę w to głęboko wierzyć – jakiegoś progresu w ramach tego rozwoju.

Z drugiej strony często się słyszy, że kolejne pokolenia niczego się nie uczą. Przekazujemy sobie wyłącznie traumy, które są powtarzane na zasadzie tych samych błędów. To zapytam inaczej: czy istnieje wzór udanego związku?

Wydaje mi się, że dobry związek powstaje w momencie, kiedy dowiadujesz się, kim jesteś, i szanujesz siebie. Dopiero wtedy jesteś w stanie zrozumieć, uszanować i zaakceptować odrębność partnera lub partnerki. Od tego się zaczyna cała zabawa. Życzę tego wszystkim i sobie również.

Czyli bądźmy egoistami, szukajmy innych egoistów, którzy nasz egoizm zaakceptują?

Nie, nie, zupełnie nie chodzi o egoizm. Zabrzmi to banalnie, ale tylko człowiek, który szanuje własne granice, nie przekracza granic drugiego człowieka. Wierzę w to bardzo głęboko.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 53e0f75d2b

Piosenka to królowa form

Korzystając z generatywnej AI, nieodwracalnie zaśmieciliśmy przestrzeń cyfrową i pewnie już nigdy nie uda się jej oczyścić – mówi Jakub Ziołek, który po latach reaktywuje swój projekt Stara Rzeka.

Jakub Ziołek (ur. w 1985 r.) – gitarzysta, wokalista, kompozytor i producent muzyczny. Z wykształcenia filozof (skończył studia doktoranckie w zakresie filozofii techniki). Założyciel kolektywu Milieu l'Acephale, wytwórni Brutality Garden. Współtworzy takie formacje jak Alameda, Innercity Ensemble, T'ien Lai i Jantar, a także jednoosobowy projekt Stara Rzeka. Porusza się w szerokim rejonie między psychodelicznym rockiem i folkiem a taneczną muzyką elektroniczną. Nagrodzony Paszportem POLITYKI za 2015 r.

MICHAŁ WIECZOREK: **– 10 lat temu zakończyłeś działalność Starej Rzeki, która przyniosła ci największą rozpoznawalność. Teraz wracasz do tego szyldu. Dlaczego? I po co?**

JAKUB ZIOŁEK: – 10 lat temu napisałem ostatnie utwory dla Starej Rzeki. Zagrałem jeszcze trochę koncertów siłą rozpędu, ale nie pisałem nowej muzyki. Chyba po prostu byłem znudzony tamtą formułą. Cały czas miałem z tyłu głowy założenie, że jeżeli pojawi się jakiś nowy interesujący pomysł, który wart będzie eksplorowania w kontekście brzmienia Starej Rzeki, to go zrealizuję. I rzeczywiście ten pomysł się pojawił, jakieś pięć lat temu. Stwierdziłem jednak, że warto poczekać jeszcze kolejne pięć, żeby minęła pełna dekada. 10 lat to dobry czas na przerwę – projekt nabrał szlachetności przysługującej rzeczom dawnym, a zarazem nie jest to tak długi czas, by powrót zmienił się w benefis i noc żywych trupów.

Skąd się wziął u ciebie ten pomysł na wyimaginowany folk?

Zawsze podobał mi się nurt exotica tworzony przez takich ludzi jak Les Baxter, który w Ameryce chyba nigdy nie wyjechał poza swój stan, a pisał niby egzotyczną muzykę z innych krajów, która tak naprawdę nie miała z nimi nic wspólnego. W Starej Rzece zawsze chodziło mi o miks wielu elementów, które do końca nie miały jasnej przynależności kulturowej. To nigdy nie była muzyka stąd, z Polski, inspirowana polską muzyką ludową. Nie odwoływałem się też nigdy do żadnej konkretnej tradycji. To zawsze był zlepek inspiracji z różnych stron, z całego świata. Tak jest i teraz. Moja muzyka jest w dużym stopniu składana w wyobraźni, niezwiązana żadnymi rzeczywistymi kontekstami. Trochę jakby AI była już na tyle rozwinięta, żeby po prostu mogła tworzyć nowe gatunki, jakby można jej po prostu wprowadzić parę przypadkowych promptów dotyczących muzyki i dać zadanie wymyślenia muzyki folkowej, jakiej by chciała słuchać jako sztuczna inteligencja. W zasadzie to nie musiał być folk, ale to muzyka wdzięczna do eksperymentowania i przetwarzania przy pomocy

eprasa.pl 53e0f75d2b

instrumentów elektronicznych. Można się folkiem kreatywnie bawić, nie wpadając w przesadne skomplikowanie.

A czy wyobrażasz sobie robienie muzyki z pomocą AI?

Pomijając oczywiste kwestie etyczne, jestem do tego na razie sceptycznie nastawiony. Mam poczucie, że korzystając z generatywnej AI, nieodwracalnie zaśmieciliśmy przestrzeń cyfrową i pewnie już nigdy nie uda jej się oczyścić. Te wszystkie brzydkie obiekty będą nas nawiedzać, dopóki będzie istniał internet.

Z drugiej strony czekam na to, aż jakiś silnik AI będzie w stanie stworzyć nową, interesującą muzykę, której nie słyszałem wcześniej. To na pewno będzie ciekawe, ale nie wiem, czy chcę korzystać z tych narzędzi. To chyba kwestia sposobu pracy. Nie interesuje mnie tworzenie muzyki na zasadzie promptowania, pisania tekstu dla sztucznej inteligencji. Wolę coś żywego, spontanicznego. No i mam już za dużo okienek do wpisywania tekstów w swoim życiu. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że te narzędzia można wykorzystywać w dobry sposób, ale na razie używamy ich w sposób beznadziejny – do tworzenia ohydnych obrazów, wtórnej muzyki, a zaraz pewnie zaleje nas powódź pornografii tworzonej przez sztuczną inteligencję. Jestem otwarty na dobre zastosowanie AI w muzyce, jak mnie coś zainteresuje, to pewnie to wykorzystam. Tylko na razie jeszcze tego nie widzę.

Nie tak dawno zarzekałeś się w wywiadzie, że porzuciłeś całkowicie słuchanie muzyki anglosaskiej. W Starej Rzece ważny był jednak amerykański prymitywizm: gitarowy styl uprawiany od końca lat 50.

Wszystkie moje zarzekania należy traktować z przymrużeniem oka. Pogodziłem się z tym, że sam ze sobą nie powinienem się na nic umawiać. W ostatnich latach bardziej niż wspomnianym prymitywizmem zainteresowałem się iberoamerykańską muzyką klasyczną na gitarę, takimi kompozytorami jak Heitor Villa-Lobos czy Leo Brouwer. Uczyłem się ich utworów, podpatrywałem patenty. Ciągle najbardziej inspiruje mnie muzyka spoza kręgu anglosaskiego, to się nie zmienia, ale tak naprawdę to wolę na co dzień obcować z ciszą. Każda kultura, każdy region ma fantastyczną muzykę. Ta otwartość to chyba moja największa wada, wszystko mi się podoba. Może przez to, że mało słucham muzyki, tak łatwo mnie zachwycić. Często idę na jakiś koncert albo słucham jakiegoś utworu u dentysty i po prostu coś mi się spodoba w tym utworze. Wówczas pierwsze, co chcę zrobić, to biec do studia i spróbować zrobić to samo po swojemu. Stąd czerpię inspirację, a nie z pogłębionych analiz określonych nurtów czy kierunków geograficznych.

Oprócz projektów bardziej eksperymentalnych regularnie wracasz do zwartej formy piosenki. Co jest takiego w piosence, że jest dla ciebie tak ważna?

To królowa wszystkich form muzycznych, przynajmniej dla mnie. Napisanie interesującej, ładnej i dziwnej piosenki jest dla mnie najwyższą formą tego, co można dać słuchaczowi. Dobrze napisana piosenka potrafi w sekundę złapać człowieka i go nie puszczać przez kolejne tygodnie. Ciarki czy – jak się mówi w Japonii – „kacza skóra" to bardzo silne ▶

© ALEKSANDRA OLDAK

REKLAMA

eprasa.pl 53e0f75d2b

▶ fizyczne reakcje, które angażują całe ciało i wyobraźnię. Do tego całkiem szybko mi się pisze piosenki; jedno popołudnie i już. Inaczej jest z bardziej eksperymentalnymi, improwizowanymi utworami.

Szybko? Wielu muzyków mówi, że wcale nie jest to takie proste.

Dla mnie najtrudniejsze są teksty po polsku, męczę się przy nich straszliwie, a przy komponowaniu piosenek mam zasadę, że jeśli w ciągu pół godziny nie wyjdzie mi nic ciekawego, to odpuszczam, szukam innego pomysłu. Pisania piosenek można się nauczyć, można się nauczyć szukać tej reakcji, którą wyzwala dobra piosenka.

Czym w takim razie charakteryzuje się taka dobra piosenka?

Nie ma jednego modelu, wzorca, przepisu. Na artystów piszących piosenki patrzę w pierwszej kolejności jak na outsiderów tworzących symulakra, nie zaś jak na profesjonalistów odtwarzających gotowe wzorce. A jeśli chodzi o te symulakra, to mógłbym wymienić chociażby „Curse the Pharaohs" Mercyful Fate. Uwielbiam metal z lat 80., kiedy dopiero tworzyły się te wszystkie różne podstyle, które rozróżnia się na poziomie kwantowym pod mikroskopem elektronowym i kiedy planety takie jak dajmy na to Black Sabbath, Queen, Gary Numan były wciąż w naturalnej koniunkcji. Dobra piosenka nie musi być prosta rytmicznie, dlatego słucham muzyki popularnej z innych niż nasz kręgów kulturowych, szczególnie tych rytmicznie bardziej zaawansowanych niż anglosaski, gdzie często rytm podąża za melodią, a nie odwrotnie. To świetnie pokazuje birmański duet Yi Yi Thant & Aung Heina w piosence „Good Time". Uwielbiam też długie, rozłożone na wiele taktów melodie, które spinają się na sam koniec, gdy ostatnia fraza nadaje sens wszystkiemu, co się działo wcześniej. Doskonałym przykładem takiego podejścia jest „Good Days" SZA, która brzmi, jakby Alfred Hitchcock nagrywał R&B.

Choć polski folk na początku Starej Rzeki nie był dla ciebie inspiracją, teraz pojawia się utwór „Oberek z domu wilków", wykorzystujesz to trójkowe metrum oberka. Też dałeś się ponieść zwrotowi ludowemu?

Polska muzyka ludowa nigdy nie miała dla mnie większego znaczenia. Wychowałem się w mieście, w Bydgoszczy, polska muzyka wiejska była mi równie obca i niedostępna jak muzyka ludowa z Japonii czy Afryki. I to się niewiele zmieniło. Czasem

Opętanie można przedstawić w sposób, który jest ładny i straszny jednocześnie, opakować je w atrakcyjną formę piosenki.

czegoś posłucham, ale sam nie robię jakiegoś poważnego researchu. Szanuję takie pogłębione podejście do tematu, ale nie mam w sobie tego typu ambicji. Oberek jest ciekawy i nieciekawy zarazem. Wypowiadam się teraz z pozycji laika, ale oberek dla mnie to właściwie nie tyle rytm, ile metrum: 3/8, 6/8. A on sam jest dla mnie – by wziąć określenie ze strukturalizmu – „unoszącym się znaczącym". Nie ma jasnej, wyrazistej definicji ani tożsamości. Nabiera ich, staje się rytmem dopiero w toku pewnych przekształceń, wariacji i improwizacji; jego tożsamość definiują w relacji z innymi elementami. Dlatego można z nim dość swobodnie eksperymentować. I tak właśnie robiłem na najnowszej płycie Starej Rzeki, bawiłem się metrum, zmieniałem je na parzyste, by zaraz wrócić do trójkowego.

Lejtmotywem „Wynoś się z mojego domu" jest opętanie w różnych formach. Dlaczego zdecydowałeś się na taki koncept?

Obecnie bardziej interesują mnie filmy niż muzyka. Przede wszystkim azjatyckie horrory. W ostatnim czasie w tym nurcie pojawiło się sporo filmów, które eksplorują ludowość, opętania. Nałożyło się to na słuchanie albumu Kate Bush „The Dreaming", z którego wziąłem tytuł swojej płyty. Opętanie jest na tyle pojemnym pojęciem, że stwierdziłem, że zrobię wokół niego album koncepcyjny. Opętanie może być przecież pozytywne i negatywne. Jak pasożyty – przecież mitochondria to dawne pasożyty, które zostały wchłonięte przez pierwotne organizmy, a dziś są częścią komórek, bez których nie jesteśmy w stanie żyć. Opętanie w miłości też ma dwa oblicza. No i jesteśmy teraz opętani mediami społecznościowymi, algorytmami, sztuczną inteligencją. Do tego dochodzi mistyczne i religijne opętanie. To bardzo pojemny koncept, który pomaga mi przy pisaniu. Napisanie tekstu, który nie będzie pełen cringe'u i obciachu, jest upiornie trudne, a zaśpiewanie go jeszcze trudniejsze. Postawienie przed sobą pewnego założenia uporządkowało mi pracę i pomogło w tym procesie.

Siły nadprzyrodzone występowały też na poprzednich albumach Starej Rzeki.

Dlatego ten konkretny temat tak mi podpasował. Chyba też rezonuje z blackmetalową frakcją fanów Starej Rzeki. Nie muszę się do tego gatunku odwoływać bezpośrednio, przywoływać tych wszystkich demonicznych obrazów. Opętanie można przedstawić w sposób, który jest ładny i straszny jednocześnie, opakować je w atrakcyjną formę piosenki. Podobnie pracuję w zespole Jantar, tam też piosenki są podszyte pewną dziwnością, niepokojem. Porównuję to do słodkiego deseru, który, gdy się go przełamie kwaśnością albo goryczą, zyskuje nową głębię. Oczywiście trzeba robić to z wyczuciem, aby nie popaść w pretensjonalność czy kicz. Ale takie balansowanie to chyba jest po prostu los artysty, zawsze jest się o krok od śmieszności.

Zapowiadasz kilka koncertów, ale jednocześnie zaznaczasz, że Stara Rzeka nie wróci do intensywnej scenicznej aktywności.

Nie lubię koncertów, nie lubię wyjazdów. Strasznie mnie męczą. Najchętniej bym wymyślał utwory, miksował i po prostu dawał komuś innemu, żeby je grał na żywo i zarabiał na tym pieniądze. Gdybym tylko mógł się utrzymywać z wymyślania utworów, toby mi to w zupełności wystarczało, ale niestety muszę grać koncerty, żeby mieć jakieś pieniądze. Najbardziej lubię podróżować czysto rekreacyjnie albo w domu, we własnej głowie, bezpiecznie, w ciszy i spokoju, nie musząc mieć kontaktu z ludźmi.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WIECZOREK

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 53e0f75d2b

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Ostatnio głośno było o Bartku Jędrzejaku, który na antenie TVN powiedział: „Nie no, trwa program, kur*a, ludzie!". Szczerze mówiąc, nie ma podstaw, żeby się z nim nie zgodzić.

●

Wójt Przechlewa Andrzej Żmuda-Trzebiatowski, ojciec znanej aktorki, po raz kolejny spowodował wypadek samochodowy pod wpływem alkoholu. Występy w serialu to, jak widać, rodzinna tradycja.

●

Kibice trzecioligowej Wisłoki Dębica motywowali Zbyszka Ziobrę do powrotu transparentem: „Ziobro fujaro, dalej nie chcesz liczonych nocek w ZK?". Wisłoka, podobnie jak Zbyszek, grała na wyjeździe.

●

Krzysztof Rutkowski poprowadzi program „Rutkowski na żywo" w kanale Show TV, gdzie będzie udzielał widzom porad na żywo. Jeśli nie będą to porady dotyczące garderoby i strzyżenia, przeżyją wszyscy.

●

Karol i Marta Nawroccy zostali wybuczeni przez publiczność podczas gali 200-lecia Opery Narodowej. Ta prezydentura jest jak „Don Giovanni" Mozarta, czyli *dramma giocoso* – dramat i komedia w jednym.

●

„Córka Beaty Kozidrak szuka krawcowej. Ujawniła, ile może zapłacić" – informują media. Cieszę się, że to wiem. Wiedza jest najbardziej wartościowym towarem na świecie.

●

Maryla Rodowicz poprosiła Quebonafide o napisanie jej tekstów na nową płytę. Raper spotkał się z nią na korcie, rozegrał pojedynek i zniknął. Czyli miała być mączka, a wyszła nawierzchnia twarda.

●

„Ja się na terapii dowiedziałem, że to nie był w związek, że ja byłem w jakimś układzie". To Tomasz Karolak o relacji z Violą Kołakowską. Nareszcie. Kamień z serca. Tomek wreszcie rozpoczął terapię.

●

Porażka serwisu Pudelek VIP przeznaczonego dla najbardziej zaangażowanych użytkowników. Okazało się, że takich nie ma. Ładny, elegancki pomysł. Jak wywóz nieczystości *all inclusive*.

●

Elizabeth Anorue, influencerka i gwiazda „Królowej przetrwania", chce wyjechać z Polski, gdyż nie czuje się tutaj szczęśliwa. Z powodu wyjazdu tej pani zaprzestałem prób dociekania, kim właściwie jest.

●

Z solowym podkastem „Proszę ja Ciebie" ruszył Szymon Majewski. W pierwszym odcinku piękny hołd dla Joasi Kołaczkowskiej. Dla jednego zdania warto posłuchać: „Czuję się wybrakowany, niepełny...".

●

„Danuta Martyniuk w »Halo tu Polsat« mówi wprost, czy zaprosi Daniela na Wigilię". Syn Daniel żyje w prostym cyklu: imprezy, imprezy plus problemy, same problemy.

●

Serwis Plotek triumfuje: „Tylko u nas. Doda zdradziła, co robi z zepsutym jedzeniem". Fakt. Zwrot „tylko u nas" jest jakimś usprawiedliwieniem.

●

Marianna Schreiber starła się ze swoim byłym, Piotrem Korczarowskim, na portalu X: „Piotrek, zabrałeś ostatni ser z lodówki". Ciekawe. Korczarowski twierdzi, że wszystkiego nauczył go Grzegorz Braun.

●

Dorota Masłowska żąda usunięcia z piosenki Heleny Englert zwrotu „kanapki z hajsem", gdyż to ona go wymyśliła. Helena ogłasza, że tekstu nie ukradła. Ja żądam usunięcia z „Autobiografii" zwrotu „było nas trzech", bo używałem go w przedszkolu z kumplami.

© VIPHOTO/EAST NEWS

Joanna Krupa wypowiedziała się na temat związku z Dominikiem Tarczyńskim: „Jestem single". Jako że z angielskim w PiS bywa różnie, podpowiadam: Dominik. Nic z tego.

eprasa.pl 53e0f75d2b

Koziołek

Rączek nie ucinamy

Nie wie pani, gdzie jest moja mama? – zapytał sąsiadkę malec dzwoniący bez skutku do swojego mieszkania.

– Nie widziałam jej, ale na pewno jest w pralni chemicznej u koleżanki – odpowiedziała.

– A skąd pani wie? – dopytywał.

– Bo jestem wiedźmą – odpowiedziała mu poważnie. – Wszystko wiem. I to, że wyrzucasz śmieci do kosza, bo nie chce ci się chodzić do śmietnika.

– Tylko niech pani nie mówi mamie – poprosił i zniknął za rogiem. Ale jeszcze wychylił głowę i zagroził: – Bo powiem wszystkim, że jest pani wiedźmą.

– Proszę się nie śmiać – włączyłem się. – Ludzie zrobili się bardzo dosłowni, a na dodatek wierzą w to, co widzą i słyszą.

Z kreskówki „Tom i Jerry" zapamiętałem taką scenę. Kot Tom jak zwykle goni Jerry'ego, który jest myszą. Jerry w panice wybiega przez otwarte okno, a kiedy się orientuje, że jest w powietrzu na wysokości kilku pięter, odwraca się i wpada z powrotem do mieszkania. Nie pamiętam, żebym jako dziecko próbował czegoś podobnego, ani nie słyszałem nigdy o żadnym innym, które po obejrzeniu takiej sceny podjęłoby taką próbę. Ponieważ rozumiemy, że to fikcyjny świat.

Już mniej więcej od trzeciego roku życia umiemy grać w wyobraźnię. Ten bardzo skomplikowany proces wytwarzania fikcji przy użyciu patyka czy kawałka sznurka pozwala nam poszerzać rzeczywistość o sferę, którą wybitny psycholog zabawy Donald Winnicott nazwał „przestrzenią potencjalną". Choć zrobiona z elementów rzeczywistości, nie jest światem, który dziecko dzieli z rodzicami i rówieśnikami. Dzięki posiadaniu wyobraźni i rozwijaniu jej w zabawach w zmyślone światy przygotowujemy się do tworzenia i rozumienia prawdziwie złożonych przestrzeni potencjalnych, jak literatura oraz sztuki sceniczne i wizualne. Bez tej dyspozycji do rozumienia i tworzenia fikcji nigdy nie stalibyśmy się dorośli, czyli zdolni do używania w relacjach z innymi ludźmi języka symbolicznego.

> Zabawa i sztuka są po to, aby móc z życiem eksperymentować „na niby". Dzięki temu możemy być dojrzalsi i mądrzejsi.

Ten rodzaj intelektualnej niewydolności zilustrował Witold Gombrowicz w opowiadaniu „Dziewictwo". Jego bohater Paweł prosi Alicję o rękę: „– Wszak nie chce pan chyba, abym ucięła sobie rączkę – rzekła naiwna dziewczyna, oblewając się jednak rumieńcem". Alicja nie umie grać w podstawową grę społeczną, czyli w wymianę konwencji językowych, którą traktuje dosłownie, a nie jako frazeologizm – „ręka" zamiast całej Alicji jako potencjalnej żony Pawła.

Skoro nawet dziecko wie, że Herod w jasełkach to nie prawdziwy starożytny Herod Wielki, król Judei z nadania Rzymu, ale Janek z Vb z przyklejoną brodą i wąsami, to dlaczego spora liczba dorosłych pisze do aktora Tomasza Schuchardta, jakby ten naprawdę był Grześkiem z filmu „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego? A może hejterzy to gombrowiczowskie dziewice nierozumiejące, co to metafora, albo nawet nieodróżniające słów od rzeczy? Niczego podobnego nie twierdzę.

Uważam natomiast, że jedno łączy ich z pogrążonymi w autoiluzji dziećmi. Nie ma obok nich dorosłych, którzy przypominają, że to zabawa. W tym wypadku brzydka. Należy to robić z tych samych powodów, dla których nie pozwalamy dzieciom bawić się bez końca, tylko co rusz psujemy im zabawę, zmuszając do odrobienia lekcji, zjedzenia obiadu czy pójścia spać. Sam jako dziecko byłem w stanie zaczytać się do tego stopnia, że nie widziałem i nie słyszałem ludzi w bezpośrednim sąsiedztwie. Dopiero kiedy zezłoszczona mama zamykała mi gwałtownie książkę, rozglądałem się wokół nieprzytomnymi oczami, które jeszcze przed chwilą chłonęły pojedynek d'Artagnana z trzema muszkieterami. Inny świat nie istniał. Nie inaczej było z czytelnikami „Ogniem i mieczem", którzy zamawiali mszę za duszę Podbipięty, lub z widzami ostrzegającymi Poloniusza, że za chwilę Hamlet przebije go szpadą.

Interwencje rzeczywistości w zabawę, w grę i fantazjowanie czy nawet w obcowanie z najwybitniejszą sztuką są równie ważne jak sama sztuka twórczej wyobraźni. Przypominają, że to, co prawdziwe w człowieku, nie ze słów i obrazów jest zrobione, lecz z wrażliwego ciała i uczuć, które bolą naprawdę. A zabawa i sztuka po to są, aby móc z życiem eksperymentować „na niby"; jakby to było naprawdę. Bo na szczęście prawdziwe nie jest. Dzięki temu możemy być dojrzalsi i mądrzejsi, nie ponosząc kosztów, jakie płacą napisani bohaterowie albo ich prawdziwe prototypy.

Jest wszelako jeszcze inny stan umysłu odurzonego sztuką lub kłamstwem. Jego właściciele znają różnicę między zmyśleniem a rzeczywistością, ale zachowują się tak, jakby jej nie znali. Utrzymują się w iluzji, aby ocalić swoje wyobrażenia o świecie, które interwencja prawdy mogłaby zniszczyć lub naruszyć. Na to nie ma rady. No, może poza jedną. Trzeba być konsekwentnym i trwać w dziewiczej nieświadomości, że fikcja i rzeczywistość to jedno, jak rola i aktor. Niech więc hejterzy napiszą coś miłego Schuchardtowi (przepraszam: Markowi) po tym, jak zobaczą go w „Heweliuszu" we wzruszającym epizodzie z jajecznicą.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Chutnik Plebanek

Gwałcą, te dzikusy!

W taksówce było miło, elokwentny kierowca trafnie diagnozował przyczyny warszawskich korków, zręcznie je przy tym omijając. Aż palnął: „Przyjeżdżają te dzikusy, cywilizują się i chcą u nas zostać. Gwałcą dziewczyny, i to ile!”. I od razu wskazał sunącego na sąsiednim pasie Ubera. W hali odlotów na Okęciu Grażyna wciąż myślała o tych dzikusach. Samolot do Alicante, dokąd leciała na unijną konferencję na temat praw autorskich, pękał w szwach. Język polski wypełniał go, potem rozlał się na tamtejsze lotnisko. A gdy po dwóch dniach konferencji udało się wyrwać nad morze, na deptaku polski konkurował z rosyjskim, a zadowoleni Polacy maszerowali wzdłuż przystani jachtów całymi rodzinami. „Żabie udka jadłem, ale ten zapach...” – doleciał strzęp zwierzeń. „Te różne robale podobno są źródłem białka” – odpowiedział ktoś polubownie.

„Cywilizujemy się” – pomyślała Grażyna. I choć prezydent widzi w Unii Europejskiej zagrożenie dla polskiej suwerenności, jego wyborcy zalegają w „Resto Don Pepe” chmarami, a kelnerzy próbują zgadnąć, co znaczy „po-rząd-nie wy-pie-czo-ny!”.

Polska to kraj paradoksów. Chcemy jeździć do Alicante i szykować tam sobie bezpieczne miejscówki w razie, gdyby czołgi rosyjskie zapędziły się w lubelskie. Ale Unii nie lubimy, bo nam wciąż coś nakazuje, np. honorować małżeństwa jednopłciowe, a to już, jak wiadomo, jawna potwarz dla polskiego patrioty. Masowo jeździmy pracować do innych krajów, ale kiedy u nas pojawiają się pracownicy spoza Polski, burzymy się. Że nie gwałcimy? „Dom dobry” Wojciecha Smarzowskiego pokazuje inną wizję Polski i jest ona bliska temu, co znamy z życia, począwszy od odgłosów awantur w blokach, po siniaki sąsiadek nieskutecznie tuszowane korektorem. Mieć ciastko i je zjeść. Być patriotą, ale przy tym migać się od ewentualnego powołania do wojska. Bronić ojczyzny przed „dzikusami” i jednocześnie dekować się w Alicante. Dziecinne to i roszczeniowe.

> Mieć ciastko i je zjeść. Bronić ojczyzny przed „dzikusami” i dekować się w Alicante. Dziecinne to i roszczeniowe.

W Muzeum Woli w ramach festiwalu „Warszawa w budowie” trwa wystawa „Starsze miasto”. Tematem jest starość wpisana w przestrzeń miejską. Zadbano też o kontekst migrantek, które przyjeżdżają do Polski w poszukiwaniu pracy. Nie mają imion, są „tymi Ukrainkami”, które poprawiają poduszkę, zmieniają pieluchę czy gotują obiady i karmią.

Teoretycznie wszystkie opiekunki powinny mieć umowę na etat regulowaną przez Kodeks pracy. Pracują w określonym czasie, miejscu i pod nadzorem, spełniają więc kodeksowe kryteria umowy o pracę. W praktyce najczęściej są zatrudniane w ramach umów cywilnoprawnych lub na czarno. Zakres ich obowiązków wpisany w umowy zazwyczaj odbiega od rzeczywistości, bo praca obejmuje nie tylko czynności medyczne, ale i te związane ze sprzątaniem, zmywaniem, wyrzucaniem śmieci, spacerowaniem z psem, opieką nad kotem, zabawianiem chorej osoby. Opiekunki robią to, czego nie ma w umowach ani pisemnych, ani ustnych. Nieubezpieczone, nie mają gdzie szukać pomocy. Agencje zatrudnienia umywają ręce, w sytuacjach skrajnych odmawiają wypłaty wynagrodzenia.

Podobna sytuacja dotyczy naszych rodaczek pracujących na Zachodzie, choćby w Belgii. „Polka” to tu synonim pomocy domowej, niańki lub sprzątaczki. I one pozbawione są imion, a jeśli już ktoś się wysili, by wymówić „Agnieszka”, słychać ton paternalizujący. „Magda porządnie sprząta, bo Polki to dobre sprzątaczki” – słyszy się w Brukseli. Ale i tutaj perspektywa się zmienia. O ile z pogardą patrzymy na osoby wykonujące pracę opiekuńczą w Polsce, o tyle się denerwujemy, gdy krzywda dzieje się „naszym” za granicą. A że społeczeństwa w Europie się starzeją, nasuwa się pytanie: jak ten sektor będzie wyglądać za dwie, trzy dekady?

Kiedy dziadek Sylwii umierał w szpitalu, opiekowały się nim salowe i pielęgniarki ze wschodnim akcentem. Pewnie pod koniec życia wodę podawać nam będą właśnie one, o ile do rządów nie dojdą rusofile chcący zakazać migracji. Ciekawe, kto się nimi będzie zajmował na starość? W Muzeum Woli opiekunki, głównie Ukrainki z Komisji Pracownic i Pracowników Domowych, opowiadają o swojej pracy poprzez instalację „Pokój bez drzwi”, kontynuację projektu „Opiekunki. Chcemy całego życia”. Doświadczenie opieki nad starszymi, chorymi bliskimi przybliżają także prace Zbigniewa Libery, Moniki Mamzety oraz instalacja Magdy Mosiewicz „Kurs sprawnego upadania”. Kiedy sobie uświadomimy, że polskie społeczeństwo upadnie bez pracy osób spoza Polski?

Wskutek ograniczenia migracji przez Trumpa całe sektory w USA zostały bez rąk do pracy. I jakoś nikt z „tubylców” nie garnie się do harówy. Marsze w obronie ojczyzny przed migrantami są odbiciem wyobrażeń o „kraju wolnym od obcych” – bez odzwierciedlenia w rzeczywistości. W narodzie złożonym z samych przyjezdnych to piętrowa hipokryzja. A kiedy my przestaniemy dać się wodzić za nos politykom i spojrzymy w przyszłość realistycznie?

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 53e0f75d2b

Ile prawicy na lewicy

Niedawno Jan Hartman w tekście „Do czego służy przedsiębiorca?" zastanawiał się, jaka powinna być lewica. Doszedł do wniosku, że nie powinna być lewicowa, tylko liberalna. W polskiej publicystyce przez ostatnie 35 lat ten postulat wysuwało już wielu liberałów, a drugie tyle konserwatystów się domagało, by lewica była konserwatywna. Nie przypominam sobie, żeby lewicowi publicyści rewanżowali się, pisząc, że liberalizm i konserwatyzm powinny się stać bardziej lewicowe. Może jest nas za mało, żebyśmy mieli czas na takie zajęcia.

Postaram się na pytanie o lewicę odpowiedzieć na serio, dlatego zacznę od definicji. Na moje pojmowanie lewicy i prawicy kluczowy wpływ mieli czytani w młodości Jan Baszkiewicz, Franciszek Ryszka i Władysław Kopaliński. Ten trzeci może pozornie nie pasować do grona historyków idei, ale jego słowniki i „Koty w worku" uważam za autorytatywne, jeśli chodzi o objaśnianie pojęć i wyrażeń.

Wbrew stereotypowi, który łączy lewicę i prawicę z rewolucją francuską, Kopaliński podkreślał, że tych pojęć w nowożytnym znaczeniu używał już Szekspir w „Koriolanie", sztuce o początkach rzymskiej republiki. Rzymianie odkryli wtedy coś, co potem odkrywały różne narody, z Polakami włącznie – że obalenie tyranii nie rozwiązuje wszystkich problemów społecznych. Obywatelska swoboda to wspaniała rzecz, ale nie można jej włożyć do garnka.

> Już starożytni Rzymianie odkryli, że obalenie tyranii nie rozwiązuje wszystkich problemów społecznych.

Rzymski plebs uznał, że transformacja ustrojowa nie przyniosła mu wolności, tylko zamianę jednej niewoli na drugą, i zareagował demonstracyjnym opuszczeniem miasta na pobliskie wzgórze (*secessio plebis*). Przyciśnięci do muru patrycjusze niechętnie zgodzili się na polityczne ustępstwa, przede wszystkim na stworzenie instytucji trybunów ludowych, czyli obdarzonych potężnymi uprawnieniami urzędowych reprezentantów plebsu.

Ta instytucja zapewniła rzymskiej republice imponującą stabilność. Przetrwała prawie 500 lat, dłużej niż wszystkie nowożytne demokracje (może z wyjątkiem San Marino). Upadek miał wiele przyczyn, ale jedną z nich z pewnością był zapoczątkowany przez kontrowersyjnego dyktatora Sullę demontaż trybunatu. Sulla chciał wzmocnić republikę, ale zadał jej śmiertelny cios.

Nie były to lewica i prawica w nowożytnym znaczeniu, nie było bowiem wyborczej równości. Była jednak tradycja wynikająca z ludzkiej anatomii, że gdy sadzamy gości przy stole, miejsce po prawicy gospodarza jest zarezerwowane dla osoby najwyższej rangą. Zatem przez stulecia przedstawiciele patrycjatu w różnych gremiach zasiadali po prawej, a przedstawiciele plebsu po lewej. Ta tradycja jest żywa do dziś. Nadal istnieje protokół, zgodnie z którym goście sadzani są przy stole np. na przyjęciu w ambasadzie. Na prawo od ekscelencji gospodarza usiądą senatorowie, celebryci, prezesi, laureaci, a na lewo: tu felietonista, tam nauczyciel, ówdzie jakiś autor niszowych książek. Wobec prawa jesteśmy równi, wobec protokołu – nie.

Lewica w nowożytnym znaczeniu oznacza więc reprezentowanie tych, którym protokół wskazuje miejsce po lewej stronie. Często tak tradycyjnie sadzana jest w parlamentach (gdzie rolę gospodarza pełni król albo marszałek). I w krajach o wieloletniej tradycji demokratycznej działa to w miarę sprawnie od dekad. W krajach postkomunistycznych mniej sprawnie – ale przecież nie tylko to.

Wracając do pytania, jaka powinna być lewica – z definicji przede wszystkim powinna reprezentować warstwy mniej uprzywilejowane. To można rozmaicie interpretować, dlatego jeden odłam będzie postulować rewolucję, a drugi wzmacnianie związków zawodowych i inspekcji pracy. Jednak już starożytni Rzymianie rozumieli pluralizm, oni też za republiki mieli od dwóch do dziesięciu trybunów (dopiero w cesarstwie wystarczał jeden, zazwyczaj oczywiście sam cesarz).

Kiedy Hartman domaga się od lewicy, żeby ta była bardziej otwarta na potrzeby najbogatszych, domaga się, żeby ta zaprzeczyła samej swojej definicyjnej istocie. Chce prawicowej lewicy. Owszem, w niedomagających czy upadających republikach zdarzają się takie zjawiska. Prawicowo-populistyczny premier Słowacji Robert Fico jest *de nomine* socjaldemokratą, a jednym z ostatnich trybunów rzymskiej republiki został demagogiczny patrycjusz Publiusz Klodiusz Pulcher, ale to nie są pozytywne wzorce.

Hartman twierdzi, że jeśli przedsiębiorca nie będzie gnębiony podatkami, sam z siebie będzie „budować przedszkola". Historia 2,5 tys. lat dowodzi, że to tak nie działa, a nieliczne kontrprzykłady, jak Andrew Carnegie są niejednoznaczne. Sam Carnegie był przecież zwolennikiem podnoszenia podatków najbogatszym (podobnie jak dzisiaj Warren Buffett).

Stabilność ustroju republikańskiego wymaga równoważenia interesów tych zasiadających po lewej i tych po prawej stronie. Na tym ustroju nie zawsze wszystkim zależy, czasem zamiast pluralizmu wygrywa opcja „jeden naród, jeden przywódca, jeden trybun", ale chyba nie tego pragnie Jan Hartman?

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 53e0f75d2b

Hartman

I co teraz?

Nie znam filozofa, który mówiłby tak mądrze jak mój model językowy AI. Na razie kompiluje fachowe artykuły, lecz w przyszłości pożywi się własnymi wytworami. Ludzkie teksty przykryje grubą warstwą „generyków". I co teraz? Nagle się okazało, że my, ludzie wyszczekani, po prostu mamy w głowach generatory różnych głęd, które na komendę wydajemy z siebie paszczą lub palpacyjnie na klawiaturze – machinalnie, na papuzią modłę, aczkolwiek kudy nam do ej-aja!

Od dwóch lat uniwersytety całego świata znalazły się w prawdziwym stuporze. Oniemiałe udają, że nic się nie stało, i na oślep próbują przeżyć choć jeden rok więcej po staremu. Analogowi adiunkci zapewniają, że to nic, bo przecież można ze studentami rozmawiać i sprawdzać ich wiedzę oralnie. Dodajmy, że można też jeździć na hulajnodze, gdyby akurat zabrakło na świecie benzyny. Albo jeść ciastka, gdyby zabrakło chleba.

Jakże jesteśmy bezradni w obliczu tej katastrofy! Jesteś szczęściarzem, gdy twoim warsztatem pracy jest laboratorium albo wykopaliska. Tam białkowy prarobot ze stopniem doktora może się jeszcze dekować przez kilka lat. Jednak gdy wyłącznie piszesz, jesteś skazany na zagładę. Dosłownie w ciągu dwóch lat wszelkie humanistyczne prace pisemne – od studenckich esejów zaliczeniowych aż po rozprawy habilitacyjne i tzw. książki profesorskie – straciły wszelki sens. Maszyna wszystko napisze lepiej, więc po co robić to za nią? A skoro wszystko, co pisemne, będzie z maszyny albo będzie nieudolnym maszyny naśladowaniem, to na cholerę cokolwiek czytać? Maszyny przeczytają się same – z większym pożytkiem przetwórczym niż jakikolwiek doktor „zbierający dorobek" do habilitacji.

> Ze wszystkiego, co okazuje się balastem, pierwszy za burtę wylatuje filozof. A kto następny? Polonista? Kulturoznawca?

A przecież to tylko początek. Jest kwestią kilku lat, gdy zdolność maszyn w zakresie prowadzenia badań naukowych definitywnie przewyższy zdolności nawet nadprzeciętnych naukowców. O kompozytorach, malarzach i poetach to szkoda nawet mówić! Jedyna racjonalna odpowiedź to wycofać się i zgłupieć, schować we wtórnych analfabetyzmie i aliteralizmie. Mamyż się kopać z cyfrowym koniem? Po co być naukowcem, skoro jego rolą będzie ścierać kurz w laboratorium? Po co być lekarzem, skoro ów nie śmie być mądrzejszy od programu do stawiania diagnoz? Na co być piękną i mądrą damą, skoro dama silikonowa będzie i piękniejsza, i mądrzejsza? Basta!

No dobrze, to dopiero za dziesięć lat. Jak ta wojna z Ruskimi. Po nas choćby potop. Byle się nażyć przed inwazją robotów, globalnym ociepleniem, wędrówką saharyjskich ludów i powszechną robotyzacją lub sinizacją wszystkiego, co znamy i kochamy.

Tylko jak mamy przeżyć te marne kilka lat? Jak utrzymać choćby pozory sensu i godności? Na moim poletku pytanie to dudni najbardziej natarczywie. Pracuję na uniwersytecie już 35 lat, lecz po raz pierwszy mam poczucie, że toniemy, a orkiestra gra coraz głośniej. Uniwersytet ucieka do przodu, ścigany przez cyfrowego potwora. Ucieka w technokrację i biurokrację, w produkcję badań i artykułów, a wreszcie w produkcję absolwentów. Owszem, jest niezastąpiony. Na razie. A jednak już tylko znikomy odsetek prac naukowych jest czymś więcej niż ekspertyzami wykonywanymi wedle standardowego schematu metodologicznego – ludzie, którzy to robią, są po prostu fachowcami, których można wymienić na innych. Żeby dobrze „robić naukę", nie potrzebują być „inteligentami", bywalcami filharmonii, czytelnikami „tłustych żurnali" i czym tam jeszcze. Nobliwi profesorowie nadają się już tylko na jubileusze, a prosperity uniwersytetu wyraża się w nowych budynkach, grantach i „liczbach przyjęć".

Ja nie mam żalu, nie mam pretensji ani nie kpię. To jedyna droga. Na ścianę albo raczej donikąd, ale jedyna. Jeśli z niej zboczymy, całą produkcję wiedzy i nauczanie przejmą korporacje przemysłowe i firmy edukacyjne. Musimy biec przed siebie. Ej-aj dyszy nam w kark, przemysł wysysa z nas to, co najlepsze, wygnany duch zdycha sponiewierany na „socjalach", a wielkie spory polityczne mogą co najwyżej wylądować na komisji dyscyplinarnej.

Ze wszystkiego, co okazuje się balastem, pierwszy za burtę wylatuje filozof. Ten to już naprawdę przesadził. Z nieproduktywności uczynił sobie cnotę! Z pasożytnictwa i zgrywy – sposób na życie. Z udawania naukowca – marny kamuflaż. A teraz, gdy durny ej-aj za trzy grosze może napisać filozoficzną „monografię" lepiej niż przeciętny profesor, nadchodzi czas, by wreszcie skończyć tę zabawę. A kto następny? Polonista? Kulturoznawca? A może logik – skoro zaraz się okaże, że „systemów aksjomatyczno-dedukcyjnych" ej-aj może dostarczać na pęczki, podobnie jak wszelakich tautologii i dowodów. A co będzie, gdy zacznie produkować nowe obiekty matematyczne na miarę naszej narodowej przestrzeni Banacha, wraz z tysiącami gotowych twierdzeń i dowodów?

To nie jest żadna dystopijna wizja. To wizja upojna, bo cóż mogło się nam przydarzyć lepszego niż ten obsceniczny i pozbawiony wszelkiego sensu nadmiar wszystkiego? I powiem wam, panie i panowie posłowie, że w takiej sytuacji jedno, co warto, to...

JAN HARTMAN

eprasa.pl 53e0f75d2b

Bardzo złe dla dobra Kościoła

Głośno o problemie tuszowania przestępstw seksualnych wobec osób małoletnich w Kościele. Uważam, że Kościół nieźle sobie z tym problemem radzi i tuszuje, ile się da, ale niektórzy biskupi narzekają, że i tak zbyt wiele przypadków wychodzi na jaw. I że oni, zamiast zajmować się tym, do czego Bóg ich powołał, muszą odpierać oskarżenia, że jakiś ksiądz w ich diecezji dopuścił się przestępczego czynu, chociaż Bóg wie, czy nie było tak, że nie on się dopuścił, tylko wobec niego się dopuszczono, prowokując i doprowadzając do stania się ofiarą fałszywego świadectwa osoby małoletniej, której jako kapłan okazał miłość. A ta zamiast okazać wdzięczność, za namową wrogów Kościoła mści się na nim.

Konferencja Episkopatu Polski robi, co może, żeby przestępstw seksualnych w Kościele nie było, niestety napotyka poważne trudności. Za szczególnie niepokojący KEP uznała projekt powołania kościelnej komisji do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele, opracowany przez zespół niezależnych ekspertów pod kierunkiem prymasa. Efektem zaniepokojenia było rozwiązanie eksperckiego zespołu i powołanie nowego z biskupem Sławomirem Oderem na czele, który zajął się poprawieniem projektu tamtego zespołu.

W nowym projekcie komisja pozostaje niezależna, ale w rozsądnych, wyznaczonych przez biskupa Odera i dobro Kościoła granicach. W niektórych sprawach dokument idzie bardzo daleko, np. dla przyspieszenia i usprawnienia prac proponuje ograniczenie komisji dostępu do dokumentów i archiwów kościelnych, także tajnych. Jednocześnie zwiększa wpływ biskupów na jej funkcjonowanie, co wydaje się logiczne o tyle, że skoro biskupi ponoszą odpowiedzialność za tuszowanie, muszą mieć większy wpływ na to, za co odpowiadają.

Szalenie istotny jest zapis o tym, że komisja nie ma prawa nikogo wzywać przed swoje oblicze i że „nikt nie może zostać zobowiązany do stawiennictwa ani do udzielania pisemnej odpowiedzi". Prawdopodobnie chodzi o to, że ktoś, kto przypadkiem wiedziałby coś o tuszowaniu czegoś, podczas obowiązkowego zeznawania przed komisją mógłby próbować to zataić. Dlatego zgadzam się z biskupem Oderem, że przed komisją powinni stawać tylko księża i biskupi, którzy będą mieli na to ochotę i którzy nie będą mieli nic do zatajenia, bo niczego o niczym nie będą wiedzieli.

Eksperci ostrzegają, że zmiany w projekcie idą w złym kierunku, ale hierarchowie pytają: w złym dla kogo, bo przecież nie dla małoletnich ofiar przestępstw seksualnych w Kościele, których liczba dzięki istnieniu komisji radykalnie się zmniejszy. A to dla ich dobra na pewno nie będzie złe.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa passion process technology

eprasa.pl 53e0f75d2b

Pożegnanie prof. Marii Skoczek

Z ogromnym żalem żegnamy dr hab., prof. UW Marię Skoczek, która w latach 2001–21 była jurorką Nagród Naukowych POLITYKI i oceniała zgłoszenia z dziedziny geografii.

Pani Profesor w latach 1999–2002 była dziekanem Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych. Przez lata kierowała Zakładem Geografii Ameryki Łacińskiej, współpracując z naukowcami z kilkunastu uniwersytetów w Europie i Ameryce Łacińskiej. Wypromowała licznych magistrów i doktorów, rekomendowała do stypendiów POLITYKI kilkudziesięciu młodych geografów. Pomimo rozstania z Kapitułą Nagród była w stałym kontakcie z zespołem POLITYKI oraz laureatami programu, okazując swoje wsparcie i życzliwe zainteresowanie.

Rodzinie i bliskim Pani Profesor składamy wyrazy głębokiego współczucia.

ZESPÓŁ POLITYKI
I FUNDACJI TYGODNIKA POLITYKA

Mieszkanie Koteckiej

W POLITYCE 48 w tekście „Dwoje na huśtawce" napisałam, że Patrycja Kotecka w 2010 r. kupiła ponad 120-metrowe mieszkanie za prawie 1 mln zł, które sprzedał jej Andrzej Kozłowski, były współpracownik komunistycznych służb specjalnych. Wskazałam przy tym, że informację tę ujawnił Wojciech Czuchnowski, tymczasem autorem tego ustalenia jest Tomasz Piątek, a opublikował je na łamach „Gazety Wyborczej". Za pomyłkę szanownych kolegów serdecznie przepraszam.

ANNA DĄBROWSKA

© TADEUSZ PÓŹNIAK

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

55 lat temu, a dokładnie w numerze 50. z 1970 r., na naszych łamach ukazał się wywiad z kanclerzem Willym Brandtem, który przeprowadził ówczesny red. nacz. POLITYKI Mieczysław F. Rakowski.

POLITYKA
WYWIAD KANCLERZA WILLY BRANDTA DLA „POLITYKI"
SPRAWY NARODOWEJ EDUKACJI

„POLITYKA: – Jest Pan pierwszym szefem rządu zachodnioniemieckiego, który po wojnie przebywa w Polsce. Co odczuwa Pan w tej chwili?

WILLY BRANDT: – Jestem oczywiście pod wrażeniem ciężaru wspomnień nowszej historii. Uświadomiłem je sobie szczególnie podczas składania wieńców. Dla obydwu naszych narodów było koniecznością, aby wreszcie w sposób widoczny zamknąć tę straszliwą przeszłość. Mam nadzieję, że to się w znacznym stopniu udało. (...) Musimy napełnić żywą treścią układ, który podpisaliśmy, musimy uruchomić współpracę w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, w zakresie Czerwonego Krzyża, pracy młodzieżowej i w ogóle przyczynić się do spotkań jak największej ilości ludzi. Ten układ nie może pozostać tylko na papierze. Również w dziedzinie politycznej musimy nauczyć się lepiej rozumieć się wzajemnie, aby bezpieczeństwo europejskie i pokój wyniosły z tego korzyści.

Mówi Pan często o pojednaniu między naszymi narodami. Jak Pan sobie wyobraża przezwyciężenie spuścizny złej przeszłości?

(...) Nastąpi to chyba najlepiej poprzez praktyczną współpracę. Tylko taka współpraca może dowieść obydwu narodom, że wiele się zmieniło. Tylko wówczas posuniemy się naprzód, jeśli uwolnimy się od uprzedzeń i zaczniemy od nowa. Świadomie nie mówię o zapomnieniu. Zbyt wiele strasznego dokonało się. Ale jednak w dzisiejszej sytuacji jest możliwe ukształtowanie wzajemnego zrozumienia. (...)

W życie społeczne Republiki Federalnej wkroczyło pokolenie, które nie ponosi odpowiedzialności za wojnę i za faszyzm. Jak Pan ocenia tę generację?

Jest to pokolenie poszukujące, przeważnie trzeźwe. Jest ono nawet wówczas trzeźwe, gdy buntuje się w sposób bardziej lub mniej wyraźny przeciwko istniejącym instytucjom. Przeważająca większość tych młodych ludzi niewątpliwie wyciągnęła nauki z przeszłości, chociaż przeszłość ta nie obciąża ich już. Pokolenie to ma bardzo demokratyczne odczucia, chce ono współdecydować w sprawach własnego losu, w szkole, na uniwersytecie i w swoim zawodzie. A przede wszystkim jest to pokolenie, które chce pokoju, które odrzuca wojnę i ucisk. W tym sensie stanowi ono dobre ogniwo w łańcuchu pokoleń."

Nasi nominowani

Miło nam poinformować, że dziennikarze POLITYKI znaleźli się w gronie nominowanych do dwóch ważnych nagród dziennikarskich.

Katarzyna Kaczorowska za poruszający reportaż „Był zagubiony" (POLITYKA 12), który ukazał się w ramach naszego specjalnego cyklu „Odchodzić po ludzku", powalczy o nagrodę Grand Press w kategorii: reportaż prasowy/internetowy. Z kolei o nagrodę w kategorii: publicystyka zawalczą: **Rafał Kalukin** za tekst o licytacji na populizmy („Gra w przegraną", POLITYKA 38) oraz **Łukasz Wójcik** za artykuł poświęcony nowemu feudalizmowi („Cichy powrót pańszczyzny", POLITYKA 43). W tej kategorii nominowana jest też, opublikowana na naszych łamach, rozmowa **Jakuba Janiszewskiego** z politologiem Olivierem Royem („Czy leci z nami świnia?", POLITYKA 52/53/2024). Zwycięzców, w tym Dziennikarza Roku, poznamy w niedzielę 14 grudnia podczas gali 29. edycji konkursu Grand Press.

Z kolei nasza redakcyjna koleżanka **Violetta Krasnowska** została nominowana do Nagrody Dobry Dziennikarz w kategorii: dziennikarstwo społeczne. W tym samym konkursie – organizowanym już po raz siódmy przez Instytut Dyskursu i Dialogu – w gronie nominowanych w kategorii: wywiad znalazła się również nasza felietonistka i prowadząca podkast Temat tygodnia **Karolina Lewicka** (na co dzień związana z radiem TOK FM).

Wszystkim nominowanym serdecznie gratulujemy i trzymamy za nich kciuki!

eprasa.pl 53e0f75d2b

Ołówki do powiek, tusze do rzęs, podkłady mineralne. A także pudry, mascary, płatki pod oczy. Aż się chce być dziś mężczyzną.

Płeć niegdyś zwana brzydką

TREND

Platforma badawcza Gitnux szacuje, że mężczyźni stanowią już prawie 20 proc. klientów globalnego rynku produktów do pielęgnacji skóry. Kupują specyfiki za ok. 40 mld dol., a w 2030 r., jeśli wierzyć prognozom, wydadzą na nie 67 mld. A dlaczego nie wierzyć, skoro płeć niegdyś zwana brzydką do swoich kieszeni sięga coraz głębiej?

Dla przykładu: w linii Sisleÿum for Men marki Sisley („Nikt nie chce mieć zmarszczek!", przekonuje oferujący ją sklep notino.pl) można znaleźć krem z fiołkiem trójbarwnym, masłem shea i malachitem w cenie 1240 zł za 50 ml. Maska wielofunkcyjna do twarzy brandu Eisenberg to wydatek rzędu 458 zł. W sklepie facemen.pl z kolei bestsellerami są produkty marki MMUK Man, w tym „kosmetyczne arcydzieło w formie luksusowego lekkiego podkładu o płynnej konsystencji" (149,90 zł). Jednocześnie jednak męski segment beauty sięga po klienta nieśmiałego, niesklonnego jeszcze wydawać na swoją urodę większych pieniędzy. Tu królują – dobrze zresztą przez znawców oceniane – kosmetyki Tołpy, w tym krem pod oczy z guaraną (15,10 zł), a także chłodzący żel do twarzy Isana Men po 12,79 zł z Rossmanna i hydrożelowe płatki pod oczy Balea Men po 3,99 zł z drogerii DM.

Szok? Ani trochę. – *Ciągle istnieje przekonanie, że mężczyźni myją twarz samą wodą oraz używają jednego ręcznika do wszystkiego. Tymczasem w siłę rośnie trend na przemyślaną, wieloetapową pielęgnację skóry. Możliwe, że skincare po prostu stała się oczywistą częścią dbania o siebie. Swoją drogą podkradanie kosmetyków partnerkom wcale nie jest miejską legendą* – wyjaśnia Piotr Kowalski, ekspert od męskiej urody magazynu „GQ Poland".

Nierzadko jednak z mężczyzną trzeba jak z niemowlakiem. Pomachać grzechotką, by odwrócić uwagę i wepchnąć w usta łyżeczkę kleiku. Tym kleikiem oczywiście są kosmetyki, grzechotką – ich opisy. A te bywają bardziej niż sugestywne. „Próba zarobienia pieniędzy, a może dziki seks sprawiły, że twoja skóra pachnie jak sierść mokrego psa? Taki jest zapach seksu i biznesu?! Nie! Trzeba to zmyć" – grzmi na opakowaniu żelu pod prysznic marka LaQ. Ekspresyjne, ale po męsku są też nazwy typu Post Hangover (czyli pokacowy) – dla sztyftu odświeżającego do twarzy włoskiej marki Pupa Man, czy Ahoj Kapitanie (m.in. krem przeciwzmarszczkowy) i Whisky Barber marki Hagi. Skład? Rzeklibyśmy pierwotny: bursztyn, sosna, dziki chmiel. W przewodniku po męskich korektorach facemen.pl do używania ich zachęca się spawaczy, drwali, hydraulików czy górników – czyli przedstawicieli profesji, w których „występuje ryzyko uszkodzenia twarzy i powstawania blizn". „Pomyślisz sobie, po co mechanikowi makijaż? Oczywiście, że nie do warsztatu! Ale jeśli na przykład idzie na wesele albo na randkę i chciałby ukryć swoje pamiątki z pracy, które widać na twarzy, to już może się przydać" – tłumaczy portal.

Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

Świat męskiego beauty najwięcej zawdzięcza wschodniej Azji. W Korei Południowej i Japonii męskie piękno stało się kulturową normą. Rytuały urodowe nie są tam postrzegane jako odejście od tradycji, lecz jako dbanie o swój profesjonalny wizerunek. I taki też prezentują idole K-popu pokroju zespołów BTS czy Stray Kids, słynący z nieskazitelnej cery i perfekcyjnego makijażu. „Trendy w K-popie, takie jak »szklana skóra«, zadbane brwi i stonowane usta, ściśle korespondują z naszymi najpopularniejszymi produktami: korektorami, kredkami i balsamami" – przyznał portalowi BurdaLuxury Jimmy Chrabieh, dyrektor generalny amerykańskiej marki Differio.

Jak mówi Piotr Kowalski, nie każde zjawisko można jednak nazwać trendem. – *Trudno zaliczyć do nich noszenie przez mężczyzn pełnego makijażu. Widać jednak, że młodzi coraz mniej boją się kremów koloryzujących, żelu do brwi czy odrobiny różu, który sprawia, że cera wygląda zdrowiej. To pokazuje, że kosmetyki przez dekady kierowane do kobiet wcale nie gryzą. I z pewnością nie zrobią mężczyźnie krzywdy* – uważa.

Kluczem do sukcesu na rynku kosmetyków męskich wydaje się tworzenie produktów, które są zarówno funkcjonalne, jak i dyskretne. Raczej nie chodzi zatem o wyrazisty akcent, lecz o naturalny efekt. Który wcale nie musi się kłócić z „efektem wow". ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS, YOUTUBE.COM/@SIEMANOSOPRANO

eprasa.pl 53e0f75d2b

WIRAL

Mroczne święta w Białym Domu

Powrót Donalda Trumpa do Białego Domu to też powrót pierwszej damy Melanii Trump. O relacjach prezydenckiej pary krąży wiele plotek, a nawet teorii spiskowych, budowanych głównie na podstawie analizy mowy ciała. Wtajemniczeni twierdzą, że żona prezydenta nie czuła się nigdy dobrze w Białym Domu; z niechęcią podchodziła więc do wypełniania takich tradycyjnych obowiązków, jak choćby dekorowanie siedziby z okazji świąt Bożego Narodzenia (wypowiedziała słynne: „Kogo obchodzi ten cały świąteczny syf").

Ta niechęć odbijała się zresztą w dekoracjach z czasów pierwszej kadencji Trumpa. W 2017 r. zamiast tradycyjnej świątecznej atmosfery Melania Trump wprowadziła klimat rodem z horroru. Korytarz udekorowany białymi badylami kojarzył się raczej z mrocznym miasteczkiem z serii gier „Silent Hill" niż ze świętami, a internauci dowcipkowali, że tematem przewodnim był wgląd w duszę Melanii. Rok później nie było lepiej: Pierwsza Dama Horroru postawiła na czerwone choinki, budzące skojarzenia z koszmarami rodem z „Lśnienia" albo postaciami „podręcznych" z dystopijnego serialu na podstawie prozy Margaret Atwood – wystarczyło im dodać w Photoshopie charakterystyczne białe nakrycia głowy.

Mijający rok był zaś rokiem „renowacji". Trump wjechał do Białego Domu buldożerem, okleił jego wnętrza tandetnymi złotymi ozdobami i wyburzył Wschodnie Skrzydło, by w jego miejscu postawić odrzucającą przepychem salę balową (zupełnie przypadkiem to skrzydło było siedzibą pierwszych dam). Na kpinę zakrawa więc fakt, że hasło tegorocznej dekoracji pierwszej damy brzmi „Dom jest tam, gdzie jest serce".

Co ciekawe, tym razem pojawiły się choinki, wieńce i wstążki, ale nie obyło się bez ekstrawagancji: **drzewko udekorowano 10 tys. błękitnych motyli.** Uwagę w sieci zwrócił portret Donalda Trumpa z klocków Lego oraz domki z kart i domino. Symbolika jest przedziwna; pokazuje niedojrzałość, kruchość demokracji, a może nawet jej nieuchronny upadek. To nawet bardziej złowieszcze niż poprzednie dekoracje.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Bajlando

Że ciągle tylko angielski w tym nowym polskim słowniku? Nieprawda. Weźmy „bailando", słowo pojawiające się w tytule drugiej już z najpopularniejszych polskich piosenek roku, które łączą rap i disco polo. Obie firmuje **Bajorson**. Pierwsza zaczyna się od słów: „Znów leciałem całą noc, wali mi serce" – i nie chodzi o podróż samolotem, tylko noc pełną używek. Bohater drugiej, „Bailando 2", najwyraźniej nie przerwał jeszcze poprzedniej imprezy, sądząc po linijce: „Amigo, gdzie Bajor? Chyba uderzył w bajlando/ Dobra, mordo, dzwoń, no bo trzeba go ogarnąć".

Nie trzeba detektywa, żeby zauważyć, że nad Wisłą z hiszpańskiego *bailando*, tłumaczonego jako „tańcząc", zrobiliśmy synonim szaleństwa i przesady, obejmujący m.in. czynności seksualne („Bajlando w ciepłych krajach, kokos, mango, papaja/ Wycisnę z ciebie soki, pocałuj mnie mała" – to jeszcze druga część „Bailando") czy zażywanie substancji stymulujących (raper ReTo w innym „Bajlando" sprzed kilku lat: „Bajlando, bajlando/ Amigo dał w nos, miał sztos").

Kiedy Kaczor BRS rapował o bajlando, to brzmiało trochę jak dawne metaforyczne znaczenia tanga: „Siema siema siema, to uliczne bajlando/ Zasad stara szkoła, patologia, nie to tamto". A skoro „uderzyć w tango" oznaczało okres zatracenia się w wyjątkowo intensywnej zabawie, to „uderzyć w bajlando" sugeruje podobną intensywność. Dlatego też Obserwatorium Języka i Kultury Młodzieży przy Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach jako pierwszą definicję „bajlando" (coraz częściej zapisywanego w takiej spolszczonej formie) proponuje nie taniec, tylko „zadowolenie, podekscytowanie, odczucie radości".

Katalizatorem popularności tego hiszpańskiego słowa od początku były piosenki – kilkanaście lat temu przebój Enrique Iglesiasa, a wcześniej, w połowie lat 90., hit formacji Paradisio, do dziś grywany na weselach. Te językowe przemiany nie ograniczają się do polskiego. W amerykańskim slangu bailando to – podaję za Urban Dictionary – wydobyć za kaucją (ang. bail) kolegę z meksykańskiego więzienia. A ponieważ dziś te konteksty poszerzają polskie gwiazdy spędzające gorące wakacje w krajach hiszpańskojęzycznych, życzmy im, by imprezowe bajlando nie skończyło się prawnym.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Besos para ti, nie dostaniesz moich pesos
Wiesz to, że jesteś tą najlepszą, estas mejor
Mata, Bawię się, 2025 r.
besos – całusy
pesos – pieniądze

eprasa.pl 53e0f75d2b

PODRÓŻE

Posiorbiemy razem?

Tereré, czyli yerba mate zalewane wodą z lodem i ziołami, to prawdziwa duma i symbol Paragwaju.

Chcecie się z nami napić? – zagaduje nas na ulicy grupa nastolatków. Ktoś wyciąga rękę z **wąskim, obitym skórą kubkiem – guampą** – i metalową słomką z sitkiem na końcu, nazywaną bombilla. Susz yerba mate zalali lodowatą wodą z dużego termosu w takie same wzory, jak te zdobiące naczynie do picia. Termos ma nawet specjalny uchwyt na guampę – w Paragwaju zwykle sprzedaje się takie właśnie zestawy. Zawsze z jednym kubkiem, nie dlatego, że *tereré* pija się samotnie, tylko dlatego, że nawet obcych częstuje się nim z własnego naczynia.

Zaproszenie od zupełnie obcych ludzi zdarzyło nam się tylko raz, ale *tereré* piliśmy również z przypadkowo spotkanym fryzjerem, kierowcami, przewodniczką i niemal z każdym, z kim spędziliśmy ciut więcej czasu. Z Rosą – młodą kobietą, która opiekowała się ranczem w regionie Chaco, gdzie mieszkaliśmy przez kilka dni – spotykaliśmy się na *tereré* codziennie przed południem. Czasem dołączał jej mąż i dzieci. Guampa krążyła z rąk do rąk i wszyscy piliśmy przez tę samą bombillę. To było przed pandemią, zatem kwestie zdrowotne nie zaprzątały nam nadmiernie głowy, a odmówić nie wypadało. Nie do końca też zdawaliśmy sobie jeszcze sprawę, jak głęboko ów rytuał jest zakorzeniony w paragwajskiej kulturze.

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Guaranie, rdzenni mieszkańcy terenów, które dziś są pograniczem Paragwaju, Argentyny i Brazylii, od dawna używali liści rośliny *ka'a*, nazwanej później yerba mate, a po polsku ostrokrzewem paragwajskim. Po konkwiście roślina szybko zyskała popularność wśród Hiszpanów. W 1596 r. pewien zakonnik narzekał, że sączą napar od rana do nocy, co wzmaga ich lenistwo; inny nazywał wręcz yerbę diabelskim zielem. Dla Guaran miała ona jednak znaczenie magiczne i lecznicze, kolonizatorzy zaś szybko zwietrzyli interes i zaczęli handlować suszem na szeroką skalę. Początkowo pozyskiwano go wyłącznie z dzikich roślin, co wymagało kosztownych ekspedycji. Dopiero w XVII w. jezuitom udało się udomowić ostrokrzew i założyć plantacje – pilnie strzegli sekretu uprawy.

Ka'a czy też yerba mate – słowo „mate" pochodzi z rdzennego języka keczua i oznacza tykwę, „yerba mate" to zatem „zioła w tykwie" – to jednak tylko część tradycji *tereré*. Nie mniej ważna jest kultura *pohã ñana*, jak w guarani określa się rośliny lecznicze. Niezliczone zioła: miętę, lokalne odmiany skrzypu, werbenę, bylicę piołun i wiele innych, często nieposiadających polskich nazw, wybiera się wedle potrzeby, rozgniata w moździerzach i dodaje do wody z lodem, którą później zalewa się yerbę. Na **każdym targu widzieliśmy stragany z pęczkami ziół**, a sprzedawczynie znały lecznicze działanie każdego z nich.

Ostrokrzew paragwajski i *pohã ñana* to dwie składowe narodowego napoju Paragwaju, ale nie byłby on sobą bez trzeciej: tradycji przygotowywania i picia. Mimo że istnieje pojęcie *tereré solitario*, czyli picia w samotności, to *tereré* jest nade wszystko kulturą dzielenia się – o czym przekonaliśmy się podczas podróży po Paragwaju. Początkowo nie wiedzieliśmy, że za podany napój nie należy dziękować, bo oznacza to, że mamy już dość i nie chcemy być uwzględniani w następnym okrążeniu guampy. Nie wiedzieliśmy też, że tradycyjnie susz zalewa i podaje kolejnym osobom najmłodszy uczestnik spotkania, a napój ma swojego patrona, św. Tomasza. Ale nie mieliśmy wątpliwości, że częstowanie *tereré* jest najbardziej gościnnym gestem, jaki można sobie wyobrazić.

W 2020 r. zwyczaj picia *tereré* został wpisany na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Międzynarodowy komitet argumentował, że: „Praktyka picia *tereré* w kulturze pohã ñana sprzyja spójności społecznej, ponieważ czas i przestrzeń poświęcone przygotowywaniu i spożywaniu *tereré* służą integracji, przyjaźni, dialogowi, szacunkowi i solidarności". W Paragwaju istnieje nawet określenie *tereré hápe*, które odnosi się do omawiania ważnych dla danej grupy tematów przy zimnym napoju. Choć pandemia była dla wspólnego siorbania ciosem, tak ważna tradycja nie mogła zniknąć! Dziś *tereré*, niczym fajka pokoju, znów krąży z rąk do rąk. Mam nadzieję, że Paragwajczycy nadal zapraszają do swojej wspólnoty napotkanych cudzoziemców. Bo spotkań przy *tereré* się nie zapomina. ■

© ARCHIWUM PRYWATNE, JULIA ZABRODZKA (2), RAFAŁ MASŁOW, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 53e0f75d2b

Wino cenne jak złoto

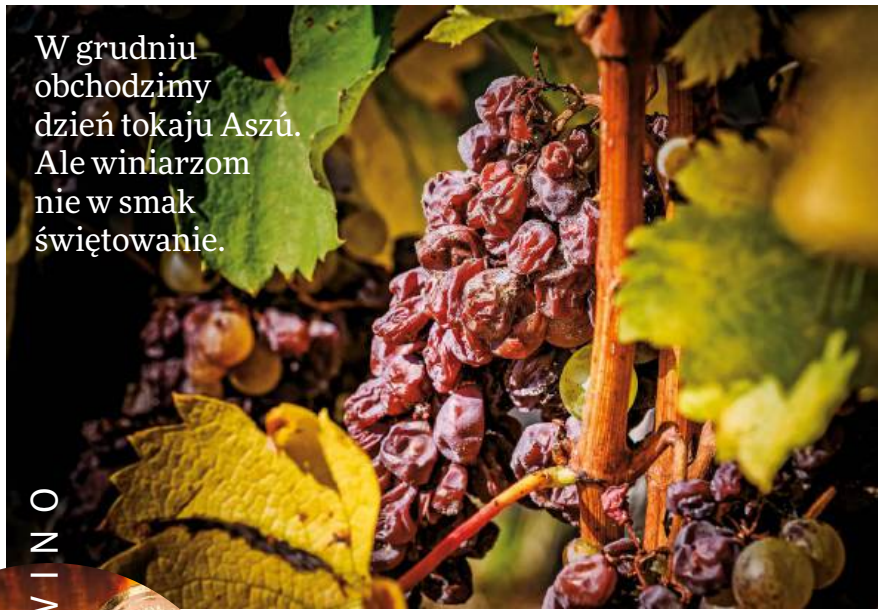

W grudniu obchodzimy dzień tokaju Aszú. Ale winiarzom nie w smak świętowanie.

WINO

Dużo się w Tokaju zmieniło. Położona przez lata na dalekich peryferiach prowincja, do której jechało się pół dnia, doczekała się nowej drogi ekspresowej z Budapesztu. Otwarto naprawdę dobre restauracje, jak Dereszla Bisztró nad brzegiem rzeki Bodrog czy czekające na gwiazdkę Michelina Padi w futurystycznej winiarni Sauska. Są już miejsca z dobrą kawą, eleganckie sale degustacyjne, przytulne hoteliki. Bo przecież turystom, którzy przybędą tu zwabieni sławą Aszú – „najlepszego wina słodkiego na świecie" – trzeba zaproponować coś więcej.

Aszú to wyjątkowe w skali światowej wino, które powstaje z... rodzynek. Unosząca się jesienią znad rzeki Bodrog i dziesiątek zasilających ją strumyczków mgła pomaga w rozwoju pleśni, która opanowuje winogrona. Jest to jednak nie byle jaka pleśń, lecz szlachetna – *Botrytis cinerea*, która koncentruje w gronach cukier i smak. Z zebranych jedna po drugiej jagód tłoczy się wino o wyjątkowym, bogatym, arcysłodkim, ale też i zdrowo kwasowym smaku.

Historia Aszú niknie w mrokach dziejów. Winnice w Tokaju na pewno uprawiano już w średniowieczu, w handel winem – wysyłanym we wszystkich kierunkach: na północ do Polski, na wschód, przez Morze Czarne do Turcji i Arabii, na południe do rozsmakowanego w słodyczach Bizancjum – zaangażowali się kupcy armeńscy, greccy i żydowscy. Ale zwyczaj czekania z winobraniem, aż kiście pokryje dobroczynna pleśń, pojawił się zapewne dopiero w XVI w. wraz z chrześcijanami z Banatu, którzy uciekli na północ przed najazdem tureckim. Węgry zawdzięczają im również szczep kadarka – o którym pisałem w marcu (POLITYKA 11) – dlatego pierwsze Aszú były... czerwone, dopiero potem rozpowszechniły się te białe z historycznych odmian tokajskich: furmint, hárslevelű i praktycznie wymarłej już dziś kövérszőlő. Wieki XVII i XVIII to już triumf supersłodkich tokajów, które lekarze przepisywali na wszelkie możliwe dolegliwości, z impotencją włącznie, a Ludwik XIV obwołał „winem królów".

Historia historią, ale dziś jest źle. Po pierwsze, winiarstwo węgierskie mimo jakościowych postępów jest od dawna w kryzysie, ciągnięte w dół przez serię gospodarczych kryzysów, martwotę miejscowej klasy średniej i raczkujący dopiero eksport, nadprodukcję, konkurencję tańszych albo seksowniejszych win z importu. Ludzie na Węgrzech wydają na wino coraz mniej, więc to droższe – jak Tokaj Aszú – sprzedaje się coraz gorzej. Ale jest drugi powód, trwalszy, więc bardziej niepokojący: konsumpcja win słodkich spada na całym świecie. Coraz bardziej dbamy o zdrowie i kalorie, zapomnieliśmy też zupełnie, jak je pić. Dawniej butlę słodkiego Pinot Gris albo Sauterna o normalnej pojemności 0,75 litra opróżniało się do głównego dania typu pieczona gęś albo pasztet; dziś do naszych odchudzonych sałatek z buraka i koziego sera chcemy pić tylko wytrawne. Wino słodkie – do deseru już tylko kieliszek, ale najczęściej tylko kawa.

Stąd wszędzie, gdzie się da, produkcję przestawia się na wina wytrawne – w Porto i Sauternes stanowią one już przeszło 50 proc. (w Tokaju – 20 proc.), a działy marketingu chwytają się brzytwy, czyli koktajli, lejąc szacowne stare wina do butelek przypominających rum albo whisky i promując różne mieszanki z owocami i wodą sodową. Parę butelek w ten sposób się sprzeda, ale długofalowy skutek będzie chyba odwrotny do zamierzonego...

Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Miesiąc temu w Budapeszcie piłem nawet całkiem dobre „martini" na bazie Aszú, ale potem pojechałem do Tokaju i na tarasie rzeczonego Padi degustowałem najnowszy rocznik tokajskiego złota. Jakie to niesprawiedliwe, pomyślałem, że świat odwrócił się od tak rewelacyjnego produktu, jedynego w swoim rodzaju smaku, prawdziwej emocji, jaką może dać najwyższa jakość. W dobrych wcieleniach – których są wszak dziesiątki – Aszú jest tak wybitne, że jego czas na pewno wróci. Nie namówię państwa na picie Aszú do gęsi, ale zapewniam, że nie ma absolutnie nic lepszego do świątecznego makowca albo sernika. ■

Dereszla Tokaji Aszú 5 Puttonyos 2017, 134,99 zł (winnicalidla.pl)
Disznókő Tokaji Aszú 5 Puttonyos 2014, 232 zł (marekkondrat.pl)
Sauska Tokaji Aszú 6 Puttonyos 2019, 220 zł (2bratanki.pl)
Oremus Tokaji Aszú 6 Puttonyos 2016, 490 zł (desabor.pl)
Gizella Tokaji Aszú 6 Puttonyos Dénes 2013, 666,99 zł (rafa-wino.pl)

eprasa.pl 53e0f75d2b

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Efekt Smarzowskiego

„W październiku zadzwoniło do nas blisko 140 osób, w listopadzie ponad 300" – mówi POLITYCE Joanna Gzyra-Iskandar z Feminoteki. To efekt „Domu dobrego" Wojciecha Smarzowskiego, głośnego filmu o przemocy domowej. Część osób – pokrzywdzonych i świadków – dzwoni od razu po wyjściu z kina, plansza z numerem pojawia się zresztą na końcu filmu. Twórcy i organizacje pozarządowe swoją pracę wykonują, pora na działania systemowe.

Żartuj, nie przepraszaj

Zacina ci się wideorozmowa? Lepiej za to nie przepraszaj – twierdzą naukowcy. Okazuje się, że nawet błahe zakłócenia mają realne konsekwencje. Z takich powodów możemy stracić szansę np. na awans, zatrudnienie czy klienta. Zastygający obraz i zacinający się dźwięk mają wpływ na ocenę naszej wiarygodności. Co więc robić, gdy łącze zawodzi? Lepiej obrócić to w żart, niż panikować. Nowe badania na ten temat omawia na polityka.pl Marcin Rotkiewicz.

Ozempic nie wystarczy

Ozempic i podobne leki stosowane do walki z cukrzycą i otyłością pomagają zrzucić kilogramy, nadal są badane też inne ich efekty. Ale „to nie tak, że są to preparaty pozbawione działań niepożądanych i można je przyjmować bezrefleksyjnie", pisze Piotr Rzymski, doktor nauk medycznych i biolog. Są skutki uboczne i nie chodzi tutaj tylko o efekt jo-jo. W tekście wyjaśniamy też, czy Ozempic można stosować dłużej niż rok.

Co może Modi

W podkaście „Portret polityka" Łukasz Wójcik opisuje tym razem fenomen Narendry Modiego, który rządzi Indiami już 11 lat i zaliczył właśnie jeden z największych geopolitycznych awansów na świecie. Stawia się Donaldowi Trumpowi, jest asertywny wobec Chin, niedawno gościł u siebie Władimira Putina. Wojna w Ukrainie niespecjalnie go obchodzi. W tym odcinku wyjaśniamy, dlaczego to ważne także z punktu widzenia Europy.

Jak ulepszyć swój związek

Co to znaczy, że związek jest „dobry" i jak dbać o to, żeby taki pozostał? W podkaście psychologicznym POLITYKI mówi o tym Piotr Mosak, terapeuta, ale i mąż z 33-letnim stażem. Jak rozbrajać napięcia i pielęgnować wdzięczność, dlaczego warto wysyłać partnerowi memy i „usprawniać logistykę" w związku – wyjaśniamy na konkretnych przykładach. Uwaga: wbrew pozorom nie warto dzielić się obowiązkami równo po połowie.

© SHUTTERSTOCK (4), LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 53e0f75d2b

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 53e0f75d2b

S'portofino

Every move is a story

Gdynia · Katowice · Kraków · Łódź · Poznań · Warszawa · Wrocław · Praga

sportofino.com

eprasa.pl 53e0f75d2b